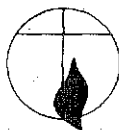


przegląd powszechny

12/796/87

miesięcznik
poświęcony sprawom religijnym,
kulturalnym i społecznym

założony w roku 1884



JEZUICI • Warszawa

WYDAWCA

Prowincja Wielkopolsko-Mazowiecka Towarzystwa Jezusowego

REDAGUJE ZESPÓŁ

Michał Jagiełło
Maria M. Matusiak
Stefan Moysa SJ
Stanisław Opiela SJ (red. naczelny)
Grzegorz Schmidt SJ

OPRACOWANIE GRAFICZNE

Teresa Wierusz

REDAKTOR TECHNICZNY

Jacek Herman-Iżyski

„PRZEGŁĄD POWSZECHNY”

Redakcja i Administracja
ul. Rakowiecka 61
02-532 Warszawa
tel. redakcji 49-02-71 w. 158
49-02-39
tel. administracji 49-02-71 w. 273
48-09-78

PRENUMERATA

roczna 1650 zł
za I półrocze 900 zł
za II półrocze 750 zł
cena egzemplarza 150 zł

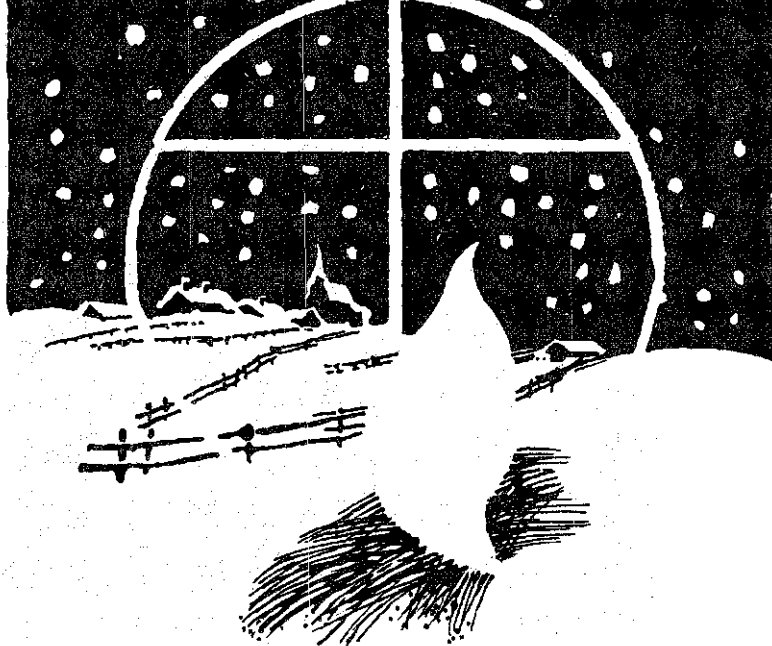
Wpłaty

Bank PKO VI Oddział w Warszawie
nr konta 1560-51624-136
ul. Bagatela 15
00-585 Warszawa

*Prenumerata wyłącznie za pośrednictwem
administracji „Przeglądu Powszechnego”.
Część nakładu jest do nabycia w kioskach
„Ruchu” i w katolickich księgarniach.*

Skład i druk: Oficyna „Przeglądu Powszechnego”,
Warszawa, ul. Rakowiecka 61
Zam. 2/87, (K-71), nakład 8000+350 egz., ark. druk. 10,0
Papier druk. kl. V, 71 g., format A1
Numer zamknięto 28 IX 1987 r.

Materiałów nie zamówionych redakcja nie zwraca



*Ukazała się bowiem łaska Boga, która niesie zbawienie
wszystkim ludziom.*

Tt 2,11

Aby Słowo Wcielone umocniło w Ich sercach nadzieję,
życzy swoim Czytelnikom i Sympatykom

Redakcja „PP”

Boże Narodzenie 1987



Można jeszcze zaprenumerować „Przegląd Powszechny” na rok 1988. Koszt prenumeraty wynosi 1650 zł (900 zł za I półrocze, 750 zł za II półrocze). Przyjmujemy również prenumeratę zagraniczną. Do ceny miesięcznika doliczamy w tym przypadku koszt wysyłki.

Prenumeratę „PP” można zamówić **wyłącznie** za pośrednictwem naszej administracji (ul. Rakowiecka 61, 02-532 Warszawa), dokonując wpłaty na konto naszego miesięcznika: Bank PKO VI Oddział w Warszawie, nr konta 1560-51624-136, ul. Bagatela 15, 00-585 Warszawa.

Spis treści

Stanisław Opiela SJ

André Masse SJ

329

Wojciech Giełżyński

Z refleksji nad słowami Arcypasterza

331

Znaczenie III pielgrzymki Papieża do Polski zawiera się w wytyczeniu społeczeństwu obowiązków w określonej sytuacji politycznej i moralnej narodu wywołanej historycznymi wydarzeniami ostatnich lat.

Góry i odpowiedzialność

344

Dyskusja na temat tendencji we współczesnym alpinizmie sportowym, która odbyła się 3 grudnia 1986 r. w Stołecznym Klubie Tatrzańskim. Rozmawiali: Bolesław Chwaściński, Michał Jagiełło, Zdzisław Kozłowski, Jan Serafin i Zbigniew Skoczylas.

Miedzy wielkością a łajdactwem

361

Z Wandą Rutkiewicz rozmawia Ewa Matuszewska.

ks. Waldemar Chrostowski

Qumran – 40 lat później (II)

377

Odkrycia w Qumran mają konsekwencje m.in. dla ustalenia tekstów biblijnych, problemów ich kanoniczności i kwestii związków między Starym a Nowym Testamentem.

Andrzej Paczkowski

Europa – jej granice i podziały

397

Gdzie przebiegały w XIX i XX w. linie oddzielające Europę od reszty świata oraz czy były i jakie rozgraniczenia wewnątrz europejskiej całości?

Jerzy Zagórski

Z Żoliborza na Syjon (III)

416

Kazimierz Dziewanowski

Hiszpańska zagadka

430

W dziejach gen. Franco najbardziej tajemniczy jest fakt, że jest on chyba jedynym przykładem współczesnego dyktatora, który własnoręcznie zdemontował swą dyktaturę.

Wojciech Pazdur, Iwona Pęksa

Wiersze 442

Himalajska scena (*Michał Jagiełło*) 444

Szary śnieg (*Monika Rogozińska*) 450

Świątynie ześwieczone
(*Konrad Kucza-Kuczyński*) 456

Książki – *A. Szymańska*: Poety droga do siebie (Artur Międzyrzecki, „Koniec gry”) 459

A. Datko: W znaku Mikołaja (Borys A. Uspieński, „Kult św. Mikołaja na Rusi”) 461

Czasopisma – *S. Siwek*: Prasa o gospodarce (54) 462

O społeczeństwie i kulturze (5) 465

Wystawy – *P. Wilczek*: „Obraz słowa” – wystawa dawnej poezji wizualnej 467

Sztuka – *J. S. Wojciechowski*: Polsko-norweska wyprawa na Kvitmannsberget (plener „Sztuka-Natura”, Lillehammer, 13 VI – 15 VIII 1987 r.) 470

Teatr – *A. Dziurdzikowski*: Autobiografia (Teatr Polski we Wrocławiu, „Repetycje teatralne z «Pięknych dwudziestoletnich» Marka Hlaski”, scenariusz i reżyseria – Andrzej Czerny) 474

Film – *M. Pieczara*: O czymś innym („Wierna rzeka” Tadeusza Chmielewskiego) 477

Książki nadesłane 480

Sommaire

Stanisław Opiela SJ

André Masse SJ 329

Wojciech Gielżyński

Réflexions sur les paroles de l'Archipasteur 331

La portée du III^e pèlerinage du Pape en Pologne consiste à avoir assigné à la société polonaise les responsabilités à assumer dans une situation politique et morale précise, provoquée par les événements historiques des dernières années.

La haute montagne et la responsabilité 344

Débat sur les tendances qui marquent l'alpinisme sportif d'aujourd'hui, tenu le 3 décembre 1986 au Club varsovien des Tatras par Bolesław Chwaściński, Michał Jagiełło, Zdzisław Kozłowski, Jan Serafin et Zbigniew Skoczylas.

Entre la grandeur et la lâcheté 361

Entretien avec Wanda Rutkiewicz, conquérante en 1978 du Mont Everest, recueilli par Ewa Matuszewska.

abbé Waldemar Chrostowski

Qumrân – 40 ans après (II) 377

Les découvertes de Qumrân sont riches de conséquences entre autres pour l'établissement de textes bibliques, pour la question de leur nature canonique et pour celle des rapports entre l'Ancien et le Nouveau Testament.

Andrzej Paczkowski

L'Europe – ses frontières et ses divisions 397

Où passaient, au XIX^e et au XX^e siècle, les lignes démarquant l'Europe du reste du monde? Y a-t-il eu et si oui, lesquelles, des lignes de démarcation à l'intérieur du tout européen?

Jerzy Zagórski

De Żoliborz à Sion (III) 416

Kazimierz Dziewanowski

L'énigme espagnol 430

Ce qu'il a eu de plus paradoxal dans la vie du général Franco c'est qu'il fut probablement le seul parmi les dictateurs de notre siècle à remettre en question sa dictature.

Wojciech Pazdur, Iwona Pęksa

Poésies 442

Le théâtre des Himalaya (*Michał Jagiełło*) 444

La neige grise (*Monika Rogozińska*) 450

Des églises sécularisés
(*Konrad Kucza-Kuczyński*) 456

Comptes rendus 459

André Masse SJ

André Masse zginął od kul zamachowca w dniu 24 września 1987 r. w południowolibańskim mieście Sajda-Bramieh. To już ósmy jezuita, który poniósł śmierć od chwili rozpoczęcia tej wieloletniej i bratobójczej wojny. Jest już drugim jezuitą w tym kraju, którego śmierć nie była przypadkiem. Przeszło dwa lata temu zginął jego rówieśnik, Klaus Kluiters SJ, na którego ciele pozostały ślady okrutnych męczarni.

André Masse zginął w swoim gabinecie w filii Uniwersytetu Św. Józefa w Bejrucie, którego jednym z założycieli był polski jezuita żyjący w ubiegłym wieku, o. Maksymilian Rytło. Trzy kule zamachowca ugodziły André w głowę powodując natychmiastową śmierć. Zamachowiec zdążył zbiec.

Kim był André i dlaczego o nim piszę wspomnienie – zapyta może czytelnik „PP” – skoro wiadomo, że w ostatnich piętnastu latach, w różnych częściach świata, zginęło śmiercią męczeńską przynajmniej dwudziestu jezuitów?

André urodził się 17 sierpnia 1940 r. Do Towarzystwa Jezusowego wstąpił 18 października 1957 r. Po czternastu latach formacji duchowo-intelektualnej przyjął święcenia kapłańskie 1 lipca 1972 r. Po rocznym jeszcze uzupełnieniu studiów w USA wykładał nauki matematyczne w wyższej szkole inżynierskiej ICAM w Lille, po czym od 1975 r. był redaktorem naczelnym „Etudes” – periodyku francuskich jezuitów o podobnym do „PP” profilu. W 1981 r. zajął się reorganizacją francuskich wydawnictw jezuitów i scalaniem redakcji różnych czasopism, dając tym samym początek ośrodkowi „Assas-Editions”. Spełniwszy to zadanie poprosił o wysłanie go do Libanu, gdzie zaczął pracować w 1985 r., jednocześnie pokonując językową i kulturową barierę. Do nowej pracy podszedł entuzjastycznie. Przemyślał, w jaki sposób ułatwić zbliżenie zwaśnionych stron i obalać przeszkody na drodze może nie bezpośrednio do islamsko-chrześcijańskiego ekumenizmu, ale do współdziałania na kulturowym polu. Filia, którą kierował, kształciła szefów przedsiębiorstw, pomocniczy personel medyczny i wykładowców literatury. Od tego roku akademickiego miał przenieść się do Bejrutu i podjąć obowiązki prorektora Uniwersytetu Św. Józefa. Do Sajdy-Bramieh wrócił, by wprowadzić swego następcę w czekające go obowiązki. Zamiast tego znalazł śmierć...

André był człowiekiem skromnym, prawie niepozornym. Głęboki i dyskretny zarazem, oszczędny w zewnętrznym wyrażaniu uczuć

i najgłębszych motywacji religijnych życia i działania potrafił być wierny obranej drodze i nawiązanym przyjaźniom, choć nieraz sprawiał wrażenie człowieka oschłego. Te cechy charakteru i formacji ujawniły się pełniej w jego aktywnym życiu. Dbając o skuteczne działanie nie deptał człowieka. Potrafił okazać serdeczność, a jednocześnie umiał wymagać. Wrażliwy na ludzkie biedy i problemy typowo osobiste jak i związane z przedsięwziętym zadaniem. Niech przykładem tego – i zarazem odpowiedzią na drugi człon wyżej sformułowanego pytania – będą fragmenty dwu krótkich listów pisanych w tym samym dniu 21 sierpnia 1981 r., gdy dojrzała sprawa reaktywowania „PP”: *Wydaje mi się, że twoja obecna sytuacja stawia ci większe wymagania; bądź zatem pewny mojego całkowitego wsparcia...* I pod tą samą datą apel do naczelników redaktorów jezuickich czasopism europejskich: *Przed chwilą spotkałem pewnego ojca, który spędził ze Stan. Opiela parę dni... Znajduje się on w naglącej potrzebie; pozwolę sobie zatem nalegać, by ojciec nie zwlekał nadmiernie z zadeklarowaniem do redakcji „Civiltà Cattolica” swojej gotowości pomocy. Z życzeniami powodzenia w pracy i serdecznościami. A. M.*

Jego intensywnemu życiu dobrze odpowiada fragment Listu do Filipian, jaki odczytano w czasie pogrzebowej mszy za André: *...zapominając o tym, co za mną, a wytężając siły ku temu, co przede mną...* (Flp 3,13). Ufamy, że André cieszy się już pełnią życia z Panem, do którego dążył.

Stanisław Opiela SJ



Wojciech Giełżyński

Z refleksji nad słowami Arcypasterza

I

Trzecia pielgrzymka Ojca Świętego miała na celu umocnienie wiary i nadziei. Zwłaszcza nadziei. Cel się spełnił, trwałe skutki pozostaną.

Na nauki Jana Pawła II, udzielone wszystkim Polakom, należy spojrzeć też pod szerszym kątem – szerszym w historycznej i geograficznej skali. Gdy czas oddala związane z jego obecnością emocje, uniesienia, fascynacje, które zawsze wyzwała jego ojcowska osobowość – tak samo wśród wierzących, jak wśród poszukujących i tych, którzy nie doznawszy łaski religijnej iluminacji odbierają go jako najwyższy autorytet narodu – trzeba zatrzymać się w spokojnej refleksji nad tekstami jego homilii i przemówień, przemysleć je w kilku wymiarach.

Wymiar prawd wiary pozostawiam osobom bardziej ku temu powołanym przez własne religijne zawierzenie. Nie wyobrażam sobie zresztą, by taka analiza mogła się ograniczyć do tekstu zapisanego, z pominięciem spontanicznych przeżyć, które w duszach wiernych wywołuje wspólna z nim bytność i wspólna modlitwa.

Nie czuję się także kompetentny, by oceniać te wątki posłania Jana Pawła II, które dotyczą spraw eklesjalnych. Bez wątpienia jednak nauki jego, adresowane do episkopatu i całego duchowieństwa, stanowią ogromnie ważne instrumentarium do ucieleśniania społecznej doktryny Kościoła. Mam tu na myśli, po pierwsze, podkreśloną przez Papieża, w przemówieniu do Konferencji Episkopatu Polski, zasadę kolegialności, która przybliży wewnętrzne urządzenie Kościoła do preferowanych we współczesnym świecie reguł powszechnej partycypacji w pospólnych sprawach. Po wtóre, stanowcze zalecenie wzorca „Kościoła ubogiego”, które ma szczególne znaczenie przy pełnieniu misji apostołskiej w krajach Trzeciego Świata, ale i w Polsce, na wsi zwłaszcza, powinno wspomagać pracę duszpasterską, której

nie sprzyjają przypadki życia kleru i budowania świątyń ponad stan, w jakim przyszło bytować rzeszom narodu. Wreszcie po trzecie – i przede wszystkim – mam na myśli zasadnicze wskazanie, jakiego Ojciec Święty udzielił biskupom we wspomnianym przemówieniu: *Z racji swej misji ewangelicznej i pasterskiej Kościół nie może przestać być służą takich zadań, jak podmiotowość społeczeństwa związana z przestrzeganiem praw osoby ludzkiej. Z tym łączy się ściśle zasada uczestnictwa w stanowieniu o sprawach własnego społeczeństwa, również w zakresie politycznym, z wykluczeniem wszelkich dyskryminacji. Suwerenność państwowa tylko wówczas odpowiada wymogom porządku etycznego, gdy jest wyrazem suwerenności narodu w tymże państwie: gdy społeczeństwo jest w nim autentycznym gospodarzem i twórcą wspólnego dobra.* Tak jednoznaczne stanowisko Arcypasterza zmieni, być może, nastawienie tych księży, którzy powstrzymywali się od działań duszpasterskich wykraczających poza wąsko pojęte zadania ewangelizacji i dbałości o etykę jednostkową, zwłaszcza że takie ich postawy wynikały przede wszystkim z obawy przed naruszeniem obowiązku posłuszeństwa władzom diecezjalnym, a nie z osobistych przekonań. Uzupełnieniem i konkretyzacją tej instrukcji Jana Pawła II były także słowa wypowiedziane przezeń w warszawskim kościele Św. Krzyża podczas spotkań ze środowiskami twórczymi. Wyraziwszy radość, że intelektualiści, artyści i ludzie kultury *odnaleźli w stopniu przedtem nie znanym łączność z Kościołem*, oraz że znajdują oni w Kościele *przestrzeń wolności, której nieraz brakuje im gdzie indziej* – Ojciec Święty powiedział zdanie bardzo istotne dla ułagodzenia konfliktów, przydarzających się niekiedy w duszpasterstwach środowisk twórczych: *Ufam też, że Kościół Polski odpowie w pełni na zaufanie tych ludzi, przychodzących nieraz z daleka, i znajdzie język, który trafi do ich umysłów i serc.*

II

Pielgrzymka do ojczyzny, w trakcie której Ojciec Święty miał 27 homilii i publicznych wypowiedzi do rozmaitych gremiów (kilkakrotnie były nimi rzesze milionowe), speł-

niała wobec Polaków wielorakie funkcje nauczycielskie, lecz przede wszystkim polegała na wytyczeniu ich obowiązków hic et nunc, w określonej politycznej, moralnej, mentalnej i psychicznej sytuacji narodu, wywołanej historycznymi zdarzeniami i dramatami ostatnich lat. Pryncypia, jakimi kieruje się Kościół, zostały przez Jana Pawła II wyłożone dobitnie, chociaż w formie syntetycznej, bo też nie było powodu, żeby wśród Polaków rozwijać je szerzej, skoro – o tym Ojciec Święty był z góry przekonany – ich rezonans musiał być jednoznaczny. W przemówieniu podczas spotkania z władzami PRL w Zamku Warszawskim Papież przywołał Kartę Praw Człowieka – praw wynikających z *samego człowieczeństwa każdej ludzkiej osoby* – i kategorycznie stwierdził: *Wszelkie naruszanie i nieposzanowanie praw człowieka stanowi zagrożenie dla pokoju*. Przed odlotem z Polski Papież znowu nawiązał do tej kwestii: */.../ ojczyzna nasza musi zabiegać o to, aby życie ludzkie w Polsce staowało się coraz bardziej ludzkie, coraz bardziej godne człowieka* – i przypomniał encyklikę „Pacem in terris” Jana XXIII, mówiącą o czterech podstawowych prawach człowieka u korzeni prawdziwego pokoju na ziemi: *Są to: prawo do prawdy – prawo do wolności – prawo do sprawiedliwości – prawo do miłości*. Każde z nich odpowiada dogłębnie naturze człowieka i godności ludzkiej osoby. Każde z nich warunkuje prawdziwy postęp. Nie tylko osobowy, ale też społeczny. Nie tylko duchowy, ale także materialny. Również postęp ekonomiczny. Motyw prawa do wolności, którą trzeba stale zdobywać, Ojciec Święty zaakcentował podczas improwizowanego spotkania z młodzieżą w Krakowie: */.../ to pokolenie przy końcu tego stulecia musi sobie na nowo stawiać sprawę wolności. I to jest zadanie, przed którym się nikt nie może cofnąć*. Wszyscy, wszyscy są do tego zobowiązani przez sam fakt, że należą do tej wspólnoty, do tego narodu */.../ Nie może być zdrowego społeczeństwa, jeżeli w nim sprawa wolności, wolności osobistej, wolności wspólnotowej, wolności narodowej nie jest rozwiązana do końca, uczciwie, z pełnym poczuciem odpowiedzialności*. Charakter swobodnej gawędy, nadany przez Papieża temu wystąpieniu, nie pozwalał na rozwinięcie tej problematyki, wręcz kluczowej we współczesnej misji apostołskiej Kościoła, który musi w wielu kra-

jach bronić własnej niezależności, aby zachować wiarygodność wśród wiernych – jednocześnie mobilizując ich (casus Filipin, Haiti, ostatnio Korei Południowej) do walki z reżimami gwałcącymi wolność obywateli.

III

W konkretnych polskich okolicznościach nie było chyba zamiarem Jana Pawła II rozwijanie tych treści społecznej doktryny Kościoła, które wybiegają w dalszą przyszłość i mają charakter uniwersalny. Niektóre wystąpienia papieskie zawierały jednak wątki wychodzące poza aktualne troski Polaków.

Janem Pawłem II w jego niestrudzonej pielgrzymce kieruje niewątpliwie przeświadczenie, że Kościół jest arką, która światu współczesnemu, miotanemu przez wiry i huragany, może przynieść ocalenie. Stara się on tak prostować ster, aby arka płynęła środkowym nurtem, omijając rafy i mielizny zarówno przy lewym jak i prawym brzegu. Dlatego na przykład Ojciec Święty podczas wizyty w Brazylii uznał rację „teologii wyzwolenia”, zapobiegając schizmie grożącej tamtejszemu Kościołowi, lecz zarazem wystąpił zdecydowanie przeciw jej skrajnościom, które mogłyby doprowadzić do zastąpienia jednej formy zniewolenia przez inną, co nie raz spotkało narody zrewoltowane przeciw opresji.

W wypowiedziach Ojca Świętego nie pojawia się wprawdzie termin „trzecia droga”, lecz nauka społeczna Kościoła coraz wyraźniej sytuuje się w rozległym nurcie poszukiwań takiego porządku, który owemu pojęciu odpowiada. Jednak „trzecia droga chrześcijańska” (bo istnieją też, sprawdzane są w praktyce, inne modele „trzeciej drogi”, inspirowane przez rozmaite prądy świeckie bądź niechrześcijańskie) stanowi dopiero wstępny projekt ideowo-moralny. Nie ma on wiele wspólnego z poczynaniami partii chadeckich, które respektują porządek kapitalistyczny i jedynie w preambułach swych programów odwołują się do niektórych wartości chrześcijańskich, inne pomijając.

W nauczaniu społecznym Jana Pawła II centralną kategorią jest *zasadnicza dla całego narodu podmiotowość*, która

rodzi się z samej natury bytu osobowego i odpowiada w pierwszym rzędzie godności ludzkiej osoby (z przemówienia do świata nauki w Lublinie). Religia – mówił tam Ojciec Święty – pozostaje ostatnim (i ostatecznym) gwarantem ludzkiej podmiotowości, wolności ludzkiego ducha, zwłaszcza w warunkach, w których ta wolność i podmiotowość była zagrożona nie tylko w sensie teoretycznym, ale bardziej jeszcze – praktycznym. Przez system i skalę wartości. Przez „etos“ (lub „anty-etos“) jednostronnie technokratyczny, przez upowszechnienie się modelu cywilizacji konsumpcyjnej, przez różne odmiany ustrojowego totalitaryzmu.

Zagrożenia te nadciągają (...) zarówno ze strony filozofii hołdujących indywidualizmowi jak i lansujących kolektywizm; istnieją i w tych ustrojach, które zmierzają do maksymalizacji materialnej pomyślności obywateli, i w tych, które za cel nadrzędny uznają potęgę państwa – niezależnie od frazeologii, jaką się posługują.

Samookreślenie się Kościoła w podwójnej opozycji wobec ideologii pretendujących do dominacji w świecie jest efektem zmuśnionego procesu konstruowania nauki społecznej Kościoła, który trwa już blisko sto lat, przyjmując za jej kamień węgielny encyklikę „*Rerum novarum*“ Leona XIII. Jan Paweł II, kontynuując dzieło Soboru Watykańskiego i swych dwóch znakomitych poprzedników, unowocześnił tę naukę odrzucając wiele sformułowań anachronicznych, zawartych w encyklikach z lat międzywojennych. Zniknęły z doktryny Kościoła na przykład pochwały *rozumnego ruchu korporacyjnego*, zawarte w „*Quadragesimo anno*“ Piusa XI – skompromitowane praktyką faszyzmu; pogląd tegoż papieża, że ideały sprawiedliwości, równości i braterstwa w pracy są *fałszywe* (encyklika „*O bezbożnym komunizmie*“, 1937) czy wreszcie jego przekonanie, iż liberalizm *dlatego* jest zły, że rzekomo *utorował drogę komunizmowi*.

Encyklika Jana Pawła II „*Laborem exercens*“, która powstała w oczywistym związku z polskimi wydarzeniami z lat 1980–81 i bywa nazywana „*ewangelią robotniczą*“, zarysowała dość już koherentny program uwłaszczenia robotników, demokracji przemysłowej i prawnie utrwalonej samorządności zespołów robotniczych. Stwierdza ona, iż

samo odebranie środków produkcji z rąk właścicieli prywatnych nie wystarcza do ich uspołecznienia, albowiem dostają się pod zarząd grup sprawujących władzę i człowiek pracy nie ma poczucia, że pracując „na wspólnym” pracuje zarazem „na swoim”; czuje się przeto narzędnym, a nie podmiotem, zdolnym wykazywać własną inicjatywę.

Istotę „podwójnej negacji” jasno ukazuje ogłoszona przez Kongregację Nauki Wiary, z aprobatą Jana Pawła II, „Instrukcja o chrześcijańskiej wolności i wyzwoleniu” (1986), określająca dwa filary społecznej nauki Kościoła: zasadę SOLIDARNOŚCI oraz zasadę POMOCNICZOŚCI. *Z tytułu pierwszej, człowiek winien przyczyniać się wraz ze swymi bliźnimi do dobra wspólnego społeczeństwa, na wszystkich jego poziomach. Dzięki niej nauka Kościoła sprzeciwia się wszystkim formom indywidualizmu społecznego lub politycznego. Z tytułu drugiej ani państwo, ani inna społeczność nie mogą nigdy zastępować w inicjatywie i w odpowiedzialności osób i wspólnot pośrednich na poziomie, na którym mogą one działać; ani niszczyć przestrzeni koniecznej dla ich wolności. Dzięki niej nauka społeczna Kościoła sprzeciwia się wszelkim formom kolektywizmu.*

Odrzucając indywidualizm Kościół wywołuje rozżalenie liberalów i neoliberalów, entuzjastów „naturalnej” (ich zdaniem) wolnej gry sił rynkowych. Michael Novak w interesującej skądinąd książce „Duch demokratycznego kapitalizmu” wygłasza z tego powodu wiele cierpkich uwag pod adresem Stolicy Apostolskiej. Jednakże w czasach współczesnych liberalizm, który ideowo zbliżył się do konserwatyzmu – swej onegdajszej antytezy – z reguły powstrzymuje się od negacji sakralnej istoty Kościoła, jego filozofii człowieka i etyki, nie szermuje hasłami laicyzacji czy ateizmu; odwrotnie niż obóz kolektywistyczny, który w swych filozoficznych podstawach nadal hołduje XIX-wiecznej wersji materializmu.

Poszukiwanie przez Kościół innego i nowego ładu na ziemi wymaga wizjonerskiej przenikliwości. „Trzecia droga” wciąż pozostaje raczej niejasnym marzeniem niż przedmiotem zdatnych do artykułowania pragnień ogrom-

nych mas ludzkich. Trwają dopiero niezborne eksperymenty o charakterze konwergencyjnym bądź alternatywnym. Niektóre są zachęcające, jak model „państwa opiekuńczego”; inne na tyle świeże, że trudno się o nich wypowiadać definitywnie – na przykład ruch „Zielonych” i rozmaite wspólnoty solidarnościowe kierujące się etyką, a nie fetyszem zysku; na ogół jednak kończą się fiaskiem i nieszczęściem, jak nieporadne „socjalizmy afrykańskie” usiłujące syntetyzować marksizm z tradycjami plemiennymi, jak irańskie „państwo Boga” zdegenerowane w despotię, jak rozliczne nurty atakujące systemy istniejące z pozycji ultralewicowych. Mniej czy bardziej udane, a nawet całkiem nieudane, eksperymenty te zasługują jednak na baczna uwagę; zlekceważyć je – to okazać krótkowzroczność, gdyż historia nie raz pokazała, że różne „fantasmagorie” po niewielu latach dojrzewały do realizacji.

Spółeczna doktryna Kościoła, choć nadal in statu nascendi, stanowi bodaj najdojrzalszą koncepcję „alternatywnego” urządzenia społeczeństwa na nowych zasadach. Pewne jej elementy zdały egzamin w trakcie pokojowej rewolucji pani Corazon Aquino na Filipinach, inne są wdrażane w Ameryce Łacińskiej, np. w postaci ruchów wzajemnej pomocy i oddolnej samoorganizacji społeczeństwa, które osłabiają tendencje rewolucyjne. Kościół nie dysponuje jednak modelem ustrojowym „gotowym do noszenia” na wszystkie okazje, nawet Ojciec Święty mówił ostrożnie o *TAK ZWANEJ społecznej nauce Kościoła*. Zresztą, gdyby taki model został wykoncypowany w duchu nauk ewangelicznych i obmyślany w praktycznych szczegółach, stosownie do współczesnych potrzeb, nie przesądzałoby to jeszcze szans jego aplikacji. Dziejowa rzeczywistość zwykła układać się fantazyjnie i irracjonalnie, nie licząc się ani z najlepszymi intencjami natchnionych reformatorów, ani z optymalnymi rzekomo machinacjami „niewidzialnej ręki”, ani z wydumanymi „prawami historii”. To jednak nie zwalnia nikogo, a zwłaszcza Kościoła, od poszukiwania dróg lepszych niż te, jakimi obecnie błąka się ludzkość. Treuga Dei na ziemskim padole jest nieziszczalnym marzeniem, sytuacja konfliktu w sposób naturalny towarzyszy ludzkiemu bytowaniu, lecz wielu plag nękających ludzi bez wątpienia

można by uniknąć cierpliwie i konsekwentnie budując solidarną wspólnotę.

Mamy zresztą co do tego rodzime dobre tradycje i własne doświadczenia, również na tym ostatnim etapie dziejów – powiedział Ojciec Święty na Konferencji Episkopatu Polski, dołączając swój głos do opinii wielu myślicieli dostrzegających w niedawnym polskim przeżyciu polityczno-społecznym ważką propozycję ideową, która w pełni zaowocuje w XXI w. Do tego doświadczenia Papież nawiązał parokrotnie. Przemawiając do łódzkich włókniarek wspomniął wielkie, solidarne wołanie /.../ o godność człowieka pracy, aby każdy mógł decydować o sobie, o swojej pracy według zdolności i umiejętności; aby każdy mógł sam wybierać ideał moralny, żyć według własnych przekonań i publicznie głosić i wyznawać swoją wiarę religijną /.../ Dojrzało przekonanie, że nie chodzi tylko o to, by lepiej i wygodniej żyć oraz więcej mieć. Chodzi o to, by w sytuacji większego, społecznego uszanowania człowieka każdy mógł rozwinąć swoje wartości osobowe i lepiej wypełnić swoje powołanie, jakie od Boga otrzymał. W homilii podczas mszy św. na Zaspie w Gdańsku problematyka pracy ludzkiej została przez Ojca Świętego rozwinęta jeszcze szerzej i dobitniej, ze wskazaniem jej uniwersalnej wagi: W tym mieście bowiem, a równocześnie na całym Wybrzeżu Bałtyckim oraz w innych środowiskach pracy w Polsce, podjęto ogromny wysiłek, zmierzający do tego, by ludzkiej pracy przywrócić jej pełny wymiar osobowy i społeczny /.../ Praca nie może być traktowana – nigdy i nigdzie – jako towar, bo człowiek nie może dla człowieka być towarem, ale musi być podmiotem. W pracę wchodzi on poprzez całe swoje człowieczeństwo i całą swą podmiotowość. Praca otwiera w życiu społecznym cały wymiar podmiotowości człowieka, a także podmiotowości społeczeństwa, złożonego z ludzi pracujących. Trzeba zatem widzieć wszystkie prawa człowieka w związku z jego pracą i wszystkim czynić zadość.

Za pracę ludzką trzeba zapłacić i równocześnie: na pracę człowieka nie sposób odpowiedzieć samą zapłatą. Przecież – jako osoba – jest on nie tylko „wykonawcą”, lecz jest współtwórcą dzieła, które powstaje na warsztacie pracy. Ma zatem prawo do stanowienia również o tym warsztacie. Ma prawo do

*pracowniczej samorządności – czego wyrazem są między innymi związki zawodowe: „niezależne i samorządne”, jak podkreślono właśnie tu, w Gdańsku. Podobny akcent znalazł się w wystąpieniu Jana Pawła II przed mszą beatyfikacyjną w Tarnowie, kiedy to – wzywając do pełnej realizacji Porozumienia Rzeszowsko-Ustrzyckiego – Papież powiedział: *Wiele zniekształceń życia wiejskiego znajduje swe źródło w podrzędnym statusie rolnika jako pracownika i jako obywatela. Dlatego też model chłopca, lub chłopca-robotnika pracującego z małym skutkiem a ponad siły, winien być zastąpiony modelem wydajnego i niezależnego producenta...**

Wątek godności pracy, konieczność dezaliczacji człowieka, uwolnienia go z okowów zewnętrznego przymusu (czy to ekonomicznego, czy prawnopolitycznego), potrzebę solidarności ludzi pracy – nauka społeczna Kościoła wywodzi z przesłania ewangelicznego. Innymi przesłankami w tych kwestiach kierowali się XIX-wieczni socjaliści, lecz dochodzili ongiś do podobnych wniosków. Bardzo blisko nauk, jakie głosi Jan Paweł II, sytuowała się w swoim czasie myśl społeczna Edwarda Abramowskiego, owocując m.in. koncepcją kooperatyźmu, która w jego ujęciu była w większej mierze programem samorealizacji człowieka niż pomnażania korzyści materialnych spółdzielców. Duch solidarności i wspólnotowości przenika także dzisiejsze idee „alternatywne”, które w wielu krajach już doprowadziły do samodzielnych inicjatyw pracowniczych (czasem trwałych, częściej epizodycznych), realizujących w praktyce intencje zbliżone do tych, jakie wyraża nauka społeczna Kościoła. Zbieżność, jeśli nie identyczność owych intencji, niezależnie od różnorodności ich źródeł ideowych, pozwala sformułować pogląd, iż wyrażają one ważną i coraz lepiej uświadamianą sobie potrzebę ludzką – potrzebę samorealizacji w solidarnych wspólnotach – której pełne urzeczywistnienie jest tylko kwestią czasu.

Ale problemem do rozwiązania pozostaje nadal znalezienie odpowiednich po temu form instytucjonalnych, do czego mógłby się przyczynić laikat. Formy istniejące zawdzą. Spółdzielczość, na przykład, niemal wszędzie na świecie oderwała się od swych moralnych i społecznych korzeni, uległa technokratyzowaniu i biurokratyzacji. Samorządy

pracownicze nie dowiodły jeszcze swych zalet, doznały fiaska w Jugosławii, gdzie stanowić miały podstawę ustroju. Akcjonariat jest zaledwie słabym paliatywem rzeczywistego współgospodarzenia. Komuny alternatywne, w których wszyscy są zarazem wykonawcami i zarządcami i które nie kierują się zyskiem, są zaledwie nowalijkami, więc na ich skąpym doświadczeniu nie można opierać programów reformowania życia społecznego. Skoro jednak potrzeba samorealizacji przez wspólnotowość przebija się przez dotychczasowe formy społecznej organizacji, to zapewne pojawią się nowatorskie pomysły praktyczne – spełniające postulat „innego rozwoju”, który by nie był niszczycielski dla przyrody, nie ograniczał podmiotowych praw człowieka i eliminował (a choćby: osłabiał) motywacje egoistyczne.

Utopia? Jeśli nawet marzenia o „trzeciej drodze” są utopią, to nie w sensie obietnicy, że środkami techniczno-organizacyjnymi (a tym bardziej moralizatorstwem) uda się stworzyć ustrój idealny, bez zła i nieszczęść, który oznaczałby happy end historii. Takie rojenia kończą się nędzą totalitaryzmu, pokazały to liczne doświadczenia dziejowe. Istnieje jednak inne, Kantowskie rozumienie utopii: nie jako idei konstytutywnej, lecz (jak określił Leszek Kołakowski) jako zestawu nierelatywnych wartości, które należy mieć w umyśle i przez działania polityczne wprowadzać w życie w stopniu możliwym do urzeczywistnienia.

W takim pojmowaniu utopii zawarte jest wizjonerstwo, ale nie ma nic fikcyjnego.

IV

Współczesność stawia przed nauką społeczną Kościoła również zasadnicze pytanie o istotę, o właściwy sens (by nie powiedzieć heretycko: o prawomocność) biblijnego wezwania, aby człowiek *czynił sobie ziemię poddaną*. Sytuuje się ona niebezpiecznie blisko pozytywistycznej myśli o „podboju przyrody”, która została wchłonięta przez doktrynę i praktykę zarówno liberalizmu jak marksizmu. Ten aspekt myślenia europejskiego do ostatnich czasów był względnie jednolity we wszystkich nurtach filozoficznych oraz niesprzeczny z Księgą Rodzaju. Tylko nieliczni mędracy

(a także święci, jak Franciszek z Assyżu) głosili w tej materii idee nieco dysydenckie, mniej-bardziej bliskie „kosmo-centrycznym” koncepcjom Wschodu (ściślej: jego kręgu indyjskiego) oraz „witalistycznym” kultom afrykańskim i indiańskim, wedle których człowiek nie jest istotą szczególnie wyróżnioną w świecie przyrody, a jego życie nie jest wartością jakościowo wyższą od życia innych stworzeń, także mających prawo do bogactw świata. Pięknie to wyraził wódz indiański Leroy, „Mały Niedźwiedź”, przed komisją rządu Kanady: *Stwórca nie dał ziemi tylko ludziom, ale wszystkim żywym istotom /.../ Jeleń ma takie same prawa własności i interesy jak człowiek. Taka koncepcja współposiadania ziemi razem z bratnimi zwierzętami i roślinami jest jednak całkowicie obca zachodnim społeczeństwom.*

W wielu kulturach autochtonicznych ludzie, zadając śmierć zwierzętom albo zniewalając je, mają poczucie grzechu, że gwałcą wyższe prawo, przeto stosują różne czynności rytualne, mające naprawić wyrządzone zło. Dopiero w ostatnich czasach idea harmonii z przyrodą szerzej przenika do cywilizacji europejskiej, stanowiąc nie tylko ośnowę poglądów jej „alternatywnych” kontestatorów, ale też „akademickich” ekologów, odwołujących się nie do filozoficznej koncepcji jedności przyrody, lecz do pragmatycznej wiedzy, iż przez niepohamowaną eksploatację zasobów naturalnych ludzkość zmierza do samozagłady. Lynn White Jr. w szkicu „Historyczne korzenie naszego kryzysu ekologicznego” („Science”, 1967, t. 155) dowodził, że clementem tego kryzysu jest wiara ludzi Zachodu, iż: *Wolą Boga jest to, by człowiek wykorzystał przyrodę dla swych własnych celów.* Zwracając się do przedstawicieli świata nauki w auli KUL-u, Ojciec Święty odniósł się i do tej kwestii: *Tu pragnę bodaj dotknąć bardzo dziś aktualnej w całym świecie sprawy ochrony zagrożonego środowiska naturalnego. Jest to, jak mi wiadomo, problem ogromnie ważny również w Polsce. „Czynić sobie ziemię poddaną” znaczy też respektować jej prawa, prawa natury. W tej dziedzinie: w trudzie umiejętnego opanowania sił przyrody i mądrego gospodarowania jej zasobami, nauka – jak Państwo sami wiecie – ma wielkie zadanie do spełnienia.* Konstatacja ta posłużyła Ojcu Świętemu do wyrażenia następnej myśli, bardzo ważkiej, lecz przenoszą-

cej rozumowanie znowu na „homocentryczną” płaszczyznę: *Jednakże „czynić sobie ziemię poddaną” – to znaczy także: nie uczynić siebie samego poddanym ziemi! Nie pozwolić ani poznawczo ani praktycznie „zredukować” człowieka do rzędu przedmiotów. Zachować podmiotowość osoby w obrębie całej ludzkiej „praxis”, zabezpieczyć tę podmiotowość również w ludzkiej zbiorowości: w społeczeństwie, w państwie, przy różnych warsztatach pracy czy choćby nawet zbiorowej rozrywki.*

Czy ta głęboka i wymowna nauka odpowiada jednak na poprzednie egzystencjalne pytanie, na zasadniczą wątpliwość, dotyczącą prawa człowieka do dowolnego rozporządzania wszelkimi innymi bytami? Nie jestem o tym przekonany. Wydaje mi się, że motyw franciszkański, motyw pokory wobec natury, zasługuje w Kościele, właśnie dziś, w dobie zagrożenia środowiska, na dowartościowanie – a drogą ku temu mógłby być między innymi dialog z religiami niechrześcijańskimi (zresztą już zapoczątkowany, i to właśnie w Assyżu), szczególnie zaś z buddyzmem, który w kwestii relacji człowiek–przyroda na wiele wieków przed początkiem chrześcijaństwa doszedł do mądrych i nader obecnie aktualnych wskazań. Wypada chyba przyznać rację Arnoldowi Toynbee, że wszystkie religie zgodne są w istocie, iż celem człowieka powinno być opanowanie SAMEGO SIEBIE i niculeganie chciwości poprzez chęć opanowania świata.

Chwilowo nie jest zatem źle, że niektórzy polscy kapłani w swej pracy duszpasterskiej w ogóle, jak mi wiadomo, pomijają biblijną dyrektywę *czynienia sobie ziemi poddaną*. Uważają, że skoro w tej kardynalnej kwestii brakuje adekwatnej wykładni teologicznej, to lepiej przemilczeć ją aniżeli podtrzymywać wśród ludzi żądzę zawłaszczania wszystkiego, co Stwórca powołał do istnienia – żądzę wiodącą ku własnemu ich nieszczęściu na ogołoconej planecie.

Réflexions sur les paroles de l'Archipasteur

Au cours de sa visite en Pologne en juin 1987, Jean Paul II a prononcé 27 discours publics dans lesquels il a défini les tâches à entreprendre par l'Eglise et la société polonaise dans le contexte de la situation nationale provoquée par les événements historiques des dernières années. Dans la dimension ecclésiale, il a souligné le principe de la collégialité et a recommandé le modèle de l'„Eglise des pauvres". Il a

démontré que l'enseignement social de l'Eglise est axé sur le concept de sujet, qualité propre à l'individu comme à la société, par opposition à celui d'objet. Cette qualité de sujet appelle les notions de solidarité et d'entraide. Le Pape a aussi pris position sur le problème d'un milieu naturel menacé, en se référant à l'appel biblique „assujettissez la terre".



Góry i odpowiedzialność

Dyskusja na temat tendencji we współczesnym alpinizmie sportowym, która odbyła się 3 grudnia 1986 r. w Stołecznym Klubie Tatrzańskim. Rozmawiali: Bolesław Chwaściński, Michał Jagiełło, Zdzisław Kozłowski, Jan Serafin i Zbigniew Skoczylas.

MICHAŁ JAGIEŁŁO: Proponuję, abyśmy wyłączyli poza obszar naszych zainteresowań zagadnienie motywacji znajdujących się u podstaw alpinizmu. W tym gronie rozmowa na ten, jakże zresztą grząski temat, wydaje się po prostu niestosowna. Powinniśmy też postarać się, aby ta rozmowa nie przerodziła się w moralizowanie. Nie jest to łatwe. Mamy przecież w świeżej pamięci znajomych, kolegów, czasem wręcz przyjaciół, którzy uprawianie alpinizmu opłacili ceną najwyższą. Tragiczna seria, która dotknęła także polskich alpinistów latem 1986 r. w Himalajach, powodując, że pewne sprawy widzimy dziś w ostrym świetle – może nawet w zbyt ostrym. Nie jest też bez znaczenia fakt, iż nie ma wśród nas nikogo, kto zajmuje się himalaizmem wyczynowym, nawet ci, którzy uczestniczą w wyprawach stawiających sobie ekstremalne cele (jak obecny tu Jan Serafin), nie należą już przecież do grupy „sportowców”. Reprezentujemy więc, mimo wszystkie różnice jakie są między nami, podobny pogląd na góry i podobnie widzimy alpinizm. Siłą nawyku i tradycji, a także z uwagi na zasób życiowych (także górskich) doświadczeń, skłonni jesteśmy do zajmowania postawy zachowawczej także w odniesieniu do dziedziny, która jest nam bliska. W alpinizmie dokonują się takie zmiany, że wcale nie jest nam łatwo zachować zimną krew. Tym bardziej że giną przecież ludzie... Nie wolno nam jednak dać się ponieść nastrojom swoistego rozgoryczenia (czy nawet pewnej pretensji) wobec tych, którzy pozostali w górach na zawsze. Jest to problem skomplikowany psychologicznie i – rzekłbym – poniekąd nawet dwuznaczny. Nie wchodząc w te nader już intymne sfery psychiki, powiedzieć jednak trzeba, że wiadomość o śmierci w górach naszego znajomego wyzwała w nas nie tylko naturalne uczucie smutku, ale i jakiś trudny do sprzeczowania żal do zmarłego! Jakby to on był w poważnym stopniu współodpowiedzialny, że swą śmiercią zubożył nie tylko swych bliskich, ale także nas wszystkich, czyli pewną społeczność przyznającą się do jakiejś tam wspólnoty. Słowem, mamy do Niego, do Nich żal, że już nie możemy posprzeczać się o drogi,

jakimi podąża himalaizm. Być może jest to uogólnienie za daleko idące. Jeśli tak, to przechodzę na formę dosłownie osobistą. Wstydzę się tego, ale nie chcę ukrywać, że ten żal odczuwałem na wieść o śmierci Andrzeja i Tadeusza, Wojciecha i Dobrosławy. Wstydzę się, że do uczucia podziwu, a może nawet i pewnego rodzaju szacunku, dołączały się każdorazowo wątpliwości, czy aby wielka i szlachetna skądinąd pasja zdobywania gór nie zaprowadziła ich za daleko.

Na naszych oczach kończy się tradycyjny, klasyczny alpinizm, a jego upadek odbywa się, paradoksalnie, w górach najwyższych i w atmosferze imponującego wyczynu. Kończy się era alpinizmu stanowiącego wyrafinowaną i wysublimowaną (choć trudną do zrozumienia dla ludzi spoza klanu) formę PARTNERSTWA. Zaczyna się epoka nowa – i trudno dziś wyrokować, czym się ona zakończy. Alpinizm tradycyjny („partnerski”) był próbą syntezy skrajnego indywidualizmu z wymogami działań zespołowych poddanych normom stanowiącym niepisany, lecz powszechnie uznany kodeks człowieka gór. Lina łącząca zespół wspinaczkowy miała tyleż techniczne, ile kulturowo-etyczne znaczenie. Tatarnik, alpinista był w większym stopniu człowiekiem syntetyzującym w sobie kulturę i naturę (w szerokim sensie tych słów) aniżeli boiskowym wyczinowcem. Potrzeba wspinaczki pojawiała się z reguły jako zwieńczenie zainteresowań turystyką górską i zafascynowania wysokogórskim krajobrazem. Wszystko to powodowało, że nawet najwybitniejsi czuli się związani z tą resztą turystów, którzy nigdy nie zasmakują emocji wspinaczki. Dziś mamy do czynienia z gwałtowną profesjonalizacją alpinizmu, do którego wniesiono niemal wszystkie cechy typowe dla sportu wyczinowego. Narzuca to drastyczne zmiany w całym myśleniu o górach. Oczywiście, sukces – zdobycie szczytu, poprowadzenie nowej drogi wspinaczkowej, powtórzenie w dobrym stylu trudnej tury – zawsze był celem ludzi gór. Ale nie celem jedynym! Dziś też tak jest. Z tą wszakże różnicą, że to co w alpinizmie klasycznym było wyraźnie widoczne, a czasem nawet ostentacyjnie podkreślane, dziś jest tak głęboko ukryte, że niemal niedostrzegalne. Tym „czymś” była właśnie ta wartość dodatkowa, ten naddatek PARTNERSTWA, liny łączącej na dobre i na złe; to wszystko, co było, powiedzieć można, otoczką wyczynu. Mam obawy, że kręcąca się już na pełnych obrotach himalajska karuzela, ten nieoficjalny alpinistyczny „puchar świata” gubi ową wartość dodatkową, bowiem nie pasuje ona do nowego modelu wspinania. Powiedzieć tu trzeba, że model ten wniósł wiele dobrego w warstwie szczegółowej: lepsze wykształcenie ludzi, przekroczenie wielu barier psychicznych, ale stawiając na piedestał WYCZYN NIE-

MAL ZA KAŻDĄ CENĘ usunął w cień to wszystko, co można nazwać refleksją nad etycznymi kosztami wyczynu.

JAN SERAFIN: Pod koniec lat siedemdziesiątych zaczął się schyłek himalaizmu klasycznego, który zakładał oblężenie góry: duża liczba uczestników, tony ładunków, stopniowe budowanie obozów, zakładanie lin poręczowych zabezpieczających zarówno wspinaczkę w górę jak i odwrót, zaopatrywanie tych obozów. Akcja rozłożona w czasie dawała możliwość właściwej aklimatyzacji, a więc mogła się rozwijać WZGLĘDNIE bezpiecznie, bo przecież o całkowitym bezpieczeństwie w żadnych górach, a co dopiero w górach najwyższych, nie można mówić. Wszystko to sprawiało, że mieliśmy wtedy do czynienia z rozsądnymi granicami zagrożenia. Ale stan ten zaczął się zmieniać wraz z usportowieniem tej działalności wyczynowej, którą określaliśmy poprzednio jako alpinizm, a co według wielu z nas nie było jedynie sportem, lecz czymś znacznie ważniejszym.

Najpierw zwiększyło się tempo zdobywania gór, potem zmniejszono liczbę uczestników; pojawiły się tzw. wyprawy lekkie, które zakładały siłą rzeczy zmniejszenie marginesu bezpieczeństwa. Pierwsze co mnie jako lekarza zaniepokoiło, to była stopniowa rezygnacja z tlenu. Ale jednak jeszcze zdobywanie góry trwało stosunkowo długo. A potem przyszła tendencja, żeby ten czas skracać. Zaczęły się wejścia szybkie. Kosztem czego? Kosztem aklimatyzacji, a więc kosztem zwiększenia zagrożenia deterioracją, chorobą wysokościową. Zaś w ostatnich kilku latach pojawiły się jeszcze dwa dalsze sposoby zdobywania gór najwyższych: wyprawy kilkusobowe, dwuosobowe, a nawet pojedyncze wejścia na szczyty, i wreszcie tzw. wejście błyskawiczne, których przykładem jest pokonanie K2 w 26 godz. czy pokonanie Broad Peak'u przez Krzysztofa Wielickiego w niespełna 24 godz.! W jeden dzień z bazy na wierzchołek i z powrotem do bazy. Było to poprzedzone okresem aklimatyzacji, ale oczywiście nie ma tu miejsca na tlen, na żadną asekurację – to się nie mieści w czasie. Jest tylko wspinaczka w górę i w dół, a właściwie bieg w górę i w dół. Wreszcie jesteśmy świadkami wyczynów, przy których aklimatyzacja jest pomijana jako bagaż niepotrzebny, jako przesąd: Jestem wspaniały, sprawdziłem się wielokrotnie. Mnie wobec tego nie obowiązują reguły dotychczasowe. Ja wchodzę na szczyt 8500 m na dziesiąty dzień od przylotu w góry. Dlaczego? Dlatego, że mam już w harmonogramie następny wysoki szczyt, a potem jeszcze jeden. W jednym sezonie dwa, trzy ośmiotysięczniki.

Jako były wspinacz, bo tak już chyba muszę się określać, patrzę na to z olbrzymim zdziwieniem. To jest dowód na fenomenalne rezerwy tkwiące w człowieku. Natomiast jako lekarz po prostu nie mogę tego akceptować: himalaizm wchodzi wprawdzie w uliczkę imponującą, ale ślepa. Jest to uliczka ślepa dlatego, że nigdy człowiek nie będzie w stanie działać poza barierą biologiczną. Tymczasem tę barierę się łamie! Dla różnych ludzi tą barierą jest różna wysokość. Przyjmuje się, że strefa tzw. śmierci biologicznej zaczyna się od wysokości 7400–7600 m. Pobyt tam należy maksymalnie skracać, a jeżeli miałby się on przedłużyć, należy się ratować (to jest właściwe słowo i chcę go tutaj użyć) używaniem tlenu. Tymczasem większość alpinistów usiłujących naśladować tych dwóch, trzech, czterech najlepszych, których stać na niezwykle szybkie tempo – a więc działanie w sposób jeszcze względnie bezpieczny – nie jest w stanie i nigdy nie będzie mogła im dorównać w szybkości i wytrzymałości. Czyli dla bardzo wielu jest to niewygodna (raczej: wyrafinowana) forma samobójstwa. Określam to drastycznymi słowami, ale mówię jako lekarz świadomy następstw ekspozycji organizmu na niedotlenienie.

ZDZISŁAW KOZŁOWSKI: Nowoczesne poruszanie się po górach najwyższych staje się konkurencją SOŁOWĄ. Kiedyś dla nas lina, która nas łączyła, była symbolem naprawdę ważnym, właściwie – pierwszorzędnym. Góry to było jakby tło tego, że jesteśmy razem, że razem pokonujemy trudności. I ten model alpinizmu utrzymywał się przez dziesięciolecia. Zasada: razem się wychodzi, razem się wraca – to dewiza alpinisty dawnego typu. Potem to się zaczęło łamać. Ja pierwszy raz się z tym spotkałem w Hindukuszu Afgańskim w 1974 r.; zorientowałem się, że każdy sobie... Już wtedy zaczynało być niemal powszechnie przyjęte, że ten słabszy zostaje w tyle, a ten silniejszy prze w górę. W tej chwili to stało się właściwie regułą. Dla mnie po prostu załamała się jakaś sprawa zupełnie podstawowa. W tej chwili obowiązuje niepisana umowa, że wspólne wyjście to jest taki jakiś dość przypadkowy start. Natomiast to, co dzieje się potem – to już trudno, każdy daje sobie radę sam. Jest to pogląd w tej chwili obowiązujący w czołówce alpinizmu światowego.

ZBIGNIEW SKOCZYŁAS: Czy alpinizm jest tylko dyscypliną sportową? Robiliśmy w Polskim Związku Alpinizmu takie podsumowanie za okres ostatnich 40. lat i doliczyliśmy się 311. kolegów, którzy zginęli w górach! Tego nie można porównać w ogóle z żadną z dyscyplin sportowych uprawianych w Europie; w żadnym ze sportów, z wyjąt-

kiem wyścigów samochodowych, nie zginęło tylu ludzi co u nas w porównywalnym okresie. Poza tym to, co dzieje się w górach przy każdym wypadku, jest widowiskiem zupełnie wyjątkowym. Śmierć na torze samochodowym czy motocyklowym, śmierć skoczka spadochronowego, śmierć pilota-akrobata – to są ułamki sekund. Natychmiast przyjeżdża karetka, zbiera się to, co zostało i zawody trwają dalej, wszyscy bardzo szybko zapominają. Pamiętam, jak wyglądała akcja ratownicza na Eigerze, która trwała w sumie cztery dni, a raczej to, co działo się wokół tej akcji. Cała Europa to oglądała w różnych formach: film, telewizja, prasa. Popularność tego wszystkiego, co się dzieje w górach, nadaje wypadkom alpinistycznym wyjątkową rangę. Nie tylko zresztą wypadkom. To, że w tej chwili już dzieci interesują się rywalizacją Kukuczki z Messnerem, wynika m.in. z tego, że jest to bodaj jedyna dyscyplina sportowa (czy parasportowa), w której Polacy mogą się naprawdę ścigać. Alpinizm to jedyna dyscyplina polska o oddechu światowym...

Ale te wielkie osiągnięcia uzyskiwane są, jak powiada Janek Serafin, z pogwałceniem reguł obowiązujących w himalaizmie tradycyjnym. Wiele osób ze światka alpinistycznego dostrzega te niedobre tendencje, ale też zaraz słyszy się zdanie, że nic się na to nie poradzi – taki jest kierunek rozwoju tej dyscypliny. Jest w tym jakiś fatalizm. A przecież znamy dyscyplinę, w której postawiono tamę zjawiskom niekorzystnym; myślę o podnoszeniu ciężarów – sporcie dla mnie osobiście przerażającym! – gdzie wyeliminowano wyciskanie jako trzeci bój w konkurencji. Był to bój bardzo niebezpieczny dla zawodników, niosący z sobą poważne zmiany w układzie kostnym, a nawet krwionosnym! W tej chwili został tylko podrzut i rwanie. Najniebezpieczniejszą konkurencję wyeliminowano.

W przypadku alpinizmu odwrócenie niekorzystnych tendencji, które pociąga za sobą wyścig z czasem za wszelką cenę, wydaje się niezwykle trudne, jeśli w ogóle możliwe. Doświadczenie uczy, że jeśli pewna dyscyplina wkracza w jakąś podejrzaną uliczkę, to brnie nią aż do końca. Nawet jeśli jest to uliczka ślepa. Zawsze bowiem znajdują się chętni do podjęcia właśnie takiego ryzyka. Próba odwrócenia tego, powrotu do czasów wielkich wypraw, których ukoronowaniem było zdobycie Everestu, nie jest ani możliwa, ani celowa. Kiedyś himalaiści zostawiali ludzie, którzy na co dzień wykonywali normalne zawody, odrywali się od swej pracy, jechali w góry, aklimatyzowali się, oblegali górę, wracali, uprawiali dalej ten swój wyuczony zawód. Dziś większość z tych, którzy rzeczywiście chcą coś znaczyć w himalaiz-

mie czy szerzej, w ekstremalnym alpinizmie – a o nich tu mówimy – to są zawodnicy jeżdżący w góry najwyższe trzy, cztery razy w ciągu roku. Jestem przekonany, że będziemy świadkami coraz bardziej ryzykownych, groźących nieobliczalnymi skutkami wyczynów sportowych na tych największych wysokościach. Rozmawiałem prawie ze wszystkimi, którzy z naszej, polskiej strony reprezentują nurt himalaizmu wyczynowego. Twierdzą, że oczekiwać sukcesów może jedynie ten, kto LICZY TYLKO SAM NA SIEBIE. Nie ma praktycznie możliwości oglądania się na partnera. Zresztą w większości sytuacji żadna pomoc nie jest po prostu możliwa. Ale istnieje chyba możliwość zapewnienia nawet tym ekstremalnym formom wyczynu himalajskiego jakichś rozsądnych granic bezpieczeństwa. Istnieje na pewno możliwość podejmowania przez kierowników wypraw (nawet maleńkich) takich decyzji, które będą optymalne w danych warunkach i przy założeniu i prawdopodobieństwie ryzyka, jakie się podejmuje. Ogromną rolę mają tu do odegrania nasi koledzy lekarze, którzy są w stanie uświadomić wszystkim olbrzymią różnicę w zachowaniu się człowieka, w zdolności do oceny ryzyka, do podejmowania decyzji na poziomie, powiedzmy, 2000 m i na poziomie 8000 m. Obawiam się, że duży odsetek kolegów, zwłaszcza młodych, nie zdaje sobie jeszcze w pełni z tego sprawy. To, co się stało na K2, jest wstrząsające. Tego nie sposób zrozumieć. Gdyby tam się znalazł jeden rozsądny człowiek, mogło się to inaczej skończyć. Na dole, w bazach byli ludzie, którzy musieli sobie przecież zdawać sprawę z tego wszystkiego, co się tam w górze dzieje.

Powiedzieć jednak trzeba z całą mocą, że być może na wysokości 8000 m pomoc, żadna pomoc, nie jest już możliwa. Każdy jest zdany sam na siebie. Na pewno jest to wstrząsające dla tych wszystkich, którzy wychowali się w tradycji współdziałania zespołu, odpowiedzialności za partnera. Tak, ale to są zupełnie inne góry, zupełnie inne sytuacje, zupełnie inny rodzaj wyczynu. Słowem, mówimy w tej chwili o zupełnie innym sposobie rozgrywania tej gry, jaką jest alpinizm, innym aniżeli to, co samiśmy zastali i w czym uczestniczyliśmy.

MICHAŁ JAGIELLO: Dopowiedzmy też, że niesłuszny byłby pogląd, iż zmienili się ludzie uprawiający alpinizm. W ogromnej większości są to ludzie inteligentni, wrażliwi, częstokroć psychicznie delikatni, jeśli nie przewrażliwieni na punkcie własnej osoby. Nieprawdą jest, że w góry weszło pokolenie kompletnie nieczułe na takie sprawy, jak np. partnerstwo, odpowiedzialność za innych. To zmieniła się sytuacja!

Warto jednak zadawać sobie pytanie, znane zresztą skądinąd: Czy sytuacja ZAWSZE ma rację. Niektórzy z kolegów-wyczynowców mówią

mniej więcej tak: To jest nieuchronne. Taki jest naturalny kierunek rozwoju alpinizmu. Są nawet tacy, którzy powiadają: Tak rodzi się postęp. Osobiście niechętnie (no, od jakiegoś czasu – dodam dla jasności) używam słowa „postęp”, bo obciążone jest ono różnymi konotacjami. A poza tym rodzi się pytanie, czy powinno się akceptować taki postęp, który niszczy tradycyjne struktury czy zasady, niewiele w zamian wnosząc – jest to jednak dylemat, którego roztrząsanie odwiodłoby nas dość daleko od gór...

Spójrzmy zatem na alpinizm oczyma młodego wyczynowca, dla którego ta nowa sytuacja, tak nas tu szokująca, jest sytuacją NORMALNĄ. Ludzie zawsze sięgali po coś, patetycznie mówiąc, co przewyższa – wydawałoby się – ich możliwości. Podejmowali ryzykowne przedsięwzięcia. Pan Bolesław Chwaściński samotnie przeszedł południową ścianę Zamarłej Turni – i to kiedy! Oczywiście, są to sprawy właściwie nieporównywalne. Ale może jest tak, że – mimo wszystkich zmian sytuacji zewnętrznej i wewnętrznej alpinizmu i alpinisty – wciąż mamy do czynienia z TYM SAMYM. Być może negatywne elementy, o których dziś dyskutujemy, znajdują się u podłoża alpinizmu w ogóle, a nie tylko alpinizmu wyczynowego w jego skrajnej postaci. One zawsze były, te negatywne elementy, ale nie wychodziły tak ostentacyjnie na powierzchnię alpinistycznego życia, jak dzieje się to na naszych oczach. Młodzi zapewne bliscy są przeświadczenia, że specyficzny etos taternika, etos alpinisty to w gruncie rzeczy wielka mistyfikacja. Pokolenia wasze – mogą mówić młodzi – chodziły po górach z pewną rezerwą fizyczną i psychiczną. My chodzimy na granicy ludzkich możliwości psychicznych i nie mamy już ani sił fizycznych, ani odporności wewnętrznej, aby zajmować się partnerem. Dziesięć lat temu usłyszałem: *Cały ten piękny zresztą etos taternika, ta lina, ten partner – to już jest przeszłość. Teraz każdy dba o siebie. Tylko takim kosztem można osiągnąć liczący się na arenie światowej wynik. Uczciwość wymaga, aby publicznie i wyraźnie powiedzieć to społeczeństwu. To, co było dawniej, nieodwołalnie się skończyło. No, chyba że uprawia się alpinizm rekreacyjny. Walka na najwyższym poziomie wymusza nowe reguły postępowania.* Jest w tych okrutnych zdaniach jakaś logika. Gotów jestem częściowo uznać racje tego wyводу. Faktem jest przecież, że na dużych wysokościach na wszystko reaguje się swoiście. Kończy się „normalność”, zaczyna się domena „patologii”. Biologia domaga się drastycznie swych praw. Traci na tym to co w nas duchowe. Być może największy problem wyczynowego himalaisty to nie pozwolić się całkowicie zdominować biologii.

Wyznam, że z jednej strony podziwiam tych, którzy pokonują dziś trudne ściany himalajskie lub też w świetnym czasie osiągają ośmiotysięczniki, także zimą. Coraz częściej jednak jest to podziw bez akceptacji – i to jest druga strona tego zagadnienia.

ZBIGNIEW SKOCZYŁAS: Nie chciałbym zabierać głosu w sprawach postaw ludzkich, które obserwujemy powyżej, powiedzmy, 7800 m. Dlatego, że prawdopodobnie wpływ wysokości i długotrwałego przebywania na niej może się odbijać w takim stopniu na sposobie bycia, zachowania i w ogóle reakcjach, że człowiek nie w pełni odpowiada za swoje czyny. Natomiast do wysokości 7500–7800 m przeciętnie sprawny fizycznie i psychicznie alpinista powinien sobie poradzić ze wszystkimi trudnościami typowymi dla gór.

Dodam w formie osobistego komentarza, że w sferach wojskowych dość powszechnie przyjmuje się, iż fizyczne i psychiczne obciążenia alpinisty, obciążenia występujące w długich lub nawet bardzo długich jednostkach czasowych, są w wysokim stopniu zbliżone do obciążeń, jakim podolać musi żołnierz na polu walki. Stąd w szkoleniu formacji elitarnych, specjalnych, trening alpinistyczny odgrywa tak dużą rolę. Pragnę zwrócić uwagę na to, że nawet w najtrudniejszych warunkach pola bitwy od żołnierza wymagano nie tylko męstwa, ale również okazania pomocy, opieki, słowem tego wszystkiego, co powinien otrzymać jego towarzysz z prawej i lewej strony. Znane są przypadki ofiarności, poświęcenia, zdolności do podejmowania największego ryzyka w imię tak rozumianej solidarności. Mam wrażenie, że można wymagać, aby nawet podczas wielkiego górskiego wyczynu (powtarzam: poniżej 8000 m!) żądać odpowiedzialności za współtowarzyszy. Pogląd: Ja nie ponoszę odpowiedzialności za nikogo prócz siebie – jest poglądem, z którym nie wolno nam się zgodzić. Czym innym jest podjęcie każdego ryzyka w imię wyczynu, a czym innym w konkretnej sytuacji nieudzielenie pomocy. Czy sukces ma więcej znaczyć niż życie człowieka, który idzie obok mnie?! Nic też nie usprawiedliwia porzucenia partnera ani też niczym nie można wyłgać się z braku rzeczywistego zainteresowania człowiekiem, który znajduje się w moim zasięgu.

JAN SERAFIN: Zgoda. Zauważ jednak, Zbyszek, że dzieje się to wszystko w sytuacji drastycznie różniącej się od warunków np. tatrzańskich czy alpejskich. Moja wypowiedź będzie dłuższa i dotyczyć będzie splotu spraw technicznych, biologicznych i poniekąd etycznych.

Pozwolę sobie zacząć od wrywkowego zestawienia dotyczącego kilku szczytów: Mount Everest (8848), K2 (8611), Kangchendzönga (8599), Lhotse (8511), Makalu (8481), Yalung Kang (8450), Masher-

brum (7821). Zestawienie to obejmuje okres od 1979 do 1986 r. – jest to wykaz wypadków śmiertelnych tylko tych alpinistów, którzy weszli (lub prawie weszli) na wierzchołek danej góry – i zginęli. Z analizy zawartych tu danych wynika niezbitie olbrzymi wzrost śmiertelności w warunkach wejść bez tlenu. Na 32 wypadki śmiertelne aż 24 podczas wejść beztlenowych! Spośród tych 24. zmarłych alpinistów 17. miało jeden lub więcej biwaków nie przewidzianych planem akcji. Były to biwaki w strefie śmierci biologicznej. Świadczy to, że reżim wejść beztlenowych narzuca – nawet najlepszym! – bardzo wolne tempo. Nie dotyczy to TYLKO KILKU FENOMENÓW! Zawsze będzie w skali globu parę osób, które będą w stanie osiągnąć ośmiotysięcznik z bazy i powrócić do tejże bazy w ciągu jednej doby. Dokonać tego i zarazem uniknąć tych zagrożeń, o których będę jeszcze mówił. Natomiast dla CAŁEJ RESZTY alpinistycznej czołówki ryzyko tego typu wyczynu jest tak wielkie, że graniczy z szaleństwem. Lekcja K2 jest tu porażająca. Jeden z zespołów miał kolejno biwaki na: 7100, 7600, 8100, 8400 m. Z ostatniego biwaku na wierzchołek jest 200 m, ale alpinisci stanęli na nim dopiero o godz. 18.00. Cały dzień zużyli na pokonanie tych dwustu metrów. Inny dwuosobowy świetny zespół, o renomie światowej, biwakował zaś tak: 7600, 7900, 8100 m – tu ubezpieczenie linami poręczowymi 25-metrowego trudnego skalnego odcinka zajęło im cały dzień! – ponownie 8100 m, wejście na szczyt i kolejne biwaki w zejściu na 8300, 8100, 7900 m – po czym tragedia. Jeden z alpinistów ginie.

Wydaje mi się, że ta analiza świadczy sama za siebie; wejścia beztlenowe, dostępne tylko dla super-wybrańców natury, dla ogółu nawet wytrawnych alpinistów są ślepym zaułkiem. Uzasadniając to zdanie powiem, że w czasie ostatniego pobytu w Himalajach wiele godzin spędziłem z lornetką rozpatrując możliwość przejścia zachodniej ściany Makalu. To jest monolit skalny, to jest Mnich do którejś tam potęgi – 2500 m pionu! Czy musimy z góry założyć, że tej ściany nie da się pokonać? Byłby to absurd. Tatrzańska Kazalnica też była kiedyś mitem, a dziś pocięta jest siatką dróg. Bez wątpienia alpinizm będzie rozwijał się w kierunku sportowym, wyczynowym. Ale czy może się to dokonywać w warunkach beztlenowych urągających biologicznemu istnieniu człowieka?! Przypomnę: pokonanie 25 m trudnego terenu skalnego zajęło czołowemu himalajskiemu zespołowi cały dzień! Osobiście widzę bliski kres fizycznych możliwości człowieka w himalaizmie wyczynowym w obecnej formie.

Zwolennicy wejść beztlenowych mówią wprawdzie, że użycie tlenu jest już „niehonorowe“ ze sportowego punktu widzenia. Dla mnie ten

argument jest kontrowersyjny. Wprawdzie wejścia Messnera i innych wykazały, że kilku ludzi w skali całej społeczności alpinistycznej jest w stanie wejść na „wysoki” ośmiotysięcznik bez tlenu, ale nie zapominałmy tu o dwóch okolicznościach. Po pierwsze – są to wejścia w terenie stosunkowo „łatwym” (w zestawieniu np. z wcześniej wymienianą zach. ścianą Makalu). Po drugie – zwolennicy wejść beztlenowych używają licznych ułatwień technicznych, jak buty izotermiczne, bardzo lekkie, ubrania z Gore-tex wspaniale izolujące od przemoczenia i niskiej temperatury, półtorakilogramowe namioty, odzież typu „polarwear” eliminująca ciężką wełnę itp. sprzęt, którym nie dysponowali ich poprzednicy obciążeni ciężkim sprzętem. A więc jakiś brak konsekwencji... Jedno się akceptuje, innego się nie akceptuje.

Moim skromnym zdaniem nie unikniemy technicyzacji sportowego himalaizmu i będzie konieczny powrót do tlenu przy zdobywaniu wielkich skalnych urwisk – zwłaszcza tych położonych w strefie najwyższej, tj. powyżej 7200–7400 m. Oczywiście nie myślę o aparaturze tlenowej obecnie używanej, gdyż jest ona zdecydowanie zbyt ciężka. Poszukiwania rozwiązań technicznych pójdą prawdopodobnie w kierunku aparatu produkującego i podającego tlen w oparciu o reakcję chemiczną. Próby takie już dawniej wykonała jedna ze szwajcarskich ekspedycji everestowskich. Staną się wówczas możliwe wspinaczki wielodniowe w dużych ścianach himalajskich, trawersowania kilku wierzchołków. I – co wydaje mi się bardzo istotne z etycznego punktu widzenia – będą to akcje z większym marginesem bezpieczeństwa.

Zagadnienia biologiczne – używać czy nie używać tlenu – wiążą się z problemami natury etycznej. Powiedzieć trzeba przecież mocno, że pozostanie przy osłabłym czy chorym partnerze w strefie śmierci biologicznej równa się samobójstwu! Bez tej brutalnej prawdy nie będziemy mieli rzeczywistego obrazu sytuacji. Transport chorego powyżej 8000 m bez tlenu jest praktycznie niewykonalny. Powiem więcej, samo wspinanie bez tlenu na tych wysokościach, wspinanie rozciągnięte w czasie, jest bliskie samobójstwu. To jest powolne umieranie w czasie wspinaczki. Tylko że jeden umrze po kilku godzinach, inny dopiero po kilku dniach, ale w obu przypadkach jest to obcowanie ze śmiercią. Najpierw jest imperatyw wejścia na szczyt, który często okazuje się śmiertelną pułapką, bo gdy się ów imperatyw kończy z chwilą osiągnięcia szczytu, okazuje się, że brak sił na powrót! Leszek Cichy, zimowy zdobywca Everestu, powiedział, że rozumie, iż można wejść na wysoki szczyt i nie mieć sił, aby z niego zejść. I jak tu myśleć o ratowaniu partnera!

MICHAŁ JAGIELLO: Ostatnie zdanie Jana jest dla mnie niezwykle ważne. Wprowadza nas ono w problem odpowiedzialności za siebie i innych. Niestety, czasem zdarza się tak, że my tu, na nizinach, nie jesteśmy do końca przekonani o tym, że dany alpinista zachował się w trudnej sytuacji bez zarzutu. Czy my, tu, na dole, mamy być pozbawieni prawa do oceny kierunku, w jakim podąża dziedzina, z którą jesteśmy jakoś tam związani? Tu nie chodzi o prokuratorski ton, chodzi o chęć zrozumienia tego, co dzieje się z człowiekiem wysoko w górach. Jest to istotne dla całego ruchu alpinistycznego. Chodzi o to, aby nie rozgrzeszać się za wcześniej. Aby nie nastąpiło **OBNIŻENIE** progu odpowiedzialności. Pozostanie z partnerem na 8000 m – bezsens. Zgadzą się na ogół z tym. Ale ktoś może powiedzieć, że już na 6000 znajdował się w sytuacji krytycznej, ktoś inny pozostawi kolegę w Alpach, a czemu w końcu i nie w Tatrach – jeśli kurniawa, mróz i inne niedogodności?! Sprawa jest bardzo trudna.

ZDZISŁAW KOZŁOWSKI: Dodajmy, że jeszcze do niedawna każdy wypadek śmiertelny na wyprawie był analizowany, był przedmiotem dochodzeń komisji dyscyplinarnych, starano się wyjaśnić okoliczności, wyciągnąć wnioski. Natomiast w tej chwili już w ogóle nie ma o tym mowy. Coś tu jednak zmieniło się w sposób zasadniczy, jesteśmy świadkami jakiejś zmiany jakościowej. Czy nie jest to niepokojące? Ale... bądźmy realistami, są to już chyba tylko niepokoje „dziadków”.

MICHAŁ JAGIELLO: Panie Bolesławie, wiemy, że niechętnie wypowiada się Pan o bieżących wydarzeniach alpinistycznych. Waga zagadnień, które tu próbujemy zarysować, jest jednak tak znaczna, że Pana głos w naszej rozmowie jest po prostu niezbędny.

BOLESŁAW CHWAŚCIŃSKI: Należę do innego pokolenia, zupełnie już archaicznego, myśmy byli inaczej wychowani, mieliśmy uczuciowy stosunek do gór i według mego przekonania – i moich rówieśników – celem alpinizmu było doznanie wewnętrznego przeżycia. Oczywiście, nikomu nie można odmawiać zdolności przeżyć wewnętrznych, nawet tym, którzy dziś zachowują się w górach jak gladiatorzy. Dotykamy tu zagadnień trudnych. Ja mogę żałować, że te piękne czasy okresu międzywojennego przeminęły, ale to nic nie pomoże. Te czasy już nie wrócą. Procesy, którym podlega alpinizm, mają przebieg nieodwracalny. Alpinizm tak jak każde zjawisko społeczne nie znajduje się w jakiejś idealnej przestrzeni, wręcz przeciwnie – jest zależny od kultury w szerokim sensie tego słowa, jest jednym z jej elementów. Ja wychowałem się górsko na literaturze o silnym podkładzie uczuciowym, na

Mieczysławie Świerzu, na Mariuszu Zaruskim. Ale dziś jesteśmy przecież w innej epoce, w epoce kultury masowej i społeczeństwa masowego. I dla mnie to, co dzieje się teraz w Himalajach, jest jednym z przejawów właśnie typowej kultury masowej, której częścią są medale sportowe, kamery filmowe i telewizyjne, a także śmigłowce w górach przekazujące milionom widzów widok wspinającego się asa himalajskiego w ścianie. Jedną z cech kultury masowej jest, jak wiadomo, zrywanie więzów międzyludzkich i samotność w tłumie. I jak tu mówić o tradycyjnie rozumianym PARTNERSTWIE?!

Wypowiedzi naszych oficjalnych czynników alpinistycznych i autoritetów himalajskich („Perspektywy”, nr 44 z 31 X 1986 r.), poparte na tym zebraniu przez kol. Serafina, widzą przyczynę śmiertelnych wypadków na K2 w 1986 r. jedynie w braku stosowania aparatów tlenowych. Stoją one na stanowisku, że jedynie fenomeny fizjologiczne mogą sobie pozwolić na wejścia beztlenowe. Wejścia beztlenowe stały się dziś jednak faktem i choć alpinizm płaci za to wieloma ofiarami, wydaje się, że jest to fakt nieodwracalny. Wypowiedzi te więc nie rozwiązują problemu, przed którym stanął alpinizm, nie tylko polski, ale i światowy.

Wejścia beztlenowe nie są osiągnięciami współczesnego alpinizmu. Na wyprawie na Mount Everest w 1924 r. Norton ruszył samotnie do końcowego ataku na szczyt bez tlenu i doszedł do wysokości 8581 m, jak wykazały późniejsze pomiary teodolitem. W czasie następnych wypraw na ten szczyt do obozu VI na wysokości ok. 8300 m wielokrotnie dochodzili bez tlenu i Szerpowie, i alpiniści. W 1933 r. Wyn Harris, Wager i Smythe tak samo bez tlenu doszli do tej samej wysokości co Norton. W 1938 r. wyprawa Houstona na K2, lekarza, w ogóle nie brała tlenu i doszła do wysokości ok. 8000 m. W 1939 r. Wiessner też nie brał tlenu na wyprawę na K2 i doszedł z Pasang Dawą Lamą do 8400 m. W 1953 r. znów ruszył na K2 Houston. Miał on już duże doświadczenie w dziedzinie zachowania się organizmu ludzkiego w rozrzedzonej atmosferze. W czasie wojny, w l. 1942–46, był kierownikiem centrum lotniczego przygotowującego personel latający do lotów na dużych wysokościach. Przez centrum przeszły tysiące osób. Dr Houston przeprowadzał tam długotrwałe badania nad aklimatyzacją, które – co znamienne – nazwał „Operation Everest”. Wyniki badań opublikował, ale ich nie znam. I gdy w 1953 r. Houston znów poprowadził wyprawę na K2, nie wziął z sobą aparatury tlenowej uważając ją za zbędną. Ośmiu uczestników wyprawy spędziło w bardzo ciężkich warunkach pogodowych 10 dni w obozie VIII na wysokości ok. 7800 m i siedmiu z nich zeszło na dół, również w bardzo ciężkich warunkach

pogodowych. Odwrót został spowodowany nie obawą przed deterioracją – alpinści byli przygotowani na dalszy pobyt w obozie – ale koniecznością ratowania jednego z towarzyszy, u którego wywiązał się skrzep. Musieli zabrać towarzysza, choć nie wierzyli, że uda im się zejść na dół. Jak wiemy, los rozstrzygnął – lawina zabrała chorego. Ale trudno przypuszczać, aby cała siódemka uratowanych była fenomenami fizjologicznymi. Byli zwyczajnie dobrze zaaklimatyzowani. W 1939 r., jak wspomniałem, atakował K2 Wiessner. Wyprawa nie wzięła tlenu, a Wiessner z Pasang Dawą Lamą doszli do wysokości 8400 m. Byli w doskonałej formie, niewątpliwie weszliby na szczyt, ale Pasang zgubił przypięte do plecaka raki i zabrakło jedzenia. Ale wyprawa ta była jednocześnie zorganizowana podobnie jak wyprawy na K2 z 1986 r. Oprócz Wiessnera tworzyli ją obcy sobie ludzie, a co gorsza nie mający także większego górskiego doświadczenia. W rezultacie wyprawa zakończyła się dramatem, w którym zginęły 4 osoby. Jeden z uczestników zmarł z deterioracji, zupełnie tam samo jak niektóre ofiary w 1986 r. Zdobycie K2 w 1954 r. też się odbyło bez tlenu. Wyprawa miała tlen i używała go, ale na ostatnim odcinku przedszczytowym tlen się skończył i Compagnoni i Lacedelli kończyli swą drogę na wierzchołek K2 już bez tlenu. Jak z tego krótkiego przeglądu wynika, przyczyną dramatu na K2 był nie brak aparatury tlenowej, lecz brak aklimatyzacji, a co gorsza zbyt długie przebywanie – przy braku tej aklimatyzacji – na dużej wysokości, co musiało spowodować deteriorację. Wchodzenie bez tlenu i bez aklimatyzacji na dużą wysokość jest takim samym brakiem fachowości jak usiłowanie wejścia w ścianę lodową bez raków.

Jeśli zebranie to nie ma być zwykłą pogaduszką, o której na drugi dzień się nie pamięta, trzeba nawet najbardziej bolesne sprawy stawiać jasno, choć może to być brutalne. Dramat na K2 w 1986 r. wynikł z braku fachowości alpinistycznej uczestników wyprawy, a w wypadku może najbardziej dla nas bolesnym, jeszcze dodatkowo z samowoli i niesubordynacji w stosunku do kierownika wyprawy. Podane przez kol. Serafiną przykłady wypadków śmiertelnych nie były wynikiem pogoni za rekordami czasowymi czy ilościowymi, lecz także przede wszystkim braku aklimatyzacji. Broad Peak i Gasherbrum zostały zdobyte bez tlenu i bez wypadków. Oczywiście, najlepsza nawet aklimatyzacja nie zapewni pełnego bezpieczeństwa w najwyższych górach. Ale alpinizm, aby pozostał alpinizmem, musi być sportem niebezpiecznym. Zgódźmy się z tym, że to niebezpieczeństwo jest przecież magnesem ciągnącym ludzi w skalne ściany. Ale obowiązkiem

naszym jest, aby fachowością niebezpieczeństwo to zmniejszać, inaczej alpinizm zmieni się w grę w „kukułkę”, a wtedy, myślę, straci atrakcję i dla jego adeptów, i dla jego widzów.

Użycie tlenu już na pierwszych wyprawach everestowskich, w latach dwudziestych, miało swych przeciwników ideologicznych. Dziś tlen odrzuca się nie ze względów ideologicznych, ale dlatego, że aparatura tlenowa jest ciężka i kosztowna. Jestem przekonany, że gdyby aparat tlenowy ważył niecały kilogram, nikomu do głowy nie przyszłoby wybierać się w Himalaje czy Karakorum bez tlenu. Ale tak się potoczyło życie i samym stwierdzeniem, że ludzie giną, bo nie biorą tlenu, nie zmienimy sytuacji. Żadne zakazy administracyjne nie pomogą. Istniał kiedyś wydany przez władze szwajcarskie urzędowy zakaz atakowania północnej ściany Eigeru, ale miało to efekt odwrotny – dużo ofiar i wreszcie zdobycie ściany. Teraz tlen będzie się odrzucać już nie tylko ze względu na ciężar aparatury i koszt, ale i dlatego, że w odczuciu alpinisty wejście z tlenem będzie czymś gorszym od beztlenowego.

Niewątpliwie różne organizmy różnie się aklimatyzują i istnieją na pewno takie, które się nigdy dostatecznie nie zaaklimatyzują. Na pewno gdzieś istnieje granica trwania tej aklimatyzacji, po której zaczyna się deterioracja. Różna dla różnych organizmów, różna w wysokości i czasie. Znany jest fakt, że człowiek przebywający poprzednio na dużej wysokości szybciej i trwalej się aklimatyzuje. Szerpowie, urodzeni i wychowani na wysokości ok. 3000 m, wielokrotnie przekraczający w drodze do Tybetu przełęcz Nangpa La (5086 m), znacznie szybciej dostosowywali się do rozrzedzonej atmosfery niż alpińscy wychowani na nizinach. I myślę, że tu przede wszystkim leży przyczyna, iż tylko zawodowi himalaiści są tymi fenomenami. Być może właśnie to łatwiejsze aklimatyzowanie się pchnęło ich do zawodowstwa. Są to zagadnienia, mimo tylu wypraw, jeszcze dziś nam zupełnie nie znane, konieczne jest więc rozpoczęcie prawdziwych badań naukowych. W 1933 r. badano kandydatów na wyjazd w Andy w Centrum Badań Lotniczych w komorze niskich ciśnień.

Zgadzam się z moimi przedmówcami, że zmienia się charakter alpinizmu. Widzą to wszyscy. Alpinizm dawny powstał w określonych warunkach ekonomiczno-cywilizacyjnych, które należą już do przeszłości. Zdobycie Matterhornu w 1865 r. i Mount Everestu w 1953 r. należały do tego alpinizmu, który był przede wszystkim alpinizmem rekreacyjnym. Zmiana dawnego alpinizmu wynikała z upodobniania go do sportów zawodniczych. Ale nie była to zmiana nagła, nie nastąpiła ona dopiero ostatnio. Od lat alpinizm walczył o zrównanie go z ping-

-pongiem i piłką nożną. Dopominał się o medale. Coraz silniej akcentowała się rywalizacja z drugim człowiekiem. Człowiek już nie walczył tylko ze skałą i lodem, walczył z drugim człowiekiem.

Zmienia się etyka alpinistyczna. Nie chcę tego tematu rozszerzać, nie tylko dlatego, że jest to temat tak obszerny, iż trudno go zmieścić w tych krótkich wypowiedziach, ale przede wszystkim dlatego, że należę do pokolenia odchodzącego. We wszystkich różnicach poglądów między pokoleniami zawsze pokolenie młodsze wygrywało, bo to jest żelazne prawo natury. Ono przecież każdorazowo urządza świat. Ze względów historycznych jedynie mogę podać swoje stanowisko. Może sobie jeden czy drugi alpinista urządzać samotne biegi po ścianach alpejskich czy himalajskich, skoki na spadochronach czy loty na lotniach, aby czym prędzej rozpocząć drugą wspinaczkę, może samotnie zdobywać swoistą odznakę GOT w zaliczaniu ośmiotysięczników. To jego osobista sprawa, dla mnie nie jest to ani alpinizm, ani himalaizm. Zawodniczy sport narciarski historycznie wyszedł z narciarskiej turystyki górskiej, ale śmieszne dziś by było doszukiwać się tu jakiegokolwiek ciągłości historycznej. Tak samo jak między alpinizmem a zawodami w Himalajach.

Celem taternictwa i alpinizmu była chęć przeżycia wewnętrznego, wynikającego z pokonania trudności skalnych czy lodowych, później także wysokościowych. Przeżycia te wzbogacały osobowość człowieka. Rozumiem chęć dokonania czegoś w górach, czego nikt przedtem nie dokonał – jest to przeżycie wspaniałe. Nawet jeśli to będzie wyścig na wielki szczyt himalajski. Podziwiam nie tylko wielką sprawność fizyczną, ale i odporność psychiczną. Ale czy głębokie przeżycie wewnętrzne da się pogodzić z obnoszeniem się z nim i z tym ekshibicjonizmem przed kamerami telewizyjnymi, jakiego przykład dał nam Messner, a przede wszystkim z ciągnięciem zysków ze swych przeżyć? Może i da się pogodzić, świat się przecież zmienia. Ale nie każcie mi się tym wszystkim zachwycać i uważać tych asów za wzory do naśladowania. Osobiście myślę, że da się to tylko pogodzić przy założeniu, że składnikiem alpinizmu jest wykazanie swej wyższości nad drugim człowiekiem, uzyskanie podziwu przez tłumy i potwierdzenie swej wartości przez kryterium wartościowania ludzi w przemysłowej cywilizacji, to jest przez pieniądź. Osiągnięcie tego na pewno też daje przeżycia, tylko że inne i sądzę, że ściśle uzależnione od reakcji świata zewnętrznego. Potwierdzałoby to tezę o braku ciągłości historycznej dzisiejszego alpinizmu, który byłby zjawiskiem nowym w rozwoju ludzkości, wynikiem dzisiejszej cywilizacji, i jako taki, szukającym w niej swego miejsca.

Największym ciosem dla alpinizmu jest wytworzenie się klasy zawodowców, tak jak w innych dziedzinach sportu. Zawodowcy sportowi to swoiste idole dające rozrywkę biernym milionowym masom, którym zamiast uprawiania sportu wystarczy oglądanie go na siedząco. Amator nie może konkurować z zawodowcem i tak dyscyplina sportowa upada. Mamy, czy może mieliśmy wspaniałych medalistów olimpijskich i jesteśmy jednym u najmniej wysportowanych narodów. To prawda, że nasi zawodowcy himalajscy nie mogą się równać z Messnerem, ale pamiętam na zjeździe w Krakowie w 1985 r. z racji 25-lecia I wyprawy hindukuskiej publiczne zachwyty z trybuny jednego z naszych młodych asów himalajskich nad fortuną zebraną przez Messnera i jego melancholijne stwierdzenie: *Gdy tymczasem u nas...* Nawet przedstawiciele średniego pokolenia byli wstrząśnięci. Alpinizm dawał ludziom wspaniałe przeżycia – jakże żenujący był ostatnio widok w TV jednego z naszych himalaistów stojącego przy rozdawaniu medali w GKKFiT obok mistrzów areny i hal sportowych czy też ringów. Zawodowiec musi stać na piedestale, bo to jego jedyna rola w życiu. Gdy w drodze na szczyt partner słabnie, wydawałoby się, że ten pierwszy czy pierwsza zatrzymuje się, aby drugiemu pomóc. Ale tak nie jest. Ubywa konkurent do wewnętrznych przeżyć, pierwszy przyspiesza kroku, aby mieć pewność, że będzie pierwszy na szczycie. A ten drugi czy druga, źle zaaklimatyzowani, walą się później w przepaść. Zmieniają się pojęcia, doszliśmy do tego, że alpinizm sportowy zaczyna się tam, gdzie kończy się sportowe zachowanie. Chyba nie brak tlenu jest tego przyczyną? Nic nie zwalnia, jak słusznie powiedział kol. Skoczylas, od ratowania towarzysza. Żadna wysokość. Kol. Serafin mówi o strefie śmierci biologicznej, ciągnącej się od 7400 do 7600 m. A tymczasem najbardziej drastyczne w naszym himalaizmie wypadki miały miejsce poniżej tej granicy, na Lhotse w 1974 r. (7000 m) i na Czarnej Piramidzie na K2 w 1986 r. (7200 m). I w jednym, i w drugim przypadku jakże silne były głosy usprawiedliwiające tych, którzy zostawili partnerów. To nie tylko tam na górze, wśród wyczynowców, coś się zmieniło. Inaczej wygląda sprawa leżących bez sił w namiotach na 8000 m, których deterioracja pozbawiła także woli. Tu ma rację kol. Serafin mówiąc, że próba ich zniesienia przez również już wyczerpanych towarzyszy to samobójstwo. Instynkt samozachowawczy tych, którym pozostały jeszcze resztki sił, każe zostawić w namiotach towarzyszy, a samemu jak najszybciej schodzić. Jest to logiczne i jedyne rozwiązanie, ale jakże odrażające, gdy umierającemu mówi się „część” i schodzi się w dół. Jaką wartość ma taki sport, jeśli człowiek świadomie dopro-

wadza się do stanu, gdy wszystkie wartości wypracowane przez pokolenia giną, a pozostaje tylko jedynie nagi, fizjologiczny instynkt samozachowawczy. Czy to może budzić uznanie społeczne? Czy może to służyć wzbogacaniu czyjejs osobowości? Bo przecież temu ma chyba służyć alpinizm.

MICHAŁ JAGIELLO: Kończymy tę rozmowę, choć daleko do wyczerpania tematu, który nas tu zgromadził. W spotkaniu dzisiejszym nie mogła wziąć udziału Wanda Rutkiewicz, której wypowiedzi pozwoliłyby nam zapewne spojrzeć na wyczynowy himalaizm jej oczyma. Wydaje się więc bezsporne, że publikacji zapisu tej dyskusji powinien towarzyszyć głos Wandy.



Między wielkością a łajdactwem

Z Wandą Rutkiewicz rozmawia Ewa Matuszewska

Piękno i wielkość alpinizmu wynika nie tylko z uroku dzikiego, wstrząsającego pejzażu, nie tylko z radości stawiania sobie niezwykle trudnych zadań, wymagających sprawności mięśni i umysłu. Wynika ono również ze świadomego podejmowania ryzyka polegającego na tym, że człowiek uprawiający alpinizm może stanąć przed alternatywą: wielkość czy łajdactwo. I wybierze wielkość... Ale jeżeli zdamy sobie kiedykolwiek z tego sprawę, że nie stać nas psychicznie na rolę „opiekuna spinelegliwego”, należałoby się z tego kłopotliwego etycznie sporu wycofać, bo nikt nam nie dał prawa do rezygnacji z człowieczeństwa na rzecz naszej pasji górskiej.

Andrzej Wilczkowski, Punkty wyboru moralnego

– *Seria śmiertelnych wypadków, jakie wydarzyły się latem 1986 r. na K2 stanowi, moim zdaniem, swoisty przełom w alpinizmie. Nie tylko z technicznego punktu widzenia, który każe analizować błędy popełnione przez alpinistów, ale przede wszystkim ze względu na ocenę etyczną wydarzeń, w których i ty uczestniczyłaś. Jak patrzysz na to dzisiaj, z perspektywy kilkunastu miesięcy?*

– W tej tragicznej historii istotne są dla mnie trzy aspekty. Po pierwsze – skłoniła mnie ona do rewizji poglądów na alpinizm. Po drugie – stanowi podstawę rozważań na temat sytuacji ogólnej w alpinizmie współczesnym, po trzecie zaś – zmusza do niezwykle szczegółowej analizy przyczyn wypadków.

– *Możesz to bliżej wyjaśnić?*

– Spróbuję naszkicować, choćby w ogólnym zarysie, co mnie nurtuje po powrocie z K2. A więc przede wszystkim, mimo różnych przyczyn podawanych w prasie przez specjalistów czy w samoocenach uczestników tych wydarzeń pozostałych przy życiu, najważniejszą wciąż sprawą są więzi międzyludzkie. Nie załamanie pogody, bo może się ono zdarzyć zawsze i jest w kalkulowane w ryzyko uprawiania

tego sportu. Jednak rozwój wydarzeń na K2 zależny był przede wszystkim od ludzi i relacji między nimi.

Kolejnym niezwykle ważnym elementem, od którego być może należałoby rozpocząć te rozważania, są pochodne zjawiska, jakim jest wysoki wyczyn w alpinizmie, zaś w himalaizmie zwłaszcza. Obniża on jak gdyby dotychczasową skalę trudności, sprowadzając drogę na szczyt ośmiotysięczny niemal do poziomu ulicy w wielkim mieście, na której mijają się tłumy przechodniów. Jeżeli ktoś nieoczekiwanie zasłabnie, niewielkie ma szanse, by się nim zainteresowano – bo przecież to tylko obcy. Co roku wkracza w Himalaje coraz większa liczba alpinistów, padają kolejne rekordy. Ich eskałacja powoduje coraz ostrzejszą rywalizację. Im więcej alpinistów w górach, tym częściej zachowują się wobec siebie niczym przechodnie uliczni.

– *Nawet na tak trudnych szczytach jak K2?*

– Nawet. Przykładem takiej właśnie ulicy, na której mijają się obojętne tłumy, była w ubiegłym roku klasyczna droga na K2, droga pierwszych zdobywców, prowadząca Żebrem Abruzzi. Dlatego tylko, że jest to droga, którą zdobyto szczyt, alpinisci podświadomie ją uważają za łatwą. Pierwszych wejść dokonuje się zazwyczaj drogami najłatwiejszymi. Ale w przypadku Żebra Abruzzi obiegowa opinia nie jest prawdziwa. Droga ta jest długa i trudna technicznie. Wprawdzie techniczne trudności do wysokości 7300 m w pewnym stopniu są zmniejszone dzięki linom poręczowym, pozwalającym je pokonać i umożliwiającym szybki odwrót w razie potrzeby, ale im bliżej szczytu, tym trudniej. Teren staje się coraz bardziej stromy, nieustannie zagrożony lawinami śnieżnymi i serakami, na domiar złego trudny orientacyjnie.

Grupa alpinistów, która znalazła się na tej drodze w pierwszych dniach sierpnia 1986 r., była zespołem przypadkowych „przechodniów”. Nie należeli do jednej wyprawy, lecz pochodząc z kilku różnych tworzyli mini zespoły w grupie „przechodniów”. Dobroslawa Miodowicz-Wolf i Anglik Alan Rouse, Angielka Julie Tullis i Austriak Kurt Diemberger oraz trójka Austriaków: Willy Bauer, Alfred Imitzer i Hannes Wieser. Z tej siódemki do bazy powróciła tylko dwójka najstarszych alpinistów – Willy Bauer i Kurt Diemberger.

Zanim nastąpiła tragedia, w drodze na szczyt Julie i Kurt na wysokości 8500 m widzą przed sobą opierającą się na czekanie, jakby zasypiającą Dobrosławę. Jest zupełnie sama, w bardzo stromym terenie. Gdyby straciła równowagę, to spadając mogłaby instynktownie chwycić się liny łączącej Kurta i Julie. To w konsekwencji mogło spowodować ich śmierć. Na pytanie dziennikarza austriackiego: *I co pan wtedy zrobił, panie Diemberger?* – Kurt odpowiedział: *Miałem własne zmartwienia. Czy iść dalej z Julie do szczytu? Czy zawrócić? Kiedy już tak blisko? Wiemy oboje, że pójście do szczytu o tej porze jest równoznaczne z lodowym biwakiem podczas zejścia lub schodzeniem przy świetle lamp czołowych. Zostawiam decyzję Julie.* Wytrwała Angielka mówi: *Tylko do góry, Kurt!* Dziennikarz: *A Polka?* Kurt: *To był problem Alana Rouse'a, który wracał właśnie ze szczytu. Poprosiliśmy go, by na litość Boską, zajął się Mrówką. I tak się stało. Alan namówił Mrówkę do odwrotu.*

Ta wypowiedź Diembergera najlepiej charakteryzuje obecny stan alpinizmu. Zespół wyruszający w góry ma przed sobą określony cel. I będzie realizował ten cel za wszelką niemal cenę, bo na organizację wyprawy zostały poniesione olbrzymie wydatki finansowe, bo było to marzeniem tego zespołu od lat, bo w grę wchodzi ambicje sportowe. Takich „bo” może być jeszcze parę.

Zmierzając do swego celu alpinści będą mijali po drodze inne, przypadkowe zespoły, bo nie czują się powołani, by się nimi zajmować. Nawet wówczas, być może, gdy tamci będą potrzebowali pomocy. Strefa zainteresowania zwęża się, liczy się tylko bezpośredni partner. Drugi człowiek jest bliiski w górach tylko wówczas, choć i to nie zawsze, kiedy łączy z nim jakikolwiek związek emocjonalny lub umowa partnerska.

– *Opowiadając dawniej o Kurcie Diembergerze stawiałaś go za wzór alpinisty. Z wdzięcznością wspomniałaś jego gest, kiedy to w noc przed twoim atakiem szczytowym na Mount Everest oddał ci swój śpiwor. Pomógł ci, mimo że nie był uczestnikiem twojej wyprawy, był „przypadkowym przechodniem”. Noc na Przełęczy Południowej, na wysokości 8 tys. m spędził tylko w kurtce puchowej. Swój Everest zdobył poprzedniego dnia, ale mimo to byłaś wzruszona jego postawą.*

- Jeszcze dwa lata temu w ankiecie, w której jedno z pytań dotyczyło wytypowania najlepszego współczesnego himalaisty, który byłby zarazem wzorem człowieka, podałam nazwisko Kurta Diembergera.

Kurt troszczył się o Julie, ponieważ byli sobie bliscy. Toteż plany, które zamierzali wspólnie realizować, były dla nich najważniejsze. Natomiast Dobrośława była dla nich kimś obcym, intruzem przeszkadzającym w wejściu na szczyt, a nawet zagrażającym ich życiu. Być może inaczej by to wyglądało gdyby byli z nią zaprzyjaźnieni.

- *Wydaje mi się, że chęć niesienia pomocy w nieszczęśliwych wypadkach jest naturalnym odruchem większości ludzi, nawet wobec nieznajomych.*

- Ale czy był to nieszczęśliwy wypadek? W tym momencie jeszcze nie. Nie można też porównywać tej sytuacji np. z katastrofą samolotu, która jest bardziej przypadkowa, a jej ofiary w niczym nie ponoszą winy. Alpinisci zaś narażają się na niebezpieczeństwo z wolnego wyboru. Nie wolno więc im zakładać i żywić oczekiwań wobec innych, że w sytuacji zagrożenia życia ci inni narażą swe własne życie, by im pomóc. Nie powinni wnosić w góry własnej słabości licząc na siłę i pomoc innych. Nie można swoim postępowaniem zmuszać ludzi do wyborów ostatecznych.

- *Miedzy wielkością a łajdactwem?*

- Na wielkość się zgadzam. Ale na określenie tak mocne, jak „łajdactwo” – już nie. Wprawdzie etyka jest jedna, niezależna od stopnia zagrożenia i wysokości, ale nie uzurpujmy sobie prawa do oceny zachowań ludzkich w sytuacjach ostatecznych. Zresztą w opisywanym momencie pod szczytem K2 jeszcze nie było sytuacji ostatecznej, więc nie było konieczności dokonywania wyboru między wielkością a łajdactwem. Chodziło w tym przypadku o właściwą ocenę sytuacji, która nie wyglądała na jednoznaczną i ostateczną. Owszem, była ona niebezpieczna i ryzykowna, ale takie sytuacje przytrafiają się w górach niemal wszystkim alpinistom. I sposób, w jaki się oni wówczas zachowują, nie ma nic wspólnego z etyką, jest raczej właściwą lub niewłaściwą oceną konkretnej sytuacji. Łatwo zwęzać pojęcie tego co etyczne, a co nie w sytuacjach ostatecznych. Tylko że takich sytuacji zbyt często się nie spotyka. Za to wiele jest sytuacji

nieklarownych, o którym nie wiadomo – przekształca się w sytuację ostateczną czy nie? W związku z czym – będziemy lajdakami, czy też poświęcimy się głupio i niepotrzebnie? A może pisane nam bohaterstwo? Na tym właśnie polega cały dramat tych niejasnych sytuacji, ocenianych potem tutaj, na dole, w spokoju i miękkim fotelu.

Ale jest jeszcze w tym wszystkim pewien element, na który tak naprawdę nigdy się wewnętrznie nie zgadzałam. Niemniej taki właśnie powoli stawał się styl chodzenia w górach wysokich. Jeżeli ktoś powyżej 8 tys. m ruszał do szczytu sam, nie zważając na partnera, to uzasadnienia szukało się w tym, że idąc własnym tempem, bez oglądania się na innych, łatwiej zdobyć się na maksymalny wysiłek potrzebny na pokonanie szczytu. I że w końcowym rozrachunku tak jest lepiej.

- Nie zgadzałaś się z takim stylem chodzenia, ale nie protestowałaś, kiedy twoi partnerzy cię wyprzedzali. A i tobie zdarzyło się iść solo pozostawiając poniżej partnerów.

- W miarę upływu lat coraz bardziej przekonuję się, że uniknęłoby się wielu tragicznych wypadków, zwłaszcza podczas zejść ze szczytów, gdyby partnerzy szli blisko siebie. Nie uznaję argumentu, że jeżeli jeden z partnerów jest szybszy, to temu drugiemu łatwiej iść po świeżo założonym śladzie. Jest to wprawdzie obiektywna prawda, ale w kontekście wypadków na K2 zastanawiam się, czy nie należałoby zrewidować właśnie takiego podejścia do zasad partnerstwa.

- Obecność partnera w końcowej fazie wspinaczki na Mount Everest niewiele ci pomogła?

- To, że Willy Klimek zaczekał na mnie ponad Uskokiem Hillarego, rzeczywiście nie stanowiło konkretnej pomocy. Gdybym spadła z Uskoku lub nieco powyżej niego, Willy mógłby być tylko bezradnym świadkiem mego upadku. Ale w takich właśnie momentach jest mi potrzebna obecność drugiego człowieka. Tym niemniej zaakceptowałam zasady samotnego chodzenia. Tak jak na Makalu – samotny atak na szczyt, a jeśli trzeba – samotny odwrót. Na Makalu byli wówczas alpiniści z innych wypraw, niezobowiązani do zwracania na mnie uwagi, w dół schodzili Szerpowie, jakiś samotnik z Włoch... W zespole samotność jest również

możliwa, chociaż polega na czymś innym – na braku partnera, nie zaś na nicobecności innych ludzi. Ale w zespole rzeczywiście partnerskim silniejszy z partnerów powinien dostosować swoje tempo do słabszego, zwłaszcza w zejściu.

– *Jest pewna sprzeczność w tym, co mówisz. Twierdziłaś, że im szybciej chodzi się w górach wysokich, tym bardziej wzrasta stopień bezpieczeństwa.*

– Oczywiście, trzeba iść szybko. Ale czy ma to oznaczać, że tylko ten szybszy może ocalić życie? Ten drugi niech ginie, bo jest wolniejszy? Jeżeli często się z kimś wspinasz, to znasz jego tempo i możliwości fizyczne. Decydując się iść z nim na szczyt idź z nim do końca. Nawet jeżeli dzieli was różnica szybkości. Możesz go zostawić tylko wówczas, kiedy masz absolutną pewność, że twój partner idzie wolniej, bo zawsze chodzi w takim tempie, a nie dlatego, że poczuł się źle.

Szybkość w górach jest jednym z warunków bezpieczeństwa, ale nie może decydować o stosunku do partnera. Jeżeli już mówimy o szybkości, to należy zwrócić uwagę, że właśnie różnica szybkości między poszczególnymi alpinistami z tej siódemki była jedną z przyczyn tragedii – przynajmniej takie jest moje zdanie. Wolne tempo Julie i Kurta w dużej mierze zaważyło na przebiegu wydarzeń. Diemberger, nie wiem czy zawsze, ale na pewno od kilku lat, odkąd go znam, chodzi wolno. Styl, jaki ostatnio prezentuje, należy już do poprzedniej epoki. Być może dawniej był szybszy, ale z wiekiem tempo powolnieje. Jest jeszcze przy tym sprawa Julie. Niewątpliwie była fascynującą postacią, miała niezwykłą osobowość, ale w górach nie była szybka. Wprawdzie należał do niej kobiecy rekord wysokości Wielkiej Brytanii, jednak w jej życiorysie alpinistycznym nie widziałam wykazu przejść alpejskich. Trudne drogi alpejskie są koniecznym etapem poprzedzającym Himalaje czy Karakorum. Nie można wyruszać w góry najwyższe polegając tylko na wytrzymałym, dobrze znoszącym wysokość organizmie. Niezbędny jest trening techniczny, umiejętność chodzenia w trudnym i stromym terenie bez asekuracji. Julie i Kurt w górach poruszali się zawsze związani. I zawsze prowadził Kurt. Tak też było na K2. W siedmioosobowym zespole byli jedyną parą związaną liną. Ale w terenie, w jakim przyszło im działać, asekuracja lotna zawsze jest

problematyczna, bo jeżeli jedno spadnie, może skończyć się to ściągnięciem partnera. I tylko od szczęścia zależy, czy spadający, związany liną zespół zatrzyma się. Z kolei asekuracja sztywna zmusza do niemal dwukrotnego zwolnienia tempa wspinaczki. Odcinek, który mieli przebyć, wymagał umiejętności samotnego przejścia. Jeśli Julie podchodziła jako druga na linie, w drodze ze szczytu powinna schodzić pierwsza. Miałaby wówczas linę z góry. Dlaczego poszli inaczej? Nie wiem. W pewnym momencie zaczęła spadać i oczywiście pociągnęła za sobą Kurta. Udało im się wyhamować czekaniem, może uratowało Julie to, że była jednak związana liną. Ale to wydarzenie zakłóciło zejście i zmusiło ich do biwaku. A w konsekwencji tych, którzy wcześniej zeszli do obozu – do czekania na Julie i Kurta. Tak więc przestrzeganie zasad etycznych, czyli czekanie na słabszych, przesądziło o losie całej siódemki. Nie zdążyli zejść przed załamaniem pogody i pułapka się zamknęła.

Kurt Diemberger w 1957 r. dokonał wspaniałego wyczynu w czteroosobowym zespole zdobywając Broad Peak bez pomocy tragarzy wysokościowych. Na owe czasy był to niemal styl alpejski. Kurt był na szczycie dwukrotnie – najpierw samotnie pokonując grań podszczytową wszedł na szczyt w kilkadziesiąt minut po prowadzącej dwójce. Następnie wrócił po Hermana Buhla, który szedł wolniej z powodu odmrożonych na poprzedniej wyprawie nóg. Po 30. niemal latach Kurt ponownie wszedł na Broad Peak, tym razem z Julie. Szli wolno, ale w końcu stanęli na szczycie. Przez długie lata podziwiałam aktywność Kurta, ale teraz dostrzegam w niej zagrożenie dla niego samego i dla innych. Tak stało się na K2.

Przed czarną serią na K2 nie było jeszcze takiego kataklizmu w górach. Dotychczas jeden szczyt zdobywała zazwyczaj jedna wyprawa, toteż związki pomiędzy alpinistami były mocniejsze, a współdziałanie i poczucie odpowiedzialności za partnerów bardziej oczywiste. W 1986 r. władze pakistańskie udzieliły zezwolenia na K2 ośmiu wyprawom, z których aż 4 działały na Żebrze Abruzzi. I po raz pierwszy znalazły się tam zespoły nie z jednej, a z wielu wypraw, zespoły, które dobrały się najzupełniej przypadkowo. Na ogół nie znając się wcześniej, alpinisci nie potrafili wzajemnie ocenić właściwie swoich możliwości. Tak więc

przebieg wydarzeń na K2 nie musi świadczyć o zmianach w postawach ludzi uprawiających alpinizm. Należy przypuszczać, że ich zachowanie było spowodowane sytuacją, jaka nie zaistniała nigdy przedtem, a którą narzuciła obecność tak wielu wypraw.

Kierownictwo każdej z wypraw, które otrzymały zezwolenia na działanie w tym samym czasie, po koleżeńsku zgadzające się, by inna wyprawa szła tą samą drogą, powinno liczyć się z tym, że zgoda ta pociąga za sobą pewne zobowiązania. To znaczy przyjmując do wiadomości obecność innego zespołu akceptuje się go i w razie niebezpieczeństwa przychodzi mu się z pomocą. Bo nie jest to już obojętny, przypadkiem spotkany zespół, nie są to „nieznajomi przechodnie na ulicy”.

Kolejnym elementem, który miał wpływ na rozwój wydarzeń na K2, było swoiste „pasożytnictwo” uprawiane przez niektóre zespoły na wyprawach silniejszych. Tak było w przypadku wyprawy południowokoreańskiej. Uczestnicy tej wyprawy być może w górach odbiegali poziomem od najwyższego poziomu europejskiego. Jednak wnosząc elementy techniki wyprawy klasycznej, tradycyjnej, byli jak gdyby silniejsi. W pełni zabezpieczyli drogę linami poręczowymi, wyposażyli całkowicie wszystkie obozy w tlen, żywność i sprzęt. Poza tym zaangażowali tragarzy wysokościovych, a zespół atakujący szczyt mógł liczyć na zespoły wspomagające. Jednym słowem ich działalność w górach była na tyle bezpieczna, na ile mogła być w tych warunkach. Może właśnie dlatego inni alpinisci, przyszli uczestnicy tragicznych wydarzeń, tak chętnie korzystali z udogodnień zapewnionych przez wyprawę południowokoreańską. Można to jeszcze zrozumieć w przypadku alpinistów schodzących ze szczytu – Jurka Kukuczki, Tadek Piotrowskiego, Przemek Piaseckiego, Wojtko Wróza i Petera Bożika – gdyż na szczyt wchodzili inną drogą. Ale inne zespoły świadomie wybrały tę właśnie drogę podejścia, Żebrem Abruzzi, od razu zakładając korzystanie z udogodnień, jakie stwarza obecność innej wyprawy.

Niestety, przypadek Dobrosławy i Alana Rouse’a jest tego najlepszym przykładem. Alan otrzymał zezwolenie na północno-zachodnią grań, ale jego wyprawa nie zdołała pokonać trudności tej drogi i zakończyła swą działalność.

Jednak Alan bardzo chciał wejść na szczyt K2 i dlatego zdecydował się na drogę, na którą jego wyprawa nie miała zezwolenia. Podobnie Dobrosława. Również wybrała wejście Zebrem Abruzzi, choć polska wyprawa, której była uczestniczką, miała zezwolenie na filar południowy. Dobrosława i Alan tworząc zespół z góry zakładali zwiększone bezpieczeństwo działania dzięki obecności innych wypraw na tej samej drodze. A co za tym idzie korzystanie z lin poręczowych, obozów wyposażonych w sprzęt i żywność, czyli tego całego zaplecza, które w razie niebezpiecznej sytuacji może zapobiec nieszczęściu. Z kolei przykład zespołu austriackiego. Planowali wchodzenie na szczyt z obozu IV, a następnego dnia zejście na dół. Bo następnego dnia do tego obozu mieli przyjść Koreańczycy i nocować w namiocie należącym do wyprawy południowokoreańskiej. Austriakom pierwsza próba nie powiodła się. Wrócili więc do obozu i zamiast schodzić, jak było wcześniej ustalone, postanowili przenocować, by podjąć jeszcze jedną próbę. W tym czasie doszli z dołu Koreańczycy. Nastąpiło nieprzewidziane zagęszczenie, zawinione przez wyprawę austriacką. Na domiar wszystkiego przytrafił się dodatkowy, niekorzystny splot okoliczności. Do obozu IV dotarli po zdobyciu K2 filarem południowym Przemek Piasecki i Peter Bożik. Już bez Wojtka Wróza, który zginął podczas zejścia. Dwie dodatkowe osoby, które musiały się pomieścić w tym obozie nie mając własnego namiotu. Ale nie dość na tym. Do „czwórki“ dochodzą również Julie i Kurt, wprowadzie z własnym namiotem, ale później nie na wiele im się on przyda.

Wśród alpinistów, którzy spędzą tę noc w obozie IV w bardzo trudnych warunkach (dwie osoby biwakowały na zewnątrz namiotów), nie wszyscy są w stanie następnego dnia od razu wyruszyć do góry. Dzień straty, który być może zaważył na dalszym przebiegu wypadków, kiedy nastąpiło załamanie pogody. Po zdobyciu szczytu K2 przez szóstkę alpinistów (Dobrosława zawróciła namówiona przez Alana Rouse'a) nastąpił początek końca. Julie i Kurt po zejściu do obozu IV nie byli w stanie ruszyć natychmiast na dół i w tym pierwszym momencie wstrzymali zejście pozostałych. Kiedy nastąpiło załamanie pogody, oni wciąż nie mogli podjąć decyzji, kiedy zaryzykować zejście. Tylko Dobro-

sława i Willy Bauer chcieli schodzić nie zważając na nic. Kolejne godziny przynosiły jedno nieszczęście za drugim. Śmierć Julie i agonía Alana, który pozostał sam w obozie. Z pozostałych przy życiu alpinistów nie wszyscy mieli siły na schodzenie w dół. Zbyt wiele dni i nocy spędzili na wysokości powyżej 8 tys. m. Na przykład Austriacy – pierwszą próbę zdobycia szczytu podjęli 2 sierpnia. Próba nie powiodła się, a następną podjęli dopiero 4 sierpnia. Czyli trzy noce przed atakiem szczytowym, a po załamaniu pogody kolejnych sześć nocy spędzają na 8 tys. m. To nie mogło się dobrze skończyć. Tym bardziej że nie mieli tlenu, brakowało paliwa, a w konsekwencji – picia. A o odpoczynku na tej wysokości nie ma mowy. Im dłużej przebywa się tak wysoko, tym szybciej następuje deterioracja, czyli wyniszczenie organizmu.

– *Czyżby nie zdawali sobie z tego sprawy?*

– Byli tak wyczerpani, że ztratili zdolność prawidłowej oceny sytuacji. Bezwolność, bezwład w myśleniu i działaniu są bardzo charakterystyczne na tej wysokości. Cała siódemka nie należała wprawdzie do nowicjuszy w górach wysokich, ale też nie byli to alpiniści zaliczani do światowej czołówki.

Przy omawianiu dalszego przebiegu wydarzeń na K2 zbliżamy się do sytuacji jednoznacznych, w których już walczy się o życie. Dokonywać wówczas wyboru między wielkością i łajdactwem może tylko ten, kto jest jeszcze zdolny do czegokolwiek. To znaczy, ma jeszcze rezerwę sił i jest w lepszej sytuacji niż pozostali. Ale na Żebrze Abruzzi wszyscy byli w równie złej. Być może któreś z nich próbowałoby się zdobyć na wielkość, gdyby miało więcej sił. Zaś zachowanie przeciwstawne nie zawsze można nazwać łajdactwem. Tutaj nie było wyboru między wielkością a łajdactwem. Wybór był inny – między wielkością a śmiercią...

Myślę, że parę osób mimo wszystko było blisko wielkości. Np. Dobrosława – pomagała wszystkim w obozie, mobilizowała do zejścia, a później pomagała Willemu Bauerowi w torowaniu. Walczyła do ostatka, nie tylko o własne życie. Gdyby udało jej się wytrwać na tych ostatnich kilkuset metrach! Jej postawa miała wszelkie znamiona wielkości. Podobnie można by ocenić postępowanie Willega Bauera.

- *Do niego nie masz pretensji o to, że nie pomógł Mrówce?*
[Dobrosława Miodowicz-Wolf]

- Ależ on wziął na siebie największy trud - torowanie i wyciąganie lin poręczowych spod śniegu! To niezwykle ciężka i niewdzięczna praca, którą tylko on wykonywał. Można się wprawdzie zastanawiać, czy postąpił właściwie, kiedy czując się silniejszy niż pozostała dwójka, czyli Dobrosława i Kurt, schodził pierwszy. Co powinien wybrać: w zejściu oglądać się nieustannie na partnerów czy schodzić jak najszybciej, by sprowadzić pomoc? Jestem przekonana, że Willy dokonał właściwego wyboru.

Mrówka szła między Willym a Kurtem. Po pewnym czasie okazało się, że szła zbyt wolno. Wyczerpana i osłabiona zapewne chciała się asekurować na linach poręczowych. A taka asekuracja zabiera znacznie więcej czasu niż schodzenie z karabinkiem luźno wpiętym w linę. Miała specjalny przyrząd do asekuracji, płytkę Stichta, ale liny były zalodzone i zaśnieżone, więc nie przesuwaly się z odpowiednią szybkością w tym przyrządzie. Tak więc bezpieczeństwo, jakie zyskała dzięki asekuracji, zostało okupione zwolnieniem tempa i komplikacjami technicznymi. W tym właśnie momencie Diemberger wyprzedził Mrówkę, nawet pytając ją o zgodę na wyprzedzenie. Może naprawdę sądził, że skoro są na linach poręczowych, to już są bezpieczni? Sam czuł, że słabnie i chciał jak najszybciej znaleźć się w namiocie. Trudno mieć do niego pretensję o to, bo przecież każde z nich już walczyło o życie. Ludziom siedzącym na dole w bezpiecznym cieple nie wolno oceniać innych, walczących o przetrwanie w warunkach ekstremalnych. Nie można stosować wobec nich zasad etycznych obowiązujących w normalnym ludzkim świecie wówczas, kiedy znaleźli się na nieludzkiej ziemi, w ciemnościach, w tumanach śnieżnego pyłu, a wiatr przeszywał na wskroś ich ciała lodowatym zimnem. Jeśli więc czuję żal do Kurta, to dlatego, że śmierć zabrała Mrówkę, z którą się przyjaźniłam. On nie przyjaźnił się z Mrówką na tyle, by myśleć o niej jak o sobie i o Julie, nie czuł się na siłach, by osłonić ją przed śmiercią. Żal i pretensje pewnie niesłuszne, bo subiektywne, bo straciłam na K2 najbliższych przyjaciół, Dobrosławę i Wojtkę, przyjaciół, których dorobiłam się z trudem. Właśnie przyjaciół, a nie koleżankę czy kolegę.

Na pytanie dziennikarza: *Dlaczego pan minął Dobroslawę?*

– Kurt odpowiedział: *Była zbyt wolna, a poza tym znała drogę. Szła już wtedy wcześniej i to parę razy.* Nie był to dobry argument, każde z nich znało tę drogę. Zresztą nie trzeba było jej znać, wystarczyło trzymać się liny poręczonej i schodzić na dół. Istotne było jedynie to, że z całej siódemki pozostali tylko we troje. I choć każde z nich straciło partnera, to teraz tworzyli zespół ocalałych z pogromu. Ślaniający się ze zmęczenia, krańcowo wyczerpani, u kresu sił – właśnie w tym momencie powinni się wspierać wzajemnie i pomagać sobie. Po tym wszystkim, co wydarzyło się na K2, Kurt nie potrafił powiedzieć: „Tak, być może nie zachowałem się do końca jak należy, ale przecież sam walczyłem o życie. Nie myślałem już o innych, bo nie mogłem, bo miałem coraz mniej sił...” I o to właśnie czuję ten irracjonalny żal do niego. Irracjonalny, to nie nam, siedzącym w cieple przy herbacie, oceniać...

– *Nam jak nam. Ty chyba masz jakieś prawo do ocen?*

– Ale teraz siedzę w cieple, a co najważniejsze – żyję.

– *Może na postępowanie Diembergera miała wpływ śmierć Julie?*

– Pewnie tak, ale przecież obok niego był człowiek tak samo jak on walczący o życie.

– *Hannelore Schmatz, zachodnioniemiecka alpinistka, w 1979 r. schodząc ze szczytu Everestu, nie chciała pozostawić swego partnera, Amerykanina Raya Geneta. Po krótkotrwałym ataku szału popadł on w apatię i odmówił schodzenia na dół. Hannelore decyzję pozostania z przypadkowym partnerem z wyprawy kierowanej przez jej męża przypłaciła życiem. Siedem lat później Kurt Diemberger mija w zejściu kogoś, kogo znał, z kim nieraz spotykał się w górach. I nie odczuwa z tego powodu wyrzutów sumienia. Czy według ciebie to przypadek jednostkowy, czy zapowiedź zmian w alpinizmie wyczynowym?*

– Nastąpiło to, o czym mówiłam wcześniej. Z dróg górskich porobiły się ulice. Wysokość jakby się obniżyła i w górach zaczyna się dziać to samo co na dole. Obojętność, niechęć wobec innych, wobec intruzów. Czy zauważyłaś, że na ścieżkach górskich coraz mniej osób się pozdrawia? Człowiek napotkany w górach nie jest kimś, do kogo warto usta

otworzyć, by powiedzieć: *Dzień dobry*. Lepiej go wyprzeździć, tak jak wiele innych napotkanych przypadkiem i obojętnych osób, bez słowa, bez zatrzymania się. Bo w schronisku może zabraknąć jedzenia lub miejsca do spania...

Obawiam się, że czarna seria na K2 niewiele zmieni w alpinizmie. Niemniej sądzę, że należy o tym mówić, nie pozwolić na zapomnienie, a zasady etyki włączyć do szkolenia nowych pokoleń alpinistów.

- *Wartości moralne tkwiące w alpinizmie wynikały m.in. z osobowości ludzi uprawiających ten sport. Ale to było dawno. Dziś powrót do „źródeł” alpinizmu wydaje się niemożliwy. Poświęcenie dla innych czy wierność partnerowi do końca to zjawiska coraz rzadsze w górach wysokich.*

- Mimo wszystko takie zachowania czy raczej postawy są nadal bardzo cenione w świecie alpinistów. Ale we współczesnym himalaizmie, zwłaszcza na poziomie wielkiego wyczynu, jest wiele czynników, które trzeba uwzględnić stając przed wyborem „wielkość albo łajdactwo”. Zresztą istnieje więcej alternatywnych postaw do wyboru. Np. wybór między poświęceniem a najzwyczajszym wypełnieniem obowiązku, przyjście z pomocą, kiedy wydaje się ona konieczna, a poszanowanie prawa drugiego człowieka do przeżywania niebezpieczeństwa na własny rachunek.

Sądzę, że wiele złegoującego się we współczesnym himalaizmie powoduje to, że sport ten stał się sportem wyczynowym, gdzie skalę wyczynu określa rekord. A co gorsza – alpinizm stał się sportem masowym. Im więcej ludzi wchodzi w góry, tym więcej jest wśród nich takich, którzy wnoszą nie tylko dobre cechy charakteru.

- *Jaki udział w takim, a nie innym rozwoju wypadków na K2 miał tlen, a właściwie jego brak?*

- Tlen jest dla mnie sprawą drugorzędną, choć w późniejszych dyskusjach i próbach oceny wysuwa się na plan pierwszy. Niezależnie jednak od efektów wszystkich rozważań tragedia na K2 spowoduje być może powrót do zasady, że na wysokie ośmiotysięczniki wchodzi się z tlenem lub przy tlenowym zabezpieczeniu w obozach. Trzeba tylko rozwiązać problem techniczny – nie sposób wchodzić na znaczne wysokości z butlami ważącymi po około 7 kg.

w których jest zaledwie około tysiąca litrów tlenu, przeliczając na normalne ciśnienie. Rozwiązaniem byłyby butle ważące ok. 2-3 kg albo tlen powstający w butli w wyniku reakcji chemicznej.

Jeśli zaś chodzi o wpływ braku tlenu na organizm, to przebywając wielokrotnie na dużych wysokościach bez tlenu nie odniosłam wrażenia, że dzieje się ze mną coś niedobrego. Nie należy jednak zapominać, że w porównaniu z tą siódmką przebywałam krócej powyżej 8 tys. m. Oczywiście, byłam zmęczona, niemal wyczerpana, ale nie przekroczyłam granicy, poza którą nie mogłabym kontrolować swojego zachowania. A więc może niekonieczny jest tlen na dużych wysokościach, tyle że nie należy pozostawać tam zbyt długo. Trzeba jak najszybciej opuszczać strefę śmierci. Zaś na wypadek niepogody tlen jako zabezpieczenie dla zespołów poruszających się powoli powinien znajdować się w najwyższym obozie, powyżej 8 tys. m.

- *Gienek Chrobak i Wojtek Wróż, uczestnicy pierwszej polskiej wyprawy na K2 z 1976 r., wycofali się spod szczytu właśnie z powodu braku tlenu. Choć do przejścia pozostało im zaledwie 200 m!*

- Bardzo dużo zmieniło się w alpinizmie od tamtych czasów. Poza tym ważne jest również to, czy po raz pierwszy próbuje się czegoś dokonać i przekroczyć barierę nieznanych trudności, czy tylko coś się powtarza, nawet najtrudniejsze.

- *Nanga Parbat w 1985 r. zdobywałaś bez tlenu?*

- Tak, ale na ten szczyt nie wchodziłam w najlepszej kondycji. Można powiedzieć, że wymęczyłam do wejście. Zasypanie obozu przez lawinę, później sprowadzanie w dół Dobrosławy i krążenie między obozem III a IV, poza tym biwak poza namiotem zmęczyły mnie bardzo. Było to moje pierwsze wejście wysokościowe od Everestu, po wieloletnim inwalidztwie, które było wynikiem skomplikowanego złamania nogi. Ale przy wejściu na K2 bardzo mi pomogło wejście na Nanga Parbat, niezależnie od stylu, w jakim go dokonałam.

- *Czy sądzisz, że Messner i Kukuczka dokonując tak często wejść na ośmiotysięczniki mieli coś w rodzaju stałej aklimatyzacji?*

– Na pewno wchodzenie bez tlenu jest o wiele łatwiejsze wówczas, jeśli jest to działalność ciągła i aklimatyzacja z poprzedniego wejścia pozostaje jeszcze po odpoczynku na dole. Zaś precyzując – można ją szybciej uzyskać.

– *Rywalizację Messnera i Kukuczki uważano niekiedy za działalność odbierającą alpinizmowi pewną czystość. Poza tym ich dokonania tak wysoko ustawiły poprzeczkę, że pozostali alpinści chcąc im dorównać, a nie mając jednak ich umiejętności i doświadczenia, narażają się na takie m.in. wypadki, jakie miały miejsce na K2.*

– Za to wszystko, co się dzieje obecnie w alpinizmie, nie można winić tych dwóch. Kolejne osiągnięcia zmieniają oczywiście styl uprawiania tego sportu i sposób jego traktowania. Obecnie w himalaizmie zaczyna dominować taki styl wchodzenia na najwyższe nawet szczyty, jakby to były Alpy.

– *Gdyby Diemberger schodząc z K2 nie walczył o życie, być może zaopiekowałby się Mrówką. Sytuacje ostateczne, w których człowiek zatracą poczucie człowieczeństwa i kiedy zanikają więzy między ludźmi, są najczęściej narzucone: więzienia, obozy koncentracyjne, łagry. Ale też są sytuacjami z wyboru – takimi jak choćby wyprawy w góry wysokie. Czy więc człowiek ma prawo sam sobie stwarzać sytuacje, w których może przestać być człowiekiem?*

– Dobrze, że w ten sposób postawiłaś pytanie. Z moralnego punktu widzenia ważniejsze jest dla mnie nienarażanie człowieczeństwa niż narażanie życia. Nie daj Bóg, by powtórzyły się sytuacje, które nazwałaś narzuconymi, a które dla mnie są wyrazem przemocy człowieka nad innymi ludźmi. Nie daj Bóg, by ludzkość w taki sposób musiała sprawdzać swe człowieczeństwo. Tym niemniej takie sytuacje zdarzają się w górach. Kiedy nam się przytrafią, możemy lepiej poznać sami siebie i sami przed sobą stwierdzić czy bliżej nam do łajdactwa, czy do wielkości. Jeśli zaś okaże się, że mamy skłonność do łajdactwa, lepiej wiedzieć o tym zawczasu i wyciągnąć z tego wnioski. Ale nie sądzę, by alpinści chodzili w góry celowo, tylko po to, by sprawdzać swe człowieczeństwo. Nikt normalny tego nie robi.

– *Mówisz, że trzeba z tego wszystkiego wyciągnąć wnioski. Jakie ty wyciągnęłaś?*

- Ostateczna konkluzja wynikająca z wydarzeń na K2 jest, moim zdaniem, następująca: rozważając zachowanie alpinistów trzeba stwierdzić, że nie wystąpiły wykroczenia przeciwko zasadom etycznym. Choć takich zarzutów ci, którzy ocaleli, usłyszeli na pewno wiele. Ale z etycznego punktu widzenia nic im nie można zarzucić. Owszem, popełnili błędy. Ale złej woli, nawet w sytuacji krańcowej, już na linach poręczowych, nie można im przypisać. Jedyne fakty, który zaliczyłabym do zachowań nieetycznych, to zachowanie tych, którzy przeżyli, tutaj na dole. Publikacje w prasie nastawione na sensację, wypowiedzi pełne szokujących szczegółów ilustrowane fotografiami zwłok kolegów. W tej sytuacji za bardziej stosowny uważałabym nastrój żaloby i umiaru w relacjach. I te sytuacje, w których przecież już nie narażało się życia, można ocenić jako nieetyczne. Stosunek do wydarzeń na dole, już po wszystkim, jest chyba istotniejszy i podlega ocenie z punktu widzenia zasad etycznych.

- *Czy po tym wszystkim masz ochotę na powrót w góry?*

- Obawiam się, że tragedia na K2 i śmierć bliskich mi osób nie powstrzyma mnie przed pójściem w góry. Jeżeli zajmujesz się jakąś dziedziną od ponad 20. lat, to przestaje to być zabawą lub formą spędzania urlopów, staje się częścią twojego życia. Góry są częścią mego życia i nie zrezygnuję z nich. Więc tylko mogę się modlić, by czas mojej próby w górach nie nadszedł.

Warszawa, sierpień 1987



ks. Waldemar Chrostowski

Qumran – 40 lat później (II)

Jak trafnie wyraził się G. Vermes, *przed 1947 r. nazwa Qumran znana była tylko geógrafom*, a od 40. lat przywołuje na pamięć cały kompleks doniosłych zagadnień. Można to porównać jedynie z rangą odkryć w genizie kairskiej oraz z sensacyjnymi wykopaliskami w Ras Szamra. W 1896 r. Salomon Schechter odnalazł w Kairze, a następnie przewiózł do biblioteki w Cambridge ponad 100 tys. fragmentów tekstów hebrajskich, aramejskich, greckich i arabskich sporządzonych między VI a VIII w., które wpłynęły na ożywienie studiów biblijnych i judaistycznych. Z kolei w 1929 r. w trakcie zwyczajnych prac rolnych zapoczątkowano odkrycie starożytnego Ugarit. Podczas kilku kampanii wykopaliskowych wydobyto m.in. bogaty zbiór glinianych tabliczek z tekstami pochodzącymi z II tys. przed Chr., zapisanymi w nieznanym piśmie alfabetycznym. Przyczyniło się to do głębszego poznania klasycznego języka hebrajskiego, w którym powstawały pierwsze zapisy biblijne, do zrozumienia starotestamentowej poezji i poznania tła religijnej symboliki biblijnej. Qumran stanowi kolejne ogniwo w łańcuchu tych nieoczekiwanych a wiekopomnych wydarzeń.

O doniosłości odkryć qumrańskich pisano w naszym kraju dość dawno¹. W artykułach sprzed ćwierćwiecza czy lat kilkunastu znalazły się przede wszystkim wstępne oceny oraz wybiórcza refleksja przeprowadzona głównie z pozycji przydatności znalezisk qumrańskich do badań nad Nowym Testamentem. Kiedy w 1963 r. ukazał się polski przekład

¹ F. Kloniecki, *Manuskrypty z Qumran i ich znaczenie dla teologii chrześcijańskiej*, „Wiad. Archid. Gnieźnieńskie” 12/1957, s. 908–913, i 13/1958, s. 51–56, 150–155; L. Stefaniak, *Coś o bibliści o odkryciach w Qumran. Wywiady dla „Znaku” przeprowadzone przez ks. prof. L. Stefaniaka (z prof. J. T. Milikiem i Y. Yadinem)*, „Znak” 12/1960, s. 1150–1163; tenże, *Nowy Testament w świetle współczesnej paleografii i archeologii*, „Znak” 13/1961, s. 966–981; tenże, *Znaczenie badań archeologicznych na Bliskim Wschodzie dla rozwoju studiów nad Nowym Testamentem*, „Znak” 23/1971, s. 1014–1020; S. Mędała, *Znaczenie odkryć qumrańskich dla egzegezy Nowego Testamentu*, „Mies. Diec. Gdański” 16/1972, s. 315–322.

tekstów z IQ dokonany przez W. Tylocha², a pięć lat później słynna książka J. T. Milika³, wydawało się, że wszystko jest na najlepszej drodze. Stało się jednak inaczej. Pomimo że światowa qumranistyka święciła w latach siedemdziesiątych znaczne sukcesy, nie znalazło to należytego odbicia w polskim piśmiennictwie. Pewna poprawa nastąpiła na początku lat osiemdziesiątych. Ale musi zastanawiać fakt, że większe zainteresowanie Qumran wykazują badacze rekrutujący się z kręgów laickich (polski przekład Zwoju Świątynnego ukazał się na łamach „Euhemera”). Najwyższy czas, by bodaj w części nadrobić powstałe zaległości. Dzisiaj dla liczących się biblistów i niebiblistów powinno być jasne, że doniosłość odkryć w grotach qumrańskich ujawnia się na wielu płaszczyznach, z których najważniejsze teraz omówimy.

Znaczenie odkryć qumrańskich

1. Odkrycie i eksploracja grotty 11 zakończyły dekadę intensywnych poszukiwań wokół Qumran. Ale nie był to koniec przygody archeologów pracujących na Pustyni Judzkiej. Już jesienią i zimą 1951–52 r. napływały do Jerozolimy fragmenty starożytnych rękopisów hebrajskich i greckich, sporządzonych na papirusie lub pergaminie w I i II w. po Chr., których pochodzenie było nieznane. Większość została zakupiona przez dyrekcję Muzeum Rockefellera. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności jeden ze sprzedających je chłopców trafił do o. R. de Vaux, który przez jakiś czas cierpliwie skupował dostarczane mu teksty. Żądając na początku stycznia 1952 r. dość wysokiej ceny chłopiec tłumaczył, że grotta, z której pochodzą zapisy, znajduje się daleko od Betlejem i jest trudno dostępna. Udając niedowierzanie o. de Vaux usłyszał: *To chodź i zobacz!* Po krótkiej rozmowie z zaprzyjaźnionym pasterzem uczony uzyskał zapewnienie, że do grotty może udać się nie tylko on, lecz cała ekipa naukowców. Gdy wyprawa doszła do skutku, towarzyszyło jej kilku uzbrojonych policjantów, bowiem penetrowanie terenu w pobliżu Morza Martwego przestało być bezpieczne. 25 stycznia archeolodzy dotarli do pieczary usytuowanej 18 km na południe od Qumran i podjęli systematyczną eksplorację. Wkrótce rozpoczęto prze-

gląd innych pieczar na zboczach okresowego potoku Wadi Murabba'at. Znalezione w nich sporo ceramiki, broni, monet i drobnych przedmiotów codziennego użytku z I i pocz. II w. po Chr. oraz hebrajskie, aramejskie, greckie i łacińskie zabytki piśmiennicze z okresu rewolty Bar Kochby przeciwko Rzymianom (lata 132-135). Wśród zapisów zidentyfikowano papirusowy palimpsest⁴, którego początki sięgają VIII lub VII w. przed Chr. Trzy lata później, w marcu 1955 r., arabski pasterz wydobył z jednej z pieczar obszerne pozostałości hebrajskiego zwoju Dwunastu Proroków Mniejszych. Znalezione również 13 papirusowych fragmentów greckiej wersji Dwunastu Proroków. Należały one do tego samego rękopisu, którego resztki już wcześniej znalazły się w Jerozolimie, dostarczone przez beduińskich poszukiwaczy skarbów.

W latach 1960-61 archeolodzy izraelscy przy wielkim nakładzie sił i środków przeszukali setki grot w pobliżu okresowych potoków za zachód od Morza Martwego między twierdzą Masada a oazą En-gedi. W jednej, nazwanej Grota Listów, na zboczu Nahal Chever, Y. Yadin odkrył dalsze oryginalne dokumenty z czasów rewolty Bar Kochby, a gdzie indziej wiele nowych zapisów z przełomu I i II w. Wyróżniają się wśród nich zwłaszcza krótkie teksty biblijne oraz archiwum zawierające 35 umów spisanych w języku aramejskim, greckim i nabatejskim między 93/4 a 132 r. Stanowią one nieocenioną pomoc do zrozumienia żydowskiej terminologii prawniczej z okresu, zanim nastąpiła redakcja Miszny. Nie trzeba dodawać, że znaleziska mają ogromne znaczenie dla współczesnych Żydów, oświeclają bowiem i dokumentują bohaterski a dotąd mało znany epizod ich historii. Nic dziwnego, że wiele rękopisów z Pustyni Judzkiej trafiło do „Świątyni Księgi“, gdzie przechowywane są z wielką pieczołowitością i traktowane jak narodowe relikwie.

² W. Tyloch, *Rękopisy z Qumran nad Morzem Martwym*. PWN, Warszawa 1963. W książce znalazły się: Reguła Wspólnoty (nazywana tu Regułą Zrzeszenia), Reguła całego Zgromadzenia, Dokument Damasceński, Reguła Wojny, Księga Hymnów i Komentarz do proroctwa Habakuka.

³ J. T. Milik, *Dziesięć lat odkryć na Pustyni Judzkiej*. IW Pax, Warszawa 1968.

⁴ Palimpsest – pergamin, z którego usunięto zapis oryginalny po to, aby cenny materiał piśmienniczy mógł być wykorzystany na nowo.

W niedługim czasie obiektem systematycznych badań archeologicznych stała się Masada położona 50 km na południe od Qumran. Podczas dwóch kampanii wykopaliskowych (lata 1963–65) prowadzonych pod kierunkiem Yadina spenetrowano teren starożytnej fortecy bohatersko bronionej w ostatnim okresie pierwszego powstania przeciwko Rzymianom (lata 70–73) przez zelotów przybyłych z Jerozolimy i z Qumran. Jeśli chodzi o zabytki literackie, znaleziono mnóstwo fragmentów należących do 14. rękopisów zawierających teksty biblijne i pozabiblijne. Oprócz resztek starotestamentowych ksiąg Rodzaju, Kapłańskiej i Psalmów znaleziono 26 większych fragmentów z hebrajskim tekstem Księgi Syracha 39, 29–43, 30, część tzw. Liturgii Anielskiej znanej z 4Q, niewielki papirus grecki i hebrajski oraz ponad 200 skorup z literami hebrajskimi. Są one niemymi świadkami dramatu, jaki rozegrał się na krótko przed zajęciem twierdzy przez Rzymian – zdesperowani obrońcy podjęli decyzję o zbiorowym samobójstwie, a imiona tych, którzy najpierw mieli pozbawić życia innych, a w końcu siebie, wyznaczono drogą losowania, do czego posłużyły właśnie skorupy rozbitych naczyń.

Odkrycia z Wadi Murabba'at, Nahal Chever i Masady zasługują na osobną uwagę⁵. Wspominamy o nich w kontekście odkryć qumrańskich, bo nastąpiły jako bezpośrednia kontynuacja tamtych przedsięwzięć. Ze względu na podobieństwo zaplecza duchowo-kulturalnego i bliskość czasową wiele z tego, co można powiedzieć o randze rękopisów qumrańskich, odnosi się do zabytków rękopiśmienniczych odnalezionych w innych rejonach Pustyni Judzkiej. Obok wszystkich korzyści wspomnieć trzeba i tę, że rozległe poszukiwania na zachód od Morza Martwego przyczyniły się do wypracowania wysoko rozwiniętych metod prowadzenia wykopalisk i wykształcenia tzw. izraelskiej szkoły archeologicznej, z której wyszło wielu renomowanych naukowców.

2. Aż do 1947 r. rękopisy, które stanowiły podstawę krytycznych wydań Starego Testamentu, pochodziły z wieków średnich. Kodeks kairski zawierający pisma prorockie powstał ok. 895 r.; kompletne kodeksy z Aleppo i Leningradzki pochodzą odpowiednio z pierwszej połowy X w.

oraz z przełomu X/XI w. Inne ważniejsze kodeksy, wykorzystywane w trakcie sporządzania edycji krytycznych, są mniej więcej współczesne lub jeszcze późniejsze. Wszystkie były owocem wielowiekowego wysiłku masoreców, którzy z ogromną troską zabezpieczali, ustalali, przepisywali, a w końcu opatrzyli samogłoskami (wokalizacja) spółgłoskowy tekst Biblii hebrajskiej (zob. „PP” 5/1986, s. 236–241) nazywany tekstem masoreckim (TM). Od początku naszego stulecia oprócz rękopisów masoreckich uczeni mieli do dyspozycji fragmenty tekstów biblijnych odnalezionych w genizie kairskiej oraz kilkanaście linijek na papirusie Nash z II w. przed Chr., co w tym kontekście było całkowitym ewenementem. Odnalezienie rękopisów wszystkich ksiąg żydowskiego kanonu ST (poza Księgą Estery) stanowi prawdziwy przewrót: otrzymaliśmy zapisy biblijne wcześniejsze o ok. 1000 lat od masoreckich. Niektóre, jak np. rękopisy Księgi Daniela czy Syracha, dzieli zaledwie kilkadziesiąt lat od powstania oryginału. W przypadku pozostałych ksiąg biblijnych czasowy dystans między oryginałem a egzemplarzem z Qumran jest większy, ale i tak wynosi najwyżej kilkaset, a nie jak przedtem ok. 1,5 tys. lat.

Ma to ogromne konsekwencje dla krytyki tekstu ST. Masoreci, dążąc do ujednolicenia sposobu czytania tekstu spółgłoskowego, wprowadzili samogłoski utrwalając w ten sposób tradycyjną w ich czasach wymowę. Rękopisy, którymi się posługiwali, zawierały tzw. tekst protomasorecki, który przez osiem wieków (I–VIII w.) przekazywano w ramach oficjalnego judaizmu. Reformę masorecką zaaprobowali (nie bez oporów) średniowieczni Żydzi, co doprowadziło w końcu do odrzucenia i niszczenia innych krążących rękopisów biblijnych na rzecz kodeksów zaopatrzonych w ustalone znaki samogłoskowe. Wielką niewiadomą była sprawa samych początków protomasoreckiego typu tekstu

⁵ W Polsce są one mało znane, a szkoda. Wyjątek stanowią odkrycia w Masadzie, które doczekały się kilku dobrych opisów: E. Sitarz, L. Stefaniak, *Notatnik archeologiczny: Palestyna 1962–1964*, „Znak” 17/1965, s. 923–925; Z. Kapera, *Masada*, „Filomata” 196/1966, s. 312–326; tenże, *Rękopisy z Masady. Kontekst archeologiczny – przegląd treści – znaczenie*, w: *Studia z archeologii Azji Przedniej i starożytnego Wschodu*, Kraków 1970, PAN – Oddział w Krakowie, „Prace Komisji Archeologicznej” 9, s. 189–206; P. Szeller, *Historia wykopalisk archeologicznych w Ziemi Świętej*, „Studia Płockie” 1/1973, s. 39–47.

ST⁶. Jeżeli krytycy chcieli mieć wgląd w inne świadectwa tej samej protomasoreckiej tradycji, mogli odwołać się do przekładów i transkrypcji pochodzących z okresu poprzedzającego intensywną działalność masoretów (syryjska Peszitta, łacińska Wulgata, „Hexapla“ Orygenes⁷) lub do fragmentów z genizy kairskiej, które dostarczały przykładów innej niż masorecka wokalizacja starotestamentowego tekstu. Pewną pomocą służył także Pentateuch Samarytański, lecz jego rękopisy, podobnie jak masoreckie, pochodzą z wieków średnich. Gdy stwierdzano warianty odmienne od masoreckich, istniała możliwość, że mogły one być skutkiem pomyłek i błędów powstałych w trakcie długiego procesu przekazu świętego tekstu. Prawdziwe problemy i mnóstwo pytań nastroczała Septuaginta. Przekładu dokonano w epoce przedchrześcijańskiej i zawiera on wiele poważnych odchyłń od tradycji protomasoreckiej. Dostrzegano je od dawna i już w starożytności usiłowano im sprostać dokonując rewizji LXX w oparciu o tekst protomasorecki (Akwila, Symmach, Teodocjon). Natura i liczba rozbieżności wskazywała, że greccy tłumacze musieli posługiwać się inną Vorlage⁸ aniżeli ta, która była podstawą recenzji protomasoreckiej. Przypuszczano zatem, że pod koniec epoki przedchrześcijańskiej istniały dwa równoległe typy tekstu biblijnego.

Pełne potwierdzenie tych przypuszczeń nastąpiło dzięki odkryciom qumrańskim. Pozwoliły one poznać dokładniej historię tekstu biblijnego w czasie ostatnich stuleci poprzedzających dramat judaizmu palestyńskiego związany z klęską Jerozolimy i zburzeniem świątyni. W niewielkim fragmencie, oznaczonym symbolem 4Qsm^b, rozpoznano 8 wariantów zgodnych z przekładem LXX, a różnych od TM. Podobnie w przypadku qumrańskich świadectw Księgi Jeremiasza: dwa rękopisy z groty 4 na ogół pokrywają się z TM, natomiast jeden (4QJr^b), najstarszy (ok. 200 r. przed Chr.), zgodny jest z krótszym typem tekstu Księgi reprezentowanym przez LXX. Intrygujące zabiegi stwierdzono w trakcie analizy rękopisu Księgi Powtórzonego Prawa z 5Q: do tekstu sporządzonego w pierwszej poł. II w. przed Chr., zgodnego z późniejszą recenzją protomasorecką, wprowadzano poprawki dokonane zgodnie z tym typem tekstu hebrajskiego, który stanowił Vorlage Septuaginty.

Wynika z tego, że w Qumran współistniały ze sobą dwie odmienne recenzje tekstu ST: ta, na której oparli się tłumacze greccy, oraz inna, która w przyszłości miała być przyjęta przez judaizm oficjalny i opracowana przez masoretów. Odkrycia qumrańskie dowodzą nie tylko różnorodności tradycji tekstu ST, lecz wzajemnych wpływów i oddziaływań. Dzięki nim wydaje się pewne, że w epoce międzytestamentowej istniało kilka form tekstu ST, a pluralizm ten był czymś normalnym. Dopiero pojawienie się chrześcijaństwa i reorganizacja judaizmu po 70 r. spowodowały, że rabinicy uszytnili swoje stanowisko, co wyraziło się w decyzji podjętej na synodzie w Yavne określającej nie tylko, które pisma przynależą do kanonu ksiąg świętych, lecz i w unifikacji biblijnego tekstu. Opowiedziano się za jednym typem uznając go za normatywny i święty. Wiele do myślenia daje to, że o ile w Qumran znaleziono fragmenty rozmaitych pism, także tych, których kanoniczność miała stać się przedmiotem sporów między Żydami a chrześcijanami, o tyle w pieczarach na zboczach Wadi Murabba'at wśród tekstów religijnych zdecydowanie dominują pisma należące do kanonu palestyńskiego. W ciągu nieco ponad 40. lat, jakie dzieliły synod w Yavne od rewolty Bar Kochby, rabiniczny judaizm wyraźnie wymógł na swoich wyznawcach uległość wobec decyzji podjętych przez przywódców, którzy przeżyli narodową katastrofę. Mimo to świadomość różnorodności długo jeszcze nie zanikła, skoro pomysł zrealizowany w „Hexapli” Orygenesu uwzględnił ją i respektuje istnienie dwóch form tekstu biblijnego. LXX nadal cieszyła się pełnym uznaniem równoległe do tekstu protomasoreckiego.

3. Z tego, co powiedzieliśmy, widać, że odkrycia qumrańskie pozostają w ścisłym związku z problematyką kanoniczności ksiąg świętych. Nie sposób rozwijać złożonych problemów, jakie się z tym łączą, ale wiedzieć trzeba, że znajdują się one w centrum uwagi badaczy zajmujących się

* Typ tekstu – suma wariantów typowych dla jednego lub większej liczby rękopisów z zapisem tego samego tekstu.

W „Hexapli” Orygenes zestawil w sześciu równoległych kolumnach hebrajski i grecki tekst Biblii (rozmaite wersje) dodając ponadto uwagi krytyczne. Jedną z sześciu kolumn podaje transliterację tekstu hebrajskiego literami greckimi. Do dzisiaj zachowały się jedynie fragmenty tego obszernego dzieła.

* „Vorlage” – termin przyjęty z języka niemieckiego, oznacza tekst użyty przez tłumacza w toku przekładu na inny język.

naturą i natchnieniem Pisma Świętego. Rękopisy z Qumran dostarczyły zresztą innych bardzo ważnych danych w tym względzie. Na szczególną uwagę zasługują fragmenty tekstów biblijnych, które zostały sporządzone w języku greckim. Musi zastanawiać fakt, że pośród dokumentów wspólnoty zamieszkującej osadę położoną zaledwie 20 km na płd.-wsch. od Jerozolimy znaleziono świadectwa Biblii, którą posługiwali się Żydzi z diaspory, przede wszystkim aleksandryjskiej. Jest to jeszcze jeden dowód rangi LXX, która w epoce przedchrześcijańskiej była Biblią Żydów mówiących po grecku. Wraz z odpowiedzią judaizmu rabinicznego na chrześcijaństwo nastąpiło odrzucenie Biblii greckiej i kanonizowanie pism w języku hebrajskim i aramejskim. Reorganizację judaizmu przeprowadzono z punktu widzenia orientacji faryzejskiej, jednej z wielu w wielopostaciowym judaizmie epoki międzytestamentowej.

Kanon Biblii greckiej obejmuje więcej ksiąg aniżeli kanon palestyński. W Qumran znaleziono fragmenty pism nie włączonych do kanonu żydowskiego (Księga Syracha, Tobiasza, List Jeremiasza), ale obecnych w LXX i w kanonie katolickim. To prawda, że na tej podstawie nie można wyciągać zbyt daleko idących wniosków, bo nie potrafimy powiedzieć, jaki status przysługiwał tym pismom, tzn. czy traktowano je na równi z księgami świętymi, tym niemniej godne uwagi jest, że były one znane i czytane. W grotach qumrańskich odkryto hebrajskie teksty księgi Syracha i Tobiasza, podczas gdy w kościelnych wydaniach ST mamy przekłady oparte na kanonicznej wersji greckiej. Przypomnijmy, że hebrajski zapis Księgi Syracha znaleziono również w genizie kairskiej⁹. Mimo tych nieoczekiwanych odkryć kanoniczny pozostaje tekst grecki, który został przyjęty przez Kościół. Rękopisy hebrajskie rzucają wiele światła na jego genezę i pozwalają zrozumieć miejsca uważane dotąd za trudne. Z tego, że pisma istniały w języku hebrajskim, wynika, że decyzja rabinów na synodzie w Yavne stanowiła dość arbitralne posunięcie.

Odkrycia qumrańskie znacznie rozszerzyły naszą wiedzę o apokryfach (w nazewnictwie protestanckim: pseudoepigrafy). Obraz z początku naszego stulecia, powstały na podstawie podręcznikowej edycji R. H. Charlesa¹⁰, zmienił się nie do poznania¹¹. Chociaż pisma te ostatecznie nie weszły

ani do kanonu żydowskiego, ani do chrześcijańskiego, jednak w okresie międzytestamentowym były bardzo popularne. Dotychczas znano je prawie wyłącznie z przekładów, a istnienia semickich oryginałów można się było domyślać. Apokryfy znalezione w Qumran (Księga Jubileuszów, Testament Lewiego, Testament Neftalego, Księga Henocha) zapisane są w języku hebrajskim i aramejskim i ukazują się jako pisma całkowicie żydowskie. Są kolejnym przejawem żywotności i różnorodności judaizmu ze schyłku epoki ST, co zatarło się na skutek rabinicznej reorientacji. Stanowią nieocenioną pomoc dla studium żydowskiej religii, kultury, obyczajowości i dziejów, w okresie zanim judaizm został zdominowany przez rabinów.

4. W przekładzie pism ST dochodzą do głosu zarówno zjawiska specyficznie tekstologiczne jak i określone tendencje egzegetyczne. Lektura i egzegeza nicustannie przeplatają się. Ważnym zadaniem krytyka tekstu i egzegety jest zidentyfikowanie obydwu zjawisk, tj. rozstrzygnięcie, czy w konkretnym przypadku rozbieżności mamy do czynienia z wariantem tekstu, czy z zamierzoną interpretacją. Rękopisy qumrańskie widziane z tej perspektywy są nie tylko bezcennymi świadectwami tekstu biblijnego, lecz także wskazują charakter uprawianej podówczas egzegezy ksiąg świętych.

Ważnych wskazówek dostarcza przegląd odnalezionych w Qumran rękopisów biblijnych. Wśród 175. zapisów aż 70, tj. 40%, stanowią teksty Pięcioksięgu. Dowodzi to rangi tej części Biblii, którą Żydzi zawsze otaczali najwyższym szacunkiem. Szczególnie popularna w środowisku qumrańskim była Księga Powtórzonego Prawa, a z innych ksiąg ST – prorocy „późniejsi” (Izajasz, Jeremiasz, Ezdrasz i Dwunastu Proroków Mniejszych) oraz Księga Psalmów i Daniela. Trwają dyskusje, dlaczego właśnie te partie Biblii cieszyły się

²⁰ Wydanie hebr. tekstu Syr pochodzącego z genizy kairskiej z wariantami rękopisów z Qumran i Masady zob. F. Vattioni, *Ecclesiastice: Testo ebraico con apparato critico e versioni grece, latine e siriacae*, Napoli 1968.

²¹ R. H. Charles, *The Apocrypha and Pseudepigrapha of the Old Testament*, Vol. I II, Oxford 1913.

²² Konieczne jest uaktualnienie dzieła R. H. Charlesa. Podjął się go zespół uczonych, którymi kieruje H. F. D. Sparks. Ostatnio pojawiło się zupełnie nowe wydanie pism apokryficznych, uwzględniające odkrycia qumrańskie: J. H. Charlesworth, *The Old Testament Pseudepigrapha*, Garden City N.Y. 1982.

większym powodzeniem niż inne. Niezbędna jest daleko idąca ostrożność, ponieważ nie można wykluczyć, że w Qumran faktycznie krążyło więcej rękopisów ST, które z rozmaitych względów nie zachowały się do naszych czasów.

Z porównania biblijnych rękopisów qumrańskich wynika, że istniały dwa rodzaje tekstu: swobodny i literalny. Pierwszy miał bardziej rozwiniętą ortografię, zdradza cechy właściwe późniejszej wokalizacji, podlega oddziaływaniu miejsc paralelnych, łagodzi archaizmy, włącza rozwinięcia i omówienia wyrażeń trudnych lub zbyt krótkich. Nie stroni też od uwzględniania mało widocznych, lecz niewątpliwych elementów egzegezy. Teksty tego rodzaju mają charakter popularny i przeznaczone były do lektury publicznej. Obok nich stwierdzono egzemplarze pism biblijnych sporządzonych z wielką dokładnością, w których unika się jakichkolwiek modyfikacji i dodatków.

Najwięcej przykładów egzegezy typowej dla wspólnoty qumrańskiej odnajdujemy w aramejskich przekładach Biblii, tj. targumach, oraz w komentarzach do ksiąg biblijnych. Tą drogą otrzymaliśmy mnóstwo informacji dotyczących starożytnych technik interpretowania Pisma Świętego, co stawia w nowym świetle zarówno egzegezę ST przeprowadzoną w NT jak i egzegezę rabiniczną. Do czasu odkryć qumrańskich nie było dokładnie wiadomo, odkąd datuje się praktyka sporządzania aramejskich wersji ST. Wielu uczonych sądziło, że zapoczątkowano je stosunkowo późno, w każdym razie dopiero w epoce chrześcijańskiej. Znalezienie takich tekstów, jak 4QtgLev czy 11QtgHb dowodzi, że nawet w środowisku qumrańskim, gdzie dobra znajomość hebrajskiego nie budzi wątpliwości, przekłady aramejskie cieszyły się uznaniem i były chętnie przepisywane. Ich badania mogą wiele powiedzieć, jak autorzy i wspólnoty, do których przekład był adresowany, pojmowali znaczenie pism biblijnych oraz jak je objaśniali i adaptowali do okoliczności i potrzeb swego życia. Dużym zaskoczeniem było odkrycie w Qumran zarówno zwyczajnych komentarzy (1QpHa, 4QpNa i fragmenty komentarzy do Księgi Psalmów, Ozeasza, Micheasza, Sofoniasza i Izajasza) jak i komentarzy tematycznych. Słusznie można się domyślać, że autorzy pism nowotestamentowych dysponowali takimi lub

podobnymi zbiorami specjalnie dobranych perykop starotestamentowych, aby za ich pomocą wyrazić niezwykłość osoby i orędzia Jezusa Chrystusa. Ten sposób postępowania naśladowali później Ojcowie Kościoła w popularnej katechezie i przepowiadaniu. Znaleźiska qumrańskie pokazują, że początki tego rodzaju praktyk mają odległy przedchrześcijański rodowód.

5. Zrozumiałe, że odkrycia nad Morzem Martwym zaintrygowały przede wszystkim starotestamentalistów. Tym niemniej mają one ogromne znaczenie również dla badań nad Nowym Testamentem. Po odkryciach w Qumran bibliistyka nowotestamentowa nie jest już taka, jak była przedtem. Nastąpiły istotne zmiany w sposobie patrzenia na kanoniczne pisma napisane we wczesnym Kościele. Ze względu na to, że wszystkie księgi NT sporządzone są w języku greckim, egzegeci i teologowie instynktownie zwracali się ku światu hellenistycznemu i w nim szukali odpowiedzi na nurtujące ich pytania. Wprawdzie wiedziano o istnieniu tzw. judeochrześcijan, których nie sposób zrozumieć bez odwołania się do środowiska palestyńskiego, ale do naszych czasów nie zachowały się żadne pisma z I w., które pochodziłyby z tych kręgów. O Ewangeliach kanonicznych wiadomo, że (może poza Mt?) nie powstały w Palestynie, co też kierowało badaczy ku różnym rejonom basenu Morza Śródziemnego, w których kwitły język i kultura grecka. Osobę i działalność Jezusa Chrystusa oraz narodziny Kościoła omawiano przede wszystkim w kontekście analizy greckiej szaty językowej i hellenistycznych uwarunkowań NT. Ustawiczne eksponowanie tła hellenistycznego odbywało się ze szkodą dla gruntownej wiedzy o zapleczu semickim. Na skutek tego przez całą pierwszą dekadę odkryć qumrańskich tylko nieliczni nowotestamentaliści byli w stanie posługiwać się samodzielnie oryginalnymi tekstami. Reszta musiała polegać na przekładach i wywodach bardziej zaawansowanych specjalistów dobrze znających języki hebrajski i aramejski.

W połowie lat pięćdziesiątych liczba nowotestamentalistów znających języki semickie wzrosła i odtąd stale się powiększa. Dzisiaj uczony nie może zajmować się poważnie egzegezą Nowego Testamentu, jeżeli nie potrafi przeprowa-

dzić rzetelnej konfrontacji własnych opinii z tekstami odnalezionymi w Qumran. Poznanie tej rozległej literatury uzmysłowiło potrzebę zwrócenia się ku światu semickiemu, zwłaszcza ku środowisku Żydów palestyńskich, których obraz zyskał zupełnie nowe barwy. Jezus mógł czasami mówić po grecku, ale na co dzień myślał i mówił w języku swojego narodu. Palestyńskie korzenie chrześcijaństwa widoczne są w całym NT, lecz zapisy z Qumran ukazały je z nową siłą. Równocześnie z zainteresowaniem światem żydowskim nastąpiło ożywienie studiów nad judaizmem okresu międzytestamentowego. Pojawiło się wiele cennych publikacji poświęconych literaturze rabinicznej, omawiających zasady i zawartość starożytnej egzegezy żydowskiej, wzmoгло się zainteresowanie aramejskimi wersjami Biblii itd. Nie podlega dyskusji, że główny impuls do tych rozległych badań dały właśnie odkrycia qumrańskie.

Ten aspekt oddziaływania tekstów qumrańskich jest niestety w Polsce ciągle mało widoczny. Nadal kuleje znajomość języków semickich, a większość nowotestamentalistów tak uprawia swoje badania, jak gdyby Qumran w ogóle nie istniało. Należy to jak najszybciej zmienić. W przeciwnym razie nasza egzegeza i teologia pozostaną z dala od problemów, którymi żyje współczesna światowa biblistyka.

6. Przedmiotem najgorętszych dyskusji jest sprawa związków między Qumran a Nowym Testamentem. W ciągu 40. lat pojawiły się trzy zasadnicze sposoby widzenia tej kwestii. Najmniej liczna grupa badaczy utożsamiała wspólnotę qumrańską z wczesnym Kościołem judeochrześcijańskim, a Jezusa z qumrańskim Nauczycielem Sprawiedliwości¹². Według innych chrześcijaństwo stanowi odłam ruchu esenckiego i zaistniało w wyniku jego ewolucji. Najwięcej uczonych utrzymuje, że zarówno esenizm jak i chrześcijaństwo wywodzą się z tego samego wspólnego pnia, którym był wielopostaciowy judaizm okresu międzytestamentowego.

Dwa pierwsze stanowiska nie ostały się w ogniu krytyki. Utożsamiania wspólnoty qumrańskiej z gminami chrześcijańskimi nigdy nie traktowano poważnie, a ci, którzy się przy tym upierali, nie znali ani realiów Qumran, ani pierwotnego chrześcijaństwa. Chrześcijaństwo jako dziecko

essenizmu przedstawiał A. Dupont-Sommer¹³, powielając tezy F. Renana, który żył długo przedtem, zanim nastąpiły odkrycia w Qumran. Po kilku latach Dupont-Sommer zmienił zdanie, ale to, co napisał, długo podsycalo wyobraźnię wielu czytelników. Jego poglądy na polskim gruncie najbardziej uparcie zaszczepliał Z. Kosidowski. W „Opowieściach ewangelistów”, drukowanych najpierw w tygodniku, a potem powielanych w setkach tysięcy egzemplarzy, prezentował Qumran jako *chrześcijaństwo przed Chrystusem*. Z nie ukrywaną satysfakcją cytował słowa Renana, że *chrześcijaństwo jest essenizmem, któremu się powiodło*¹⁴. Kosidowski zupełnie zignorował fakt, że Dupont-Sommer odstąpił od takiego ujęcia. Katolicy bibliści, zwłaszcza J. Frankowski i J. Kudasiewicz, włożyli wiele energii w polemikę z tak zdeformowaną wykładnią. Urobiono nawet (czy nie J. Banak?) nazwę „kosidowszczyzna” na określenie wykrętnego, acz chwytnego i sugestywnego przedstawiania spraw trudnych. Wygląda na to, że publikacje Kosidowskiego odniosły jednak ten niepożądany skutek, iż ostudziły zapal względem Qumran, jaki niewątpliwie istniał w naszym kraju w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych. Wielu wierzących, w tym – niestety – część wykładawców i katechetów, zaczęła podejrzliwie patrzeć na odkrycia qumrańskie. Po śmierci Kosidowskiego polscy wydawcy nadal powielają rozdział „Jan Chrzciciel i Jezus esseńczykami?” chociaż, jak zauważył Z. J. Kapera¹⁵, nawet wydawca radziecki usunął go z drugiego wydania rosyjskiego przekładu książki zatytułowanego „Skazania Ewangelistów” (Moskwa 1979). Słusznie, bo teza o esseńskim rodowodzie chrześcijaństwa należy bezpowrotnie do przeszłości. Qumran na pewno nie jest postulowanym brakującym ogniwem między religią ST a chrześcijaństwem.

¹³ W tym duchu pisali: żydowski uczony z Cambridge J. L. Teicher w serii artykułów zamieszczonych w „Journ. Jew. ST.” 2-5 (1951-54) oraz Y. Baer, *Serekh ha-Yachad – The Manual of Discipline. A Jewish-Christian Document from the Beginning of the Second Cent. C.E.*, „Zion” 29/1964, s. 1-60.

¹⁴ A. Dupont-Sommer, *Aperçus préliminaires sur les manuscrits de la Mer Morte*, Paris 1950, s. 105-117.

¹⁵ Z. Kosidowski, *Opowieści biblijne. Opowieści ewangelistów*, Warszawa 1987, s. 759.

¹⁶ Z. J. Kapera, *Selected Polish Subject Bibliography of the Dead Sea Discoveries*, w: „Folia Orientalia” XXIII (1985-86), s. 269 i 273 (nota 5).

Pozostaje trzecia możliwość: ruch esseński i chrześcijaństwo reprezentują autonomiczne odłamy wyrosłe na wspólnym podłożu międzytestamentowego judaizmu. Jedno i drugie odznacza się sobie właściwym kolorytem, ma własną naturę i genezę, co jednak – zważywszy na bliskość środowiska, czasu i miejsca – nie wyklucza wpływów i analogii. Właśnie w tym kierunku idą najnowsze badania qumranistów i nowotestamentalistów, zarówno żydowskich jak chrześcijańskich, a nawet akonfesyjnych. Wydobywane są wspólne dla Qumran i wczesnego chrześcijaństwa wątki teologiczne, podobne i pokrewne elementy doktryny, etyki, praktyki życia i organizacji (np. wspólnota dóbr, regulacje dotyczące własności prywatnej, celibat, nauczanie, nadzór nad życiem wspólnoty i posługa charytatywnej), zbieżności w dziedzinie idei mesjańskich i oczekiwań eschatologicznych, analogie w rozumieniu i posługiwaniu się prorocstwem, w sposobie widzenia świątyni jerozolimskiej i sprawowanego w niej kultu ofiarniczego, wreszcie podobieństwa i wpływy w zakresie niektórych praktyk religijnych. Zasadnicze elementy oddziaływania dostrzegalne są nie między essenizmem a Jezusem, który nie mógłby zaaprobować większości praktyk qumrańskich, lecz między essenizmem a pierwszymi wspólnotami judeochrześcijańskimi. Młoda religia była bliższa doktrynie i postępowaniu członków wspólnoty qumrańskiej niż rabinicznemu czy normatywnemu judaizmowi. Dopatrzone są wiele istotnych zbieżności terminologicznych między Qumran a pismami NT. Mogą się one tłumaczyć przejściem wielu członków wspólnoty qumrańskiej na chrześcijaństwo (zob. Dz 6,7, gdzie mowa jest nie tylko o kapłanach jerozolimskich). Przedmiotem czystych spekulacji jest osoba i dzieło Jana Chrzciciela. Istnieją domysły, że mógł być członkiem wspólnoty zamieszkującej Qumran, a opuściwszy ją opowiedział się za Jezusem. Nie jesteśmy w stanie ani tego udowodnić, ani temu zaprzeczyć.

Literatura na temat związków Qumran a NT jest ogromna. Polskie publikacje, generalnie biorąc, mają charakter nazbyt apologetyczny lub poruszają bardzo szczegółowe zagadnienia zrozumiałe wyłącznie dla specjalistów. Najwyższy czas, aby i pod tym względem sytuacja zmieniła się na lepsze.

7. Znaczenie odkryć qumrańskich i pozostałych odkryć w rejonie Morza Martwego objawia się na jeszcze innej płaszczyźnie. Odnalezione rękopisy to prawdziwe dzieła sztuki, dowód wysokiego arcyzmu i kultury ludzi, którzy je sporządzili. Ich wygląd i troska, z jaką zostały złożone w grotach, świadczą, że zajęciu skryby, kopisty czy przepisywacza towarzyszyło głębokie poczucie odpowiedzialności, a owoce ich pracy cieszyły się niepospolitym uznaniem i szacunkiem. Wobec zagrożenia zdrowia i życia ratowano właśnie zwoje. Był to przedsmak sytuacji, jaka w pełni dojrzała w okresie późniejszym: kiedy świątynia przestała istnieć, a naród żydowski do reszty utracił polityczną niepodległość, właśnie zwoje, na których utrwalono duchową spuściznę, stały się ważnym ogniwem konsolidacji kulturalnej i religijnej. Ciekawe, że w kontekście żydowskich zwyczajów grzebalnych, które nie tolerują łączenia żadnych przedmiotów codziennego użytku z pochówkiem ludzkiego ciała, cmentarz qumrański stanowi wyjątek od tej surowo przestrzeganej reguły – w niektórych grobach znaleziono złożone tam narzędzia pisarskie.

Odkrycia nad Morzem Martwym zapoczątkowały nową dziedzinę badań, a mianowicie gruntowne studium hebrajskiego pisma i ortografii z okresu między III w. przed Chr. a II w. po Chr. Przedtem najbardziej rozpowszechniony i wypróbowany sposób ustalania chronologii opierał się na analizie porównawczej ceramiki znalezionej podczas wykopalisk. Za jej pomocą wprawny specjalista z dużą dokładnością może określić wiek poszczególnych warstw archeologicznych. Ale w odniesieniu do niektórych okresów ceramika była zbyt zawodna. W sukurs przychodziła numizmatyka i palcografia. W tej ostatniej główną rolę odgrywały rozmaite zapisy na glinianych skorupach (ostraka), inskrypcje kamienne, drobne teksty papirusowe, epitafia na ossuariach oraz niewielkie fragmenty starożytnych zwojów. Qumran zmieniło radykalnie oblicze paleografii hebrajskiej. Uczeni uzyskali tak bogaty materiał porównawczy, o jakim przedtem nie ośmieliliby się marzyć. Odkryte i zbadane fragmenty kilkuset rękopisów wskazują, że w ciągu ponad 200. lat istnienia osady pismo, w którym sporządzano zapisy, ewoluowało. Zmiany te można rozpoznać i opisać, a na tej podstawie określać wiek odnalezio-

nych rękopisów. W niektórych stwierdzono obecność pisma paleohebrajskiego, co poszerza naszą wiedzę o dziejach pisma w ogóle i rzutuje na ważne aspekty krytyki tekstu ST. Dodać trzeba, że rękopisy qumrańskie stanowią bezcenne przykłady tego, jak wyglądały rękopisy ST w czasach Jezusa Chrystusa i nieco wcześniejszych.

Nie wolno przeoczyć znaczenia rękopisów qumrańskich dla poznania dziejów języka i pisma aramejskiego. W okresie hellenistycznym (koniec IV – II w. przed Chr.) Żydzi stopniowo odchodzili od języka hebrajskiego i pisma paleohebrajskiego na rzecz aramejskiego i pisma kwadratowego. Zmiana języka i pisma były wyrazem głębszych przemian kulturowych (por. „PP” 4/1985, s. 46–61). Różne aspekty tych przemian można prześledzić w oparciu o analizę pism sporządzonych w języku aramejskim. Wzbogaciły one naszą wiedzę o języku, którym powszechnie posługiwano się w Palestynie w czasach Chrystusa.

Hipoteza N. Golba: rękopisy qumrańskie częścią jerozolimskich księgozbiorów?

Dzięki odkryciom rękopisów oraz wykopaliskom w Qumran poznaliśmy szczegóły życia, obyczaje i dzieje wspólnoty, która zamieszkiwała tę osadę. Już w kilka miesięcy po znalezieniu pierwszych zwojów E. Sukenik napisał: *Przychylam się do hipotezy, że kryjówka rękopisów należała pierwotnie do sekty eseneńczyków, ponieważ – jak o tym wiadomo z różnych źródeł literackich – miejsce zamieszkania tej sekcarskiej grupy znajdowało się na zachodnim brzegu Morza Martwego w pobliżu En-gedi*¹⁶. Pogląd ten rychło przyjął się powszechnie. Rozwijano go w oparciu o informacje o eseneńczykach podane przez żydowskiego filozofa i myśliciela religijnego – Filona, historyka Józefa Flawiusza oraz rzymskiego historyka Pliniusza Starszego. Zwłaszcza badania Reguły Wspólnoty znalezionej w IQ wykazały istnienie w tekście wielu idei i pojęć właściwych eseneńczykom. Z upływem czasu zaniechano określenia „sekt”. Badania tekstów qumrańskich dowiodły, że ówczesny judaizm był zjawiskiem wielopostaciowym, a kwestia ortodoksji nie jest taka prosta, jak się to począł-

kowo wydawało. Obecnie zwykło się mówić o nurcie, prądzie, grupie lub wspólnotcie esseńskiej.

Hipoteza esseńska jest naukową „opinio communis”. W 1980 r. profesor Instytutu Orientalnego Uniwersytetu w Chicago, Norman Golb, zakwestionował ją jednak twierdząc, że powiązanie dokumentów qumrańskich z esseńczykami nastąpiło zbyt szybko i było sprawą czystego przypadku¹⁷. Niezrozumiała wydaje mu się dysproporcja między mnogością i różnorodnością rękopisów przypisywanych niezbyt licznej grupie esseńczyków a szczupłością świadectw z bezpośredniego otoczenia świątyni jerozolimskiej, przy której skupiało się przecież życie duchowe i intelektualne narodu. W Qumran nie znaleziono tekstów i dokumentów historycznych we właściwym tego słowa znaczeniu, a Golb wątpi, czy te, które ujrzaly światło dzienne, pozwalają na poważne wnioskowanie o dziejach wspólnoty. O ile zdecydowana większość rękopisów odnalezionych w Wadi Murabba'at, Nahal Chever i Masadzie to autografy, czyli zapisy sporządzone przez samych autorów, o tyle rękopisy qumrańskie to prawie bez wyjątku odpisy. Pojawia się pytanie, gdzie podziały się autografy i jak to się stało, że w grotach wokół Qumran ukryto tylko kopie. Jeżeli przepisywanie dokumentów odbywało się w osadzie, to w jej obrębie powinny przetrwać jakieś relikty oryginalnych tekstów, z których korzystali kopiści. Co więcej, qumrańskie dokumenty pozabiblijne dowodzą dużego zróżnicowania w zakresie doktryny i praktyki, co trudno wytłumaczyć utrzymując, że chodzi o grupę mocno odizolowaną od reszty żydowskiego społeczeństwa. Biorąc to pod uwagę Golb jest zdania, że Chirbet Qumran nie było siedzibą zamkniętej wspólnoty religijnej, lecz żydowską fortecą, która odgrywała istotną rolę w systemie koncentrycznie zbudowanych warowni strzegących dostępu do Jerozolimy. Odnalezienie pomieszczenia nazywanego scriptorium nie upoważnia jego zdaniem do tego, by mówić o intensywnej działalności pisarskiej w osadzie qumrańskiej. Dwa lub trzy stoły i dwa kałamarze to stanowiąc za małe dowody działal-

¹⁶ E. E. Sukernik, *Megillot genozoth me-Midbar Yehudah*, Jerusalem 1948, I, s. 16.

¹⁷ N. Golb, *The Problem of Origin and Identification of the Dead Sea Scrolls*, w: „Proceedings of the American Philosophical Society” 124, Febr. 1980, Philadelphia, s. 1-24.

ności, w wyniku której powstało co najmniej kilkaset obszernych rękopisów. Spore znaczenie przykładu Golb do wzmianek u Orygenesu i w liście nestoriańskiego patriarchy Tymoteusza, że w ich czasach, tj. w III i VIII w., znajdowano w pobliżu Jerycha jakieś rękopisy hebrajskie¹⁸. Może to świadczyć o zakrojonej na szeroką skalę akcji zabezpieczania cennych zwojów. Wszystkie powyższe spostrzeżenia i obiekcje podporządkowane są jednej konkluzji: odnalezione w latach 1947–56 rękopisy nie są dziełem qumrańskich esenicyzów, lecz częścią rozmaitych księgozbiorów jerozolimskich, które na krótko przed 70 r. zostały umieszczone w pustynnych grotach usytuowanych na płd.-wsch. od Jerozolimy. Oznaczałoby to, że nie było żadnych bezpośrednich związków między odnalezionymi rękopisami a osadą qumrańską. Jej mieszkańcy mogli co najwyżej dostarczyć przybyłym dzbanów niezbędnych do lepszego zabezpieczenia zwojów.

Proponowana przez Golba rekonstrukcja wydarzeń wygląda tak. Niedługo po wybuchu żydowskiego powstania przeciw Rzymianom, jesienią 67 r., gdy Galilea została zajęta przez okupantów, do Jerozolimy przybyli pierwsi uciekinierzy. Wobec wieści o okropnościach popełnianych przez wroga podjęto decyzję o ukryciu zbiorów znajdujących się w sąsiedztwie świątyni. Tej akcji nie przerwano nawet po rozpoczęciu oblężenia miasta latem 68 r., bo Pustynia Judzka pozostawała nadal pod kontrolą Żydów. Przeniesiono bibliotekę, a nie archiwum świątynne, ponieważ zostało ono zniszczone w 66 r. przez jakiś odłam zelotów. Ważne miejsce w wywodach Golba zajmuje Zwój Miedziany znaleziony w 3Q. Wylicza się w nim mnóstwo rozmaitych kosztowności i skarbów, wspomina o kopiach tego zapisu oraz podaje sporo referencji geograficznych. Golb twierdzi, że jest to dowód ukrycia skarbów i świątynnej biblioteki. W ukończonej w 1985 r. rozprawie doktorskiej, przedstawionej na Uniwersytecie w Chicago, David Wilmut usilnie wykazuje, że zapis na Zwoju Miedzianym ma charakter dokumentu historycznego i opisuje faktyczny stan rzeczy.

Wywodom Golba nie można odmówić błyskotliwości. Zręcznie wykorzystuje on w nich znane informacje i domysły na korzyść konfrontacji z powszechnie przyjętym

sposobem patrzenia na Qumran. Większość założeń, na których oparte zostało misternie zbudowane rozumowanie, pojawiła się już w literaturze qumranistycznej. Niczym nowym nie są i te punkty, którym w hipotezie przyznana została pozycja centralna. Wątpliwości co do esenejskiej natury Qumran wyrażano jeszcze w latach pięćdziesiątych¹⁹, ale uczeni zdolali się z nimi uporać. Koronny argument, czyli twierdzenie, że Zwój Miedziany wiąże się ściśle z dramatem świątyni jerozolimskiej, również miał zwolenników (K. G. Kuhn, Ch. Rabin i J. M. Allegro). Ale nie łączyli oni tajemnicy Miedzianego Zwoju tak mocno z genezą rękopisów qumrańskich, jak uczynił to Golb. Popularne ujęcie swojej teorii opublikował wiosną 1985 r. na łamach „Biblical Archaeologist”²⁰. Niespełna rok później przemyslenia Golba uprzystępniał doc. Stanisław Mędała na sympozjum zorganizowanym w warszawskiej ATK. Hipoteza spotkała się z zainteresowaniem naszych uczonych, a jej autora zaproszono do Polski.

Czy propozycja N. Golba zmienia spojrzenie na rangę odkryć qumrańskich? W zasadzie nie. Wszystko, co zostało powiedziane odnośnie do znaczenia Qumran, w pełni zachowuje swoją wartość. W nowym ujęciu dochodzi jeszcze bardziej do głosu przeświadczenie o wielopostaciowości judaizmu z końca czasów Starego Testamentu. Pisma, które tradycyjnie przypisywano określonej grupie religijnej, miałyby być własnością ogółu Żydów związanych ze świątynią. Rękopisy pochodziły nie od mieszkających na odludziu „sektarzy”, lecz z kręgu kierujących życiem duchowo-religijnym narodu. Byłby to jeszcze jeden argument potwierdzający, że społeczność żydowska była zróżnicowana. Na tym tle równie wyraźnie rysuje się kontekst narodzin chrześcijaństwa judeopalestyńskiego i judaizmu rabinicznego. Wywody Golba zostały bardzo powściągliwie

¹⁸ Już w początkach odkryć qumrańskich zwrócił na to uwagę G. R. Driver, *The Hebrew Scrolls from the Neighbourhood of Jericho and the Dead Sea*, London 1951, s. 24–26.

¹⁹ Przykładowo: M. H. Goshen-Gottstein, *Anti-Essene Traits in the Dead Sea Scrolls*, VT 4/1954, s. 141–147; C. Roth, *Why the Qumran Sect cannot have been Essenes?*, RQ 1/1954, s. 417–422; tenże, *Were the Qumran Scribes Essenes?*, JTS 10/1954, s. 87–93.

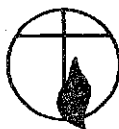
²⁰ N. Golb, *Who Hid the Dead Sea Scrolls?*, Bibl. Archaeologist 48/1985/2, s. 68–82.

przyjęte przez uczonych. Dostyc chłodno odnoszą się do nich zwłaszcza naukowcy pochodzenia żydowskiego, którzy dotąd szereg problemów nastręczanych przez teksty qumrańskie łagodzili stwierdzeniem, że chodzi o zapisy sporządzone w ramach prądu essenińskiego, co nie daje obrazu całości judaizmu. Może przyszłość przyniesie jakieś dane w tym względzie. Qumran ciągle czeka na nowych odkrywców.

Qumrân - 40 ans après (II)

Les recherches dans la région de Qumrân ont contribué à la mise au point de nouvelles méthodes de fouilles et à la constitution de l'école archéologique israélienne. La découverte des manuscrits du canon juif de l'Ancien Testament fut riche de conséquences pour l'exégèse critique du texte, pour la question de la nature

canonique des livres, pour celle des rapports entre l'Ancien et le Nouveau Testament. Elle a multiplié les connaissances relatives aux apocryphes, à la religion, la culture et les moeurs juives. Elle est à l'origine d'études sur l'écriture et l'orthographe hébraïques et apporte des connaissances nouvelles sur l'araméen.



Andrzej Paczkowski

Europa – jej granice i podziały*

Pojęcie „Europa” interesuje mnie tu w dwóch aspektach – granic zewnętrznych i podziałów wewnętrznych. Szukać będę więc odpowiedzi na pytania: gdzie przebiegały linie oddzielające Europę od reszty świata oraz czy – a jeśli tak, to jakie i kędy wiodące – były rozgraniczenia wewnątrz europejskiej całości? Od dwóch konstatacji chciałbym zacząć te wywody: *Europa jest zachodnim krańcem Eurazji*¹; *Ponieważ Europa jest konstrukcją ludzkiego umysłu opierającego się na trudnej do sprecyzowania rzeczywistości geograficznej, istnieje, od kiedy ludzie myślą o niej, ogromna różność Europ* (immense variété d'Europes)². Stwierdzenie J. B. Duroselle'a wprowadza nas w drugi ze wskazanych problemów (granice wewnętrzne), ale w istocie wychodzi od pierwszego z nich (granice zewnętrzne). Zaczniemy więc może od niego właśnie.

Nie chciałbym tu wikłać się w egzegezę narodzin pojęcia „Europa”, które funkcjonuje co najmniej od VIII w. przed Chr. i było mocno osadzone w siatce pojęć geograficznych starożytności klasycznej. W epoce tej granice kontynentalne Europy wyznaczane były w zasadzie znajomością pośrednią lub bezpośrednią terenu i przesuwaty się – ku północy, zachodowi i północo-wschodowi – w miarę rozszerzania się zasięgu penetracji militarnej i handlowej. Początkowo (u Hezjoda) Europą była kontynentalna część Grecji, która uzupełniała Wyspy Jońskie i Peloponez; u Herodota obejmowała już całą Grecję i stanowiła, obok Azji i Libii, jedną z trzech części poznanego świata. „Ruchomość” kontynentalnych granic Europy stała się trwałym składnikiem definicyjnym i pozostała takim nawet w czasach, gdy całość kontynentu została pod względem

* Tekst ten pochodzi z obszernej pracy pt. *Szkice do historii kultury nowoczesnej Europy*. Stanowi on fragment części wstępnej zatytułowanej *Kultura nowoczesnej Europy – pytania i wątpliwości*. Został dostosowany do potrzeb niniejszej publikacji.

¹ J. Bowlé, *A History of Europe. A Cultural and Political Survey*, London 1979, s. XI.

² J. B. Duroselle, *L'idée d'Europe dans l'histoire*, Paris 1965, s. 25.

geograficznym poznana, opisana i sklasyfikowana, gdyż zarówno obaj cytowani tu badacze, jak i wielu innych, podtrzymują tezę o relatywności granic Europy na wschodzie, tzn. tam, gdzie zrasta się ona z Azją (lub „wyrasta” z Azji), nie kwestionując pozostałych jako mających charakter naturalny (morza lub ocean). Nie zmienia tego sądu fakt, że państwa europejskie ery starożytnej swe granice wytyczały na innych kontynentach, jak i to, że – od wczesnego średniowiecza po wiek XX – bywały państwa nieeuropejskie (arabskie, tureckie), które swymi granicami obejmowały niemały szmat „zachodniego krańca Eurazji” (Półwysp Bałkański, Półwysp Iberyjski) znajdującego się w tej części geograficznego kontynentu, którego europejskość nie była podawana w wątpliwość. Pojęcie „Europa” jest tak ściśle związane z biegiem wydarzeń politycznych oraz przemianami społeczno-gospodarczymi i kulturowymi, iż należy uznać, że ma ono przede wszystkim charakter historyczny, zmienny w czasie. Z tego też względu miałyby się z celem omawianie wszystkich jego zmian i konotacji w okresach poprzedzających okres bezpośrednio tu omawiany.

To, że w XIX i XX w. Europa geograficzna była już całkowicie poznana i opisana, nie zmieniło faktu, iż pojęcie „Europa” w obrębie badań czy refleksji nad dziejami kultury (a także historią polityczną i gospodarczą) budziło i budzi najrozmaitsze kontrowersje, których główne źródła tkwią, jak sądzę, na płaszczyźnie politycznej i ideologicznej czy szerzej światopoglądowej. Nie bez znaczenia jest wszakże również „fakt geograficzny”: dzięki ekspansji na Syberię i do Azji Środkowej, rozpoczętej już w XVII w., a zakończonej w II poł. XIX w. (za datę graniczną można uznać wojnę rosyjsko-japońską), państwo rosyjskie, obejmujące wschodnią część Europy geograficznej, włączyło do swego organizmu wielkie obszary Azji. Chyba z uwagi na bezpośrednią łączność terytorialną między metropolią a ziemiami zdobywanymi nie były one traktowane jako kolonie sensu stricto, choć występowało wiele elementów charakterystycznych dla podboju kolonialnego, jak np. stosunek do ludów autochtonicznych, charakter wymiany handlowej, wykorzystywanie zdobytych terenów jako miejsc odbywania kary przez przestępców (pospolitych i politycznych) oraz militarna lub paramilitarna admini-

stracja. Przekraczając geograficzną strefę europejską i włączając zajęte ziemie integralnie w obszar państwowy Rosja stała się państwem „euroazjatyckim” w sensie dosłownym, obiektywnym, tzn. geograficznym. Ale oczywiście nie w tym leży problem, gdyż dla wielu Europa w znaczeniu geograficznym nie pokrywała się (i nie pokrywa) z „Europą” jako podmiotem kulturowym, politycznym czy gospodarczym i azjatycki dodatek terytorialny nie miał istotnego znaczenia dla formułowania opinii o nieeuropejskości Rosji i kultury rosyjskiej.

W znaczącej większości opracowań syntetycznych i podręcznikowych, dotyczących dziejów Europy XIX i XX w., z których miałem możliwość skorzystać, Rosja (ZSRR) obejmowana jest tokiem wykładu na równi z pozostałymi państwami kontynentu. Często jednak przytaczane są w nich opinie, wedle których Rosja uważana była nie tylko za kresy europejskiego universum lub za jego peryferia, ale za obszar pozostający poza strefą kulturowo-cywilizacyjną Europy – odrębny, inny, nieraz obcy, a nawet wrogi. W istocie nawet najostrożniejsi ze znanych mi autorów (np. Lichtenheim, Hughes czy Dreyfus) są zdania, iż ewolucja, którą przechodziła Rosja od panowania Piotra Wielkiego i przez cały XIX w. była stopniową – choć bynajmniej nie linearną – „asymilacją” państwa carów do Europy: zarówno poprzez kolejne reformy urządzeń państwowych, włączenie znacznej części warstw oświeconych w obieg europejskich wzorów kultury czy nawiązywanie coraz ściślejszych więzów gospodarczych, jak i (co jest bardziej oczywiste) poprzez wejście Rosji na teren „polityki europejskiej” i to od razu jako członka „europejskiego koncertu mocarstw”. A. Besançon, jeden z najbardziej znanych historyków zajmujących się dziejami Rosji i ZSRR, stwierdza, iż *wejście do wojny za panowania Mikołaja II oznaczało najwyższy stopień imitacji, definitywną adopcję Rosji przez Europę i przez najbardziej europejskich Europejczyków – Francję, Anglię, Włochy*³. A jednak przez cały XIX w. istniała pewna rezerwa i to – jeśli można tak powiedzieć – dwustronna. Problem istniejący od czasów Piotra Wielkiego nie przestał nurtować opinii publicznej i jej przedstawicieli, choć nie był dylematem dla władców

³ A. Besançon, *Le cas russe*, w: „L'Autre Europe” nr 7–8, 1985, s. 44.

i rządów: *Dla ludzi Zachodu aparat wewnętrzny Rosji carskiej – pisał Duroselle – był równie odpychający, jak jej aparat zewnętrzny był bliski*¹. Ale to właśnie po drugiej, rosyjskiej stronie zdania były szczególnie głęboko podzielone. Wydaje się, iż nie ma potrzeby przypominania tu całego wielkiego konfliktu, który trawił rosyjską inteligencję i rosyjską myśl społeczną – w literaturze polskiej wiele na ten temat napisano (z twórczością Andrzeja Walickiego na czele) dzieląc ją na dwa wyrażście zarysowane obozy: słowianofilów i okcydentalistów. Na marginesie natomiast warto zwrócić uwagę na to, iż większość przedstawicieli każdego z nich tak czy inaczej przydawała Rosji rolę wiodącą w przyszłych dziejach Europy (a zatem i świata) – tak sądził zarówno Aleksander Hercen wierzący w czystość rosyjskiego socjalizmu, jak i Włodzimierz Sołowjow, dla którego rosyjska religijność miała stać się zaczynem do przełamania kryzysu kultury europejskiej. Tak więc nie tylko część zachodniej (czyli europejskiej) opinii, ale także część rosyjskiej traktowała Rosję jako – dla jednych „gorszą”, dla innych „lepszą” – całość kulturową i polityczną, stanowiącą wyraźnie różny wariant europejskości lub nawet ciało obce wobec Europy. Już w połowie XIX w., gdy mocarstwa zachodniej i środkowej Europy wchodziły w apogeum swej potęgi, nie brakło wizjonerów przepowiadających, iż to właśnie „euroazjatycki” kolos – wspólnie z zaatlantyckim Nowym Światem – położy kres światowej dominacji Starego Kontynentu, a może nawet podporządkuje go sobie, wchłonie i przepoczwarzy na własne podobieństwo. W dylematach tych pierwszorzędną rolę odgrywała oczywiście potęga militarna Rosji – a dla Rosjan także jej potencjalne siły duchowe – któż bowiem podejmował równie namiętne dysputy nad tym, czy zislamizowani Słowianie bałkańscy znajdujący się pod panowaniem tureckim są, czy nie są Europejczykami, a Bułgaria lub Albania należą, czy nie należą do Europy?

Rewolucja z jesieni 1917 r. i zwycięstwo sił kierowanych przez partię bolszewicką w wojnie domowej nie zakończyły sporu, zwłaszcza że kształt terytorialny ZSRR był bliski (biorąc pod uwagę rozmiary tego państwa) państwu Romanowych, a więc powtarzał jego „euroazjatyckie” usytuowanie. Zwolennikom tezy o nieeuropejskości Rosji przybyły

argumenty opierające się przede wszystkim na fakcie, iż nowy system polityczny stanowił zerwanie continuum ustrojowego, które istniało w istocie przed 1917 r. między Rosją a państwami zachodnioeuropejskimi, choć oczywiście rosyjskie samoderżawie stanowiło w nim ekstremum. Krótkotrwałość istnienia wzorującej się w znacznym stopniu na zachodnioeuropejskich modelach Republiki Rosyjskiej (marzec-listopad 1917) mogła dla wielu stanowić dowód, iż prawdziwa „europeizacja” Rosji jest niemożliwa. Sam system ideologiczny panujący w ZSRR choć niejednokrotnie – także w samych początkach (wojna 1920) – odwoływał się do patriotyzmu i tradycji rosyjskiej, mając ambicje i aspiracje uniwersalne nie wykazywał zainteresowania problemem swej kontynentalnej tożsamości⁵. Na marginesach jednak oficjalnego życia umysłowego w samym ZSRR jak również na emigracji dawny dylemat wracał dość często, żeby wspomnieć tu emigracyjną grupę skupioną wokół czasopisma „Ischod k Vostoku” ukazującego się od 1921 r. w Sofii, w którym rozwijano tezę o Rosji jako syntezie *Wschodu z Zachodem i Europy z Azją*, odwoływano się do prymatu Rosji w kręgu narodów *euroazjatyckich* i ich przyszłej roli we wspólnocie *Eurazji*.

W obfitej literaturze dotyczącej najnowszej historii Starego Kontynentu wyczuwalna jest wyraźna ambiwalencja: omawiając dzieje Europy omawia się także historię Rosji – również wewnętrzną, a nie tylko udział w wydarzeniach dziejących się na zachód od jej państwowych granic – a jednocześnie podkreśla się odmienność, zaś dla okresu po 1917 r. przepaść, między strukturami państwa rosyjskiego i ZSRR a resztą Europy. Tak więc Rosja (ZSRR) jest zarazem uczestnikiem jak i czynnikiem zewnętrznym; jest częścią Europy, ale tak odmienną, iż właściwie niceuropejską. A więc może trzeba iść za radą F. Venturiego, który proponował, aby wyjść z *granic narodowych i myśleć w granicach europejskich, Europy rozciągającej się od Moskwy do Filadelfii?*⁶

⁴ J. B. Duroselle, dz. cyt., s. 227.

⁵ J. Chałasiński w artykule *Historyczne pojęcie Europy* (w: *Kultura i naród. Studia i szkice*, Warszawa 1968, s. 152–168) kilkakrotnie cytuje deprecjonujące Europę stwierdzenia Lenina i Stalina.

⁶ W: *Niveaux de culture et groupes sociaux*, Paris—La Haye 1967, s. 180.

Jeżeli pod względem geograficznym, geopolitycznym czy ekonomicznym Ameryka była i jest wystarczająco odseparowana od Europy, aby ją traktować jako zupełnie odmienną całość, to czy separacja taka jest w pełni jednoznaczna w sferze kultury: myśli społecznej, filozofii, religii, sztuk, literatury? Czy Atlantyk na północ od zwrotnika Raka nie stał się poczynając od XIX w. nowym Mare Nostrum? Jeżeli dla Venturiego Europa XVIII w. rozciągała się od Moskwy do Filadelfii, to czy w połowie XIX w. nie zaczęła się ona rozciągać od Irkucka do Missisipi, a potem od Władywostoku do San Francisco, i czy jej granice – zachodnia i wschodnia – nie spotkały się w cieśninie Beringa? *Nowy Jork i Moskwa to nic nowego* – pisał w 1932 r. Ortega y Gasset – *w odniesieniu do Europy. Oba te centra są odgałęzieniami rządów europejskich*. W Rosji, kontynuował swą myśl hiszpański filozof, *mamy do czynienia z warstwą idei europejskich – z marksizmem – wymyślonym w Europie i mającym na względzie realia europejskie*, podczas gdy siła USA *sprowadza się do jednego: techniki /.../ Przecież to także wynalazek europejski, nie amerykański. Technika została wynaleziona w Europie w ciągu XVIII i XIX w.*⁷ Także filozof A. Philip uznawał kulturę rosyjską i amerykańską za *gałęzie* kultury europejskiej, przy całej swej odmienności *najbliższe jej*⁸. Czy rzeczywiście w II poł. XX w. można mówić o Europie *od Atlantyku po Ural* skoro (używając za J. B. Duroselle'em argumentu lżejszego kalibru) mistrzem Starego Kontynentu w lekkiej atletyce może zostać zawodnik urodzony w syberyjskim Krasnojarsku, w afrykańskim Dakarze lub na amerykańskiej Jamajce? Czy uniwersalizacja zrodzonych w Europie wielkich innowacji nie przyczyniła się do „rozmycia” pojęcia Europy jako pewnej wspólnoty kulturowej, czy nie przemieściła – i nie przemieszała – jej granic tak, iż nie ma możliwości ich precyzyjnego określenia? Czy wielość i wzajemna sprzeczność (a nawet wrogość) tych innowacji nie powoduje, iż od pewnego momentu europejskie jest wszystko i nic – bowiem „wszystko”⁹ wychodziło z Europy i „nic” nie było charakterystyczne tylko dla niej? Liberalizm i marksizm, ateizm i chrześcijaństwo, parlamentaryzm i totalitaryzm, darwinizm i solidaryzm, impresjonizm i kubizm, natura-

lizm i symbolizm – czyż nie narodziły się w Europie i nie rozpląnęły się po wielkiej części kuli ziemskiej? Jak przestrzennie ułożyć stwierdzenie marksistowskiego historyka, że istnieje coś, co można by nazwać europejskim kręgiem kulturowym, tzn. kręgiem wywodzącym się z grecko-rzymskiej (i bizantyńskiej) kolebki, opartej na pewnych wspólnych założeniach filozoficznych¹⁰, bez jego lokalizacji czasowej? Zadanie może proste dla XIV czy XV w. staje się trudne i delikatne dla czasów, o których tu mówimy, nie tylko z uwagi na to, że Europa dość daleko odbiegała od Abelardowskiej zasady *diversa non adversa*, zmieniając ją często na *diversa et adversa*, ale także dlatego, że znakomita część europejskiego dorobku została przeszczepiona daleko poza granice geograficzne kontynentu. Jeżeli rzeczywiście rację ma Hughes pisząc, iż po upadku średniowiecznego ideału powszechnego imperium (universal empire) równoległego do Kościoła powszechnego (universal church) /.../ poszczególne terytoria łączyła w Europę tradycja¹¹, to szukając tej wspólnej tradycji – a co za tym idzie odwołań się do niej, śladów jej żywotności – znajdujemy się w świecie pojęć relatywnych i subiektywnych („Jesteśmy Europejczykami” – wypowiedź pozytywna, „nie jesteśmy Europejczykami, jesteśmy Amerykanami, jesteśmy ludźmi radzieckimi” – wypowiedź negatywna). Można, jak sądzę, postawić następującą hipotezę: w okresie, o którym mowa, następowało rozchodzenie się pojęcia Europy jako przestrzeni geograficznej i Europy jako pewnej relatywnie zamkniętej (choć wewnętrznie zróżnicowanej) całości kulturowej. Pozostawiam tu oczywiście nawet bez próby odpowiedzi pytanie, czy i kiedy istniała między nimi zbieżność. Narzuca się bowiem konstatacja, iż być może te „obce Europy” nigdy nie pokrywały się ze sobą, a przez wspólnotę kulturalną (K. Mannheim) czy krąg kulturowy kontynentu rozciągają-

¹⁰ J. Ortega y Gasset, *Kto rządzi Europą*, w: *Bunt mas i inne pisma socjologiczne*, Warszawa 1982, s. 163, 164, 166.

¹¹ W: *L'Europe et le monde d'aujourd'hui*, Neuchâtel 1956, s. 153.

¹² Interesujące tezy o formowaniu się społeczeństw USA, Kanady, Ameryki Łacińskiej, Afryki Południowej, Australii, nazywanych „dziećmi Europy” formułuje L. Hartz w *The Founding of new societies*, New York 1964.

¹³ J. Topolski, *Teoria wiedzy historycznej*, Poznań 1983, s. 23.

¹⁴ H. S. Hughes, *Contemporary Europe. A History*, Englewood Cliffs 1971, s. 3.

cego się od Atlantyku do Uralu rozumiano raczej kulturę tylko jednej jego części – „ważniejszej”, „lepszey” czy po prostu bardziej ekspansywnej, silniejszej¹².

W powyższych uwagach cytowałem lub omawiałem opinie o podziałach Europy zajmujące się zasadniczo tylko sprawą europejskiej przynależności Rosji. Można stwierdzić, że nawet ci autorzy, którzy przynależność tę uznają, dostrzegają odmienności tak dalece wyraźne, że wydaje się przez nikogo nie kwestionowane, iż Rosja stanowi wyodrębnioną część kontynentu. Ale niezależnie od tego, jak oceniany był dystans między Rosją a Europą, podział ten ogarniał nie tylko narodowe terytorium rosyjskie czy terytorium państwowe imperium Romanowych (i ZSRR), ale także niektóre kraje (narody) ościenne, formując szerszy obszar, który najczęściej nazywano Europą Zachodnią. Być może jest kwestią przypadku, ale zwraca uwagę, iż w opracowaniach o charakterze syntetycznym i w podręcznikach dotyczących całej Europy w zasadzie (jednym z wyjątków jest książka A. Dorpaleu „Europe in the XXth Century: A History”, London 1968) nie używano terminu „Europa Środkowo-Wschodnia” (po angielsku w innym porządku – „east-central”), nawet jeżeli samą Rosję traktowano osobno od państw leżących między nią a Niemcami. Prace tego typu – przynajmniej te, z którymi miałem możliwość się zapoznać – nie przywiązują wagi do innych podziałów regionalnych poza wyodrębnianiem Europy Wschodniej, co być może wynika z faktu, iż zasadniczo obracają się w kręgu państw dużych, mocarstw militarnych i politycznych. Trudno wykluczyć, iż stan taki wynika również z nacisku czasów, w których prace te powstawały (głównie lata 1960–80), kiedy to dychotomiczny podział ideologiczny i ustrojowy kontynentu narzucał schemat Europy dwudzielnej, w którym niknęły inne podziały. Owo poczucie dwubiegunowości miało inny, uboczny niejako skutek: wzrost zainteresowania tą „inną”, „drugą” Europą. Stąd dość znaczna liczba różnego rodzaju opracowań poświęconych tej części kontynentu ujmowanej z reguły jako pewna całość odrębna od Rosji (ZSRR). Wśród ich autorów nie ma jednak zgody co do zasięgu pojęcia „Europa Wschodnia” (lub „Środkowo-Wschodnia”) – jedni zaliczają do niej tylko obecne tzw.

kraje demokracji ludowej, inni cały ciąg terytorialny od Finlandii po Turcję¹³.

Rzadko przypomina się o innych – tak często uważanych za oczywiste – podziałach na części takie, jak region Morza Śródziemnego (od Bosforu po Gibraltar) czy Skandynawia (z Islandią). Spośród kilkunastu opracowań ogólnych bodaj tylko cytowany tu już zarys H. S. Hughesa zwraca uwagę na wewnętrzne granice dzielące Europę: śródziemnomorską od północnej, łacińską od germańskiej, katolicką od protestanckiej; autor traktuje je wszakże jako należące do przeszłości na tyle odległej, iż nie mającej większego wpływu na okres, którym się zajmuje. Zasadniczy podział, najczęściej ewokowany w tych opracowaniach – obok podziału Wschód–Zachód, z którym częściowo się pokrywa – to podział wedle kryteriów ustrojowych i ideologicznych. Wyróżnia się więc grupy państw liberalnych (demokratycznych lub monarchiczno-konstytucyjnych) z jednej a konserwatywno-autorytarnych (lub dyktatorsko-totalitarnych) z drugiej strony i to zarówno dla XIX, jak i XX w. Skoro uprzywilejowanym przedmiotem zainteresowań autorów – a zapewne także czytelników – są stosunki międzynarodowe oraz dzieje wewnątrzpolityczne głównych państw europejskich, nastawienie takie jest dość naturalne. W rezultacie poszczególne regiony, na które dałoby się podzielić Europę, mają dla większości autorów znaczenie o tyle, o ile mogą być wyodrębniane jako place d'arme lub strefy (realnych czy też pożądaných) wpływów względnie jako zespoły państw sojuszniczych. Stąd relatywnie duża waga przywiązywana do takich geograficzno-politycznych pojęć, jak Mitteleuropa czy Bałkany przed 1918 r. a Europa Wschodnia (lub Środkowo-Wschodnia) po 1945 r. Ów „mocarstwowocentryzm” tłumaczy negliżowanie podziałów, dla których kryteriami mogłyby być m.in. język, wyznanie, tradycja wspólnych (ponadnarodowych) losów, obyczaje, formy życia codziennego itp. zjawiska należące do sfery kultury,

¹³ Dość brutalnie stawia tę sprawę Ortega y Gasset pisząc: „Przez słowo Europa rozumie się przede wszystkim i właściwie trójęc – Francję, Anglię, Niemcy” (dz. cyt., s. 162).

¹⁴ Ten skrajny wariant reprezentują A. Palmer i C. A. Macartney w *Independent Eastern Europe*, London 1962.

budzące zazwyczaj mniejsze zainteresowanie zarówno profesjonalnej historiografii jak i czytającej publiczności. Jest chyba dość charakterystyczne jako objaw uniwersalistycznego, nieróżnicującego oglądu także sfery kulturowej, iż w jedynym w najnowszej literaturze opracowaniu o kulturze europejskiej XIX i XX w.¹⁴ nie uwzględnia się podziałów regionalnych Europy i jedynie w partiach poświęconych religii omawia się osobno poszczególne wyznania.

Jednakże poczucie, iż Europa podlega nie tylko dychotomicznemu podziałowi, istnieje oczywiście w czasach najnowszych. Oto np. wedle oficjalnej nomenklatury ONZ dzieli się ona – traktując europejską część terytorium ZSRR jako odrębną jednostkę – na cztery regiony: śródkowo-zachodni obejmujący państwa Beneluksu, RFN wraz z Berlinem Zach., Austrię, Lichtenstein, Szwajcarię, Francję i Monako; północno-zachodni obejmujący pięć krajów skandynawskich, Irlandię, W. Brytanię oraz Wyspy Owcze i Normandzkie; południowo-zachodni obejmujący państwa leżące na europejskim pobrzeżu Morza Śródziemnego, Portugalie oraz enklawy Andorry, San Marino i Watykanu; wschodni obejmujący Bułgarię, Czechosłowację, NRD, Polskę, Rumunię i Węgry. W podziale tym dość wyraźnie obecna jest zasada rozgraniczeń politycznych, co wynika m.in. z uznania państwa za podstawową i niepodzielną część, a także z respektowania niektórych ponadpaństwowych związków polityczno-wojskowych (Układ Warszawski). W każdym razie nie jest to podział stricte ideologiczny, gdyż oczywiście jest, iż wówczas do „Europy Wschodniej” należałoby włączyć Albanię i Jugosławię. Jakkolwiek można by do tego podziału zgłaszać nieco zastrzeżeń (np. wyłączenie czarnomorskich państw europejskich z regionu Morza Śródziemnego rozbija kraje bałkańskie między dwie jednostki), propozycja ta jest raczej spójna i logiczna. Nie znaczy to wszakże, iż można uznać jej zasadność dla okresu sprzed połowy lat czterdziestych, np. dla dwudziestolecia międzywojennego, gdy nie tylko odmienny był przebieg niektórych granic państwowych (niemieckie oraz na styku Europy Wschodniej z ZSRR), ale także istniały trzy państwa wschodniego Bałtyku (Litwa, Łotwa, Estonia), nie ciążące bynajmniej ani politycznie, ani ekono-

micznie, ani kulturowo ku ZSRR, a to samo można powiedzieć o państwach „oenzetowskiej” Europy Wschodniej.

Pozostaje do zbadania, czy i na ile podziały inne niż polityczne, mające tradycje sięgające setek lat, przetrwały do czasów najnowszych i mogą wciąż stanowić wyróżniki. Żeby ograniczyć się tu do kilku tylko przykładów, wymienić można np. zróżnicowanie wyznaniowe i odrębne wspólnoty rodzin językowych (czy też często niegdyś przywoływany podział na Europę wina i Europę piwa). Podziały te nie przystają do siebie ani tym bardziej nie pokrywają się z granicami państwowymi nawet – a może tym bardziej? – w okresach, gdy (tak jak w II poł. XIX w., po zjednoczeniu Niemiec i Włoch) liczba suwerennych jednostek państwowych była znacznie mniejsza niż w latach 1918–39. Trudne byłoby wykreślanie linii podziałów syntetyzujących dwa lub więcej naczelných kryteriów. Nawet gdyby ograniczać się do wyróżników stosunkowo najbardziej trwałych (język, wyznanie), należy, jak się wydaje, raczej poszukiwać pewnych dominant, takich jak np. języki z rodziny słowiańskiej – prawosławie, czy języki z rodziny romańskiej – katolicyzm. W każdym jednak przypadku otrzymamy raczej wielokładnikową mozaikę niż zarys jednorodnych obszarów, zaś w strefach granicznych będziemy mieli do czynienia częściej z continuum niż linią definitywnie zamykającą. Poszukiwanie zbieżności między obszarami wyodrębnionymi na podstawie kilku kryteriów spycha nieuchronnie na poziom coraz większej szczegółowości i mnoży wyjątki oraz sytuacje specyficzne, a cóż dopiero, gdy trzeba nadto brać pod uwagę zmienność w czasie i to czasie szybkich a radykalnych zmian w obrębie wyróżników tak nawet stabilnych jak język (myślę tu o procesach asymilacyjnych związanych m.in. z migracjami, a nie o zmianach wewnątrz danego języka)? Cóż począć z prawosławnymi (lub unickimi) Rumunami, których alfabet łaciński potwierdza pokrewieństwo z rodziną języków romańskich lub z jednojęzycznymi Serbami i Chorwatami, których różnice wyznaniowe ciągną w przeciwne strony (ku Europie bizantyńskiej i Europie rzymskiej)? Dość często mówi się i pisze, że chrześcijaństwo

¹⁴ P. Gerbod, *L'Europe culturelle et religieuse de 1915 à nos jours*, Paris 1977.

jest jednym – a może i najważniejszym, najbardziej uniwersalnym – z wyznaczników europejskich, ale przecież w ciągu XIX w. równocześnie z wypieraniem z Europy geograficznej wpływów islamu (zarówno na Bałkanach jak i w rejonach Morza Czarnego i Zawołża) trwał proces ateizacji i to postępującej z przeciwległego krańca kontynentu, gmatwając dodatkowo złożoność mozaiki wyznaniowej. Jak więc sporządzić mapę wyznaniową kontynentu?

Spróbujmy wszakże poprowadzić przez Europę choćby tylko dwa podziały oparte na wyróżnikach relatywnie trwałych i od dawna występujących, a zarazem takich, które można a priori uznać za kreatywne w sferze kultury: języku i wyznaniu. Nie oznacza to oczywiście, iż mają one być wyłącznie decydujące, a wśród innych wymienić by tu można takie chociażby, jak: tradycja (i zmienna współczesność) polityczno-prawna (np. przynależność do wielkich organizmów państwowych, wyznawanego systemu wartości ideologicznych), powiązania gospodarcze, podobieństwa warunków ekologicznych, struktur społeczno-gospodarczych, geograficznie uwarunkowane struktury przestrzenne (np. morza wewnętrzne, ciągi nizin, zlewiska rzek) czy relatywnie trwałe układy sojusznicze, lub jako ich przeciwieństwo powtarzające się serie konfliktów międzypaństwowych czy narodowościowych, a wreszcie naturalne warunki otwarcia na obszary pozaeuropejskie.

JĘZYK. W XIX i XX w. widoczna jest obecność następujących większych grup (rodzin) językowych:

ROMAŃSKIEJ obejmującej Francję, przyległe do niej prowincje Belgii i Szwajcarii, Półwysep Pirenejski i Apeniński. Za rzucaną na wschód enklawę romańszczyzny można uznać język rumuński. Język francuski, będący w XVIII w. europejskim *lingua franca*, w XIX w. tracił swoje uniwersalne znaczenie, choć był wciąż jeszcze najbardziej rozpowszechniony i miał najszerszy zasięg geograficzny (w Europie);

SŁOWIAŃSKIEJ obejmującej znaczną część europejskiego terytorium państwowego Rosji, (bez Nadbałtyki, Zawołża, Krymu, Besarabii, peryferyjnych ludów północno-wschodnich okrain Uralu), ziemie białoruskie, ukraińskie, etnicznie polskie (zarówno w Rosji jak i w monarchii austriackiej), Czechy, Słowację, enklawę Serbii łużyckiej, północny i środkowy rejon Półwyspu Bałkańskiego (Słowenię, pld.

Karyntię, Dalmację, Serbo-Chorwację, Macedonię, Bułgarię). Na terytorium państwa rosyjskiego – a później ZSRR – język rosyjski był formalnie lub de facto językiem państwowym, od połowy lat czterdziestych stał się faktycznym językiem wspólnym także w innych krajach Europy Wschodniej. Niezależnie od podziałów geograficznych (wschód, zachód, południe) języki słowiańskie podzielone były między dwa używane w nich alfabety (łaciński, cyrylica z odmianami);

GERMAŃSKO-ANGLOSASKIEJ, najbardziej wewnętrznie zróżnicowanej i obejmującej: Skandynawię (bez Finlandii), Niemcy właściwe wraz z Prusami Wschodnimi i lewym brzegiem Renu, Szwajcarię, Austrię z Tyrolą, grupę flamandzką oraz silne enklawy niemieckie na wschodzie (Siedmiogród, Nadbałtyka), Anglię, a właściwie W. Brytanię. W XIX w. zarówno z uwagi na rosnące znaczenie anglojęzycznego USA, kolonialne imperium W. Brytanii (także pozostałe po nim wpływy kulturowe) i jej rolę w rewolucji technicznej, język angielski zaczął stawać się najbardziej rozpowszechnionym językiem obcym na świecie, a z pewnym opóźnieniem także w Europie. W interesującym nas okresie z racji dominującej roli Rzeszy Niemieckiej na znacznej połaci Europy oraz z uwagi na fakt, iż niemiecki był językiem państwowym monarchii Habsburgów, jego znajomość była dość częsta poza naturalnymi granicami językowymi, choć nie osiągnął popularności francuskiego.

Ponadto istniały w Europie ENKLAWY JĘZYKOWE (np. węgierska, języki narodów wschodniego Bałtyku, baskijska, albańska); języki, które można nazwać **PERYFERYJNYMI** (turecki, narodów tatarskich Krymu i Zawołża, ludów północno-wschodniej Rosji europejskiej związane z karelo-fińskim), do których – z uwagi na położenie geograficzne – wypadałoby zaliczyć (nowo-) grecki i języki celtyckie Wysp Brytyjskich oraz francuskiej Bretanii. Funkcjonowały także języki **EKSTERYTORIALNE**, jak np. oficjalny język Kościoła katolickiego (łacina), język Cyganów i trzy języki żydowskie (jidisz, ladino, hebrajski), choć co najmniej jeden z nich (jidisz) występował wprawdzie w rozproszeniu, ale na dającym się wydzielić obszarze (na północ od Niziny Węgierskiej, na wschód od Karpat, na wschód od Mozeli, na południe od Bałtyku, na zachód od Wołgi).

Taki podział wskazywałby na trzy terytorialne dominanty: słowiańską na wschodzie, anglo-germańską na północy, w centrum i na „dalekim zachodzie“, romańską na południu i zachodzie Europy. W interesującym nas tu okresie zachodziło wprawdzie wiele przesunięć granic językowych – wynikających czy to z procesów asymilacyjnych, czy będących rezultatem przegranych (wygranych) wojen, które powodowały terytorialne przekształcenia nie tylko państw, ale i usytuowania narodów – nie zmieniły one jednak w istotniejszy sposób schematu dominant w porównaniu z początkiem czy połową XIX w. Najważniejsze z tych zmian zaszły, jak się wydaje, dopiero po 1945 r. i polegały grosso modo na cofnięciu się zasięgu języków germańskich (niemieckiego), które ruch wsteczny rozpoczęły już w wyniku przegranej przez mocarstwa centralne I wojny światowej. Sprawą świeżej daty, której konsekwencji kulturowych jeszcze nie można określić, jest napływ emigrantów pozaeuropejskich do niektórych krajów romańskich (Francja, Belgia), germańskich i Anglii.

Mówiąc o językach europejskich warto także przypomnieć, że niektóre z nich są od dawna językami macierzystymi lub faktycznymi językami państwowymi w wielu krajach całego świata: od całej zachodniej hemisfery, poprzez część państw Afryki po Australię. Dodać tu można jeszcze, iż dążenia niepodległościowe różnych narodów europejskich prowadziły do tworzenia monoetnicznych (a więc w zasadzie monojęzycznych) struktur państwowych osiągając swoje apogeum po I wojnie światowej przede wszystkim w szerokim pasie od Bałkanów (Grecja) do wschodniego Bałtyku (Finlandia). Dla całego okresu, od poł. XIX w., charakterystyczny jest z kolei rozwój poczucia odrębności kulturowej (wyrażającej się m.in. w renesansie językowym) społeczności w różny sposób wtopionych już dawno w szersze jednostki narodowe (np. Bretończycy we Francji, Katalończycy w Hiszpanii, Walijszczyki w W. Brytanii) oraz dążenia do zwiększonej autonomii – a nawet separacji – w dawno już ukształtowanych jednolitych organizmach państwowych (Walonia w Belgii, Kraj Basków w Hiszpanii, Korsyka we Francji). Biorąc pod uwagę i te tendencje można chyba powiedzieć, że od poł. XIX w. do poł. XX w. procesy świadomości narodowej – dla których jednym

z najważniejszych wskaźników stał się język – ogarnęły wszystkie ludy europejskie. Nie bez słuszności można więc całą tę epokę określić mianem ery nacjonalizmu (nie tylko w anglosaskim, nie wartościującym tego słowa znaczeniu). Była to epoka wojen i konfrontacji toczonych częściej w „imieniu narodu” niż państwa, a istniejące federalne (wielonarodowe) struktury państwowe nie przestawały być przedmiotem wewnętrznej kontestacji i tendencji odśrodkowych.

Odrębną sprawą, stosunkowo słabo zbadaną, jest istnienie (i natężenie) poczucia przynależności do rodzin językowych. Panslawizm i pangermanizm były najbardziej widocznymi przejawami jeśli nie powszechności odczuwania takiej tożsamości, to wykorzystywania „językowego pobratymstwa”, najczęściej – choć nie wyłącznie – czy to w interesach imperialnych i agresywnych (Rosja od poł. XIX w., III Rzesza), czy defensywnych (ZSRR w l. 1941–1945) wielkich mocarstw. Będąc czynnikiem in potentia tkwiącym w europejskim układzie, nie stało się jednak owo poczucie trwałym spoiwem państwowych formacji ponadnarodowych. Nie zapobiegło także ostrym i krwawym konfliktom między narodami przynależnymi do tej samej grupy językowej, zwłaszcza tam, gdzie w jej obrębie występowały podziały wyznaniowe.

WYZNANIE. W XIX i XX w. dominujące na terenie Europy geograficznej było chrześcijaństwo, głęboko jednak podzielone na trzy zasadnicze obrządki:

KATOLICYZM – mający centralny autorytet zwierzchni – obejmował Półwysp Iberyjski i Apeniński, Francję, Irlandię, południowe Niemcy i Śląsk, polskie terytorium etnograficzne, Słowację, Litwę, Słowenię, Chorwację i Dalmację, Austrię, a znaczący był na obszarach państw Beneluksu, w środkowych Niemczech, w Szwajcarii, w Czechach i na Węgrzech. Ponadto w formie obrządku grekokatolickiego dominował na ziemiach zachodnio-ukraińskich i wśród Rumunów siedmiogrodzkich;

PRAWOSŁAWIE – w interesującym nas okresie podzielone na kilka Kościołów autokefalicznych – obejmowało znaczną część Półwyspu Bałkańskiego (Grecja, Bułgaria, Macedonia, Serbia, Czarnogóra), Rumunię z Besarabią, centralną i wschodnią Ukrainę, Białoruś i Rosję właściwą;

PROTESTANTYZM podzielony na wiele separujących się od siebie grup, nie mający zwierzchniego autorytetu, obejmował całą Skandynawię i część wybrzeża wschodniego Bałtyku (Łotwa, Estonia), Wyspy Brytyjskie (bez znacznej części Irlandii), północne i środkowe Niemcy wraz z Prusami, dolną część dorzecza Renu, Szwajcarię, znaczący był w Czechach, na Węgrzech i w Siedmiogrodzie.

Spośród WYZNAŃ NIECHRZEŚCIJAŃSKICH dwa odgrywały większą rolę: islam obecny na terenie Półwyspu Bałkańskiego, na Krymie i Zawołżu oraz mozaizm towarzyszący skupiskom żydowskim niezależnie od ich lokalizacji terytorialnej. Ponadto – w skali „śladowej” – na północnych peryferiach występowały ludy wyznające animizm. W XIX w. następował – jak już wspomniałem – proces ATEIZACJI, który miał charakter zarówno spontaniczny, jak i (zwłaszcza po 1917 r. w obrębie ZSRR a po 1945 r. na terenie politycznie wyodrębnionej Europy Wschodniej) wynikał z walki toczonej przez ateistyczne państwa ze wszystkimi wyznaniem. Niektórym projektom ideologicznym (głównie, lecz nie wyłącznie nazistowskim i faszystowskim) towarzyszyły też próby „poganizacji” sfery światopoglądowej.

Za dominanty można by więc uznać: prawosławie na południowym wschodzie i wschodzie Europy, protestantyzm na północy (łącznie ze wschodnim Bałtykiem), na „dalekim zachodzie” (Anglia) i w północnym pasie środkowej części kontynentu (od Kłajpedy po Antwerpię); katolicyzm na południu i w środku Europy. Jednak na mapie wyznaniowej Europy trwale istniały tereny o silnym przemieszaniu religijnym, co szczególnie dotyczyło obszarów katolickich i protestanckich¹⁵ przede wszystkim na ziemiach niemieckojęzycznych (łącznie z pobrzeżem południowego Bałtyku), w Czechach czy na Węgrzech, ale nawet i w Zjednoczonym Królestwie. Różnorodność ta powiększała się, jak sądzę, w ciągu II poł. XIX w. – a szczególnie od jego końcowej części – także w wyniku migracji wewnątrz europejskich (napływ katolickich Hiszpanów, Włochów i Polaków do Francji, Beneluksu i Niemiec Zach.).

W omawianym okresie nie nastąpiły zasadnicze przesunięcia na mapie wyznaniowej Europy, przynajmniej w obrębie wyznań chrześcijańskich. Za tendencję podstawową należy uznać ateizację, choć – jak się wydaje – jej apogeum

już minęło i ujawniły się z dość dużą siłą procesy „rechrystianizacyjne” i to zarówno w państwach laickich na zachodzie Europy, jak i (może wyraźniej) w ateistycznych na wschodzie. Niektóre przesunięcia granic państwowych po 1945 r. i związane z nimi akcje wysiedleńcze (lub przesiedleńcze) oznaczały pewne cofnięcie się wschodniej granicy protestantyzmu (z Prus, Pomorza, Nadbałtyki), a przesunięcie ku zachodowi granicy prawosławia (na dawne polskie kresy, a także przez likwidację obrządku unickiego). Po Holocaulście mozaizm przestał być wyznaniem o masowym zasięgu; islam od poł. XIX w. wypierany był zarówno z Bałkanów jak i Zawolża, natomiast w związku ze świeżymi migracjami zarobkowymi spoza Europy do niektórych państw zarówno „strefy” katolickiej jak i protestanckiej pojawiły się (zwłaszcza w wielkich aglomeracjach przemysłowych Niemiec Zach., Francji, Belgii, Holandii i Anglii) enklawy islamu oraz różnych religii środkowej i południowo-wschodniej Azji. Jakkolwiek za główny konflikt wyznaniowy XIX i XX-wiecznej Europy można uznać konflikt między ateizmem – zwłaszcza jeśli ma on charakter państwowy – a teizmem, to jednak spory między poszczególnymi wyznaniem, także chrześcijańskimi, przy malejącym natężeniu nie ustały całkowicie i lokalne wojny religijne (np. w Irlandii Płn.) wciąż jeszcze należą do teraźniejszości, a nie tylko do historii. W okresie, którym się zajmujemy, konflikty takie były dość częste, choć nie przybrały rozmiarów z epoki XVII-wiecznych wojen religijnych. Niejednokrotnie nakładały się one na konflikty narodowościowe lub związane były z państwową polityką religijną (np. Kulturkampf w II Rzeszy, likwidacja Kościoła unickiego w Rosji).

Zachowując pewną paralelność do uwag o podziałach językowych trzeba tu wskazać, iż w związku z kolonialną ekspansją niektórych państw (narodów) europejskich pozostawało także rozprzestrzenianie się ich systemów wyznaniowych i już dla XIX w. trudno właściwie mówić o „religiach europejskich” w znaczeniu wyznań ogranicza-

¹⁹ Jeszcze w czasach najnowszych (1981 r.) na 9 państw należących politycznie do Zachodniej Europy w trzech (Hiszpanii, Irlandii i Włoszech) katolicyzm zadeklarowało 90% respondentów, w dwóch (Danii i W. Brytanii) 2/3 uznało się za protestantów, w RFN stosunek między tymi wyznaniem był jak 1:1 (J. Stöetzel, *Les valeurs du temps présent: une enquête européenne*, Paris 1983, s. 87 n.).

jących swój zasięg oddziaływania tylko do tego kontynentu. Pod względem zasięgu geograficznego najbardziej „europejską” religią jest prawosławie.

Gdyby spróbować nałożyć na siebie główne dominanty obu wskazanych wyżej podziałów, otrzymalibyśmy Europę *grosso modo* trójdzielną: na wschodzie słowiańsko-prawosławną; na północnym zachodzie i północnym centrum anglo-germańsko-protestancką; na południowym-zachodzie i południu romańsko-katolicką. Pierwszą z wymienionych części dzieliłby od pozostałych zmiennej szerokości pas nieromańskich katolików (germańskich, słowiańskich, języków enklawowych), niegermańskich protestantów (języki enklawowe, słowiańskie) i „wyspa” niesłowiańskich prawosławnych (Rumunia). Jeżeli więc wysunąć hipotezę, iż przynależność do jednej grupy (rodziny) językowej oraz przynależność do jednego obrządku chrześcijańskiego działają na siebie wzmacniająco, wyraźniejsze stałyby się warunki utrwalające wśród germańskich protestantów i romańskich katolików poczucie odrębności od słowiańskich prawosławnych, którzy znajdowali się za szerokim kordonem, w którym owe zbitki językowo-wyznaniowe nie występowały. Kontynuując tę hipotezę można by stwierdzić, iż owa „czwarta Europa” znajdowałaby się pod naciskiem alternatywnych inklinacji bądź to językowych, bądź wyznaniowych.

Pozostaje oczywiście kwestią otwartą, na ile tak wskazane podziały zachowały swą aktualność w warunkach zarówno laicyzacji jak i – przede wszystkim – ateizacji. Czy (a jeśli tak, to na ile i gdzie) stanowią one mogą w dalszym ciągu ważącą w społecznym odczuciu kulturową determinantę? Przecież nawet wówczas, gdy – jak w XIX w. – były one bez wątpienia znaczące, ich przekładnia np. na obszar geopolityki nie była bynajmniej automatyczna, choć polityczne uzasadnienia odwoływały się nieraz do zróżnicowań językowo-etnicznych czy wyznaniowych. No i wreszcie pytanie zasadnicze: Jaką siłą utrzymywały wspomniane podziały wobec zerwania po 1917 r. continuum ustrojowego? I za nim idące następne, tak często podnoszone nie tylko w propagandzie i publicystyce, ale także w refleksjach zachowujących rygor scjentyistycznej poprawności:

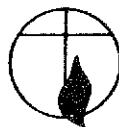
Czy istniejące podłoże etniczno-językowe lub wyznaniowe (lub oba naraz) wywarły – i jaki – wpływ na owo zerwanie?

Gdy roztrząsać zaczniemy pojęcie „Europa“, dojdziemy więc do wniosków – jak się wydaje raczej uprawnionych – iż w interesującym nas okresie: – pojęcie to ma trudne do sprecyzowania granice, chyba iż pozostaniemy w obrębie nomenklatury stricte geograficznej; – nie stanowi ono jednostki niepodzielnej. Obie te cechy w sposób oczywisty mają charakter historyczny i są zmienne: tak w czasie jak i w wymiarze „fizycznym“, przestrzennym oraz „rzeczowym“, który można by określić jako powstawanie (zanikanie, przekształcanie się) wyróżników granicznych i to zarówno granic wewnętrznych jak i zewnętrznych.

L'Europe – ses frontières et ses divisions

Analyser la notion d'„Europe“ en fonction de ses frontières extérieures et de ses divisions internes aux XIXe et XXe siècles, mène à la conclusion qu'outre une nomenclature strictement géographique, c'est une notion difficile à circonscrire pour n'être pas

une entité indivisible. Ces deux caractéristiques sont historiques et varient aussi bien dans le temps, dans l'espace que selon les „réalités“, au gré de l'évolution des frontières (disparition, transformation de tracé) tant extérieures qu'intérieures.



Jerzy Zagórski

Z Żoliborza na Syjon (III)

wtorek, 31 X 1978

Dygresja o melancholii

Skąd w kraju takiego słońca, że energią jego światła jest ogrzewana woda w łazience, skąd w krainie takich urozmaiceń, o których się nie śniło tym, co jej nie widzieli, mogła się zagnieździć także semicka melancholia? Dlaczego Beduin jest zadumany a Żyd zatroskany, skoro każdy na swój sposób uczynił tę ziemię sobie podległą? Jeżeli wtargnąwszy do środka Jerozolimy w czas powstania Żydów przeciw mandatariuszom angielskim, i pozostając tam przez lat kilkanaście, Transjordańczycy potrafili w meczecie Omara, czyli Domu na Skale, przebudować sklepienie ze złotą kopułą wymieniając z kruszącego się kamiennego na nie ulegające korozji i lżejsze, metalowe ze stopu cynku z aluminium; jeżeli Izrael ziemię z deficytem wody zamienił w taką, gdzie na całej przestrzeni, wraz z pustynną niegdyś Negew, dociera ta życiodajna substancja i wędrowny Beduin już nie szuka oazy, lecz... kranu, skąd ten także smutek?

Zrozumiałem to, gdy po paru gwałtownych ulewach przed kilku dniami, które były pierwszymi deszczami od wiosny, dzisiaj niebo się zaciągnęło jednolitą pokrywą chmur tak niskich, że zakrywają wyższe piętra hotelu Hilton. Stoickie cyprysy, pokrętnie oliwki, dramatyczne pinie, parasole palm i zygzakowate linie domów na wzgórzach czynią widok, zwłaszcza pod wieczór, pełny skupionego smętku. Tak mniej więcej będzie wyglądała Jerozolima zimą. A jak będzie wyglądała Judea nie pokryta zielenią, z bezmiarem górskich grzbietów garbatych jak wielbłądy i szarobrunatnych jak one? A pustka Doliny Józafata, ku której schodzący cmentarz co bogatszych dowodzi, że dbają z góry, żeby w kolejce na Sąd Ostateczny zająć miejsca

bliskie tronu Wyrokującego. A jeżeli On się umieści nie tam, gdzie Abraham zakupywał ziemię od Hetyty ani tam, gdzie Chrystus zostawił na kamieniu ślad swojej stopy przed Wniebowstąpieniem, a przecież nawet nie ufając nie należy wykluczyć, że miał coś wspólnego z Jehową? A jeżeli fantazja Wszechmocnego zechce tron ustawić na ruinie Herodium, fortecznego pałacu Heroda na ściętym stożku wygasłego wulkanu, górującym nad stadami gór? Droga bliższa czy dalsza będzie na tym odcinku bardzo uciążliwa dla pieszych, zagadkowa dla posiadaczy aut, którym może się zdarzyć zakłócenie pojeźdźcy o równowadze ziemskiej, jeżeli dostaną się na ten trzystumetrowy odcinek szosy, na którym koła pozbawione napędu toczą się nie w dół, lecz pod górę (sam to widziałem, sam sprawdziłem, sam tak jechałem i nie było to złudzenie optyczne, już raczej anomalia grawitacji, ale kto to wie, kto to wie, nie takie rzeczy zdarzały się w tej krainie...)? Zaiste Owego Dnia niż piechurom i pojazdom raźniej będzie osłom i wielbłądom.

czwartek; 2 XI 1978

Darowanemu koniowi nie patrzy się w zęby

W prezencie od Yad Vashem dostaliśmy dziewięciogodzinną wycieczkę do Galilei i nad Jezioro Tyberiadzkie. Ponieważ obejmuje to bądź co bądź Nazaret, Kanę, Tyberiadę, Magdagę, Kafarnaum, nie mówiąc, że po drodze w Samarii znajduje się Sychem między górami Garizim i Ebal, a kawał drogi tam i z powrotem ciągnie się nad doliną Jordanu; mniej więcej tamtędy, którą Jezus wracał z Jerozolimy do Nazaretu, a nie pominie się także Jerycha, Góry Kuszenia i niemal zawadzi o Morze Martwe, można sobie wyobrazić, że tydzień na to należałoby przeznaczyć, a na sam Nazaret 3 dni. Skoro jednak zafundowano nam opłaconą w dolarach jazdę wygodnym autobusem Eggd-tours z przewidzianym posiłkiem w kibucu, trudno się wyrzec. Przejazdówka ma trwać od 7.45 rano do 5 po południu.

O 6 jesteśmy na nogach. Ze względu na czas nie czekamy na śniadanie u siostr elżbietanek, lecz w pokoju – kto woli,

niech to nazwie całą – gotujemy grzanką z Jeleniej Góry, która o dziwo jeszcze działa, wodę na mocną herbatę z woreczków firmy Andrzej Wysocki w Jerozolimie, do tego zjemy trochę czarnych jędrnych cud winogron o wartości stężonej glukozy i po kawałku czekolady firmy Burger King z Chicago, która w kuponie załączonym do opakowania 85-gramowego batonu za jednego dolara obiecuje dostarczyć jako bonifikatę sandwicz, który przydałby się nam teraz, gdyby nie to, że po odbiór trzeba by lecieć do Chicago pod wskazany adres. Rezygnując więc z sandwicza jedziemy miejskim autobusem na zachodnią centralną stację (bo w Jerozolimie są dwie centralne stacje jako szczątkowy ślad podziału miasta przed wojną sześciodniową). Przybywamy tak wcześnie, że możemy poprawić zapas kalorii w organizmach jeszcze na dworcu w kawiarni świetną białą kawą i słodkimi bułeczkami, jakie przed wojną umieli wypiekać Żydzi tylko w Warszawie, Wilnie i Lwowie.

Jesteśmy w biurze Egged na czas. Okazuje się jednak, że możemy sobie jeszcze poczekać. Coś wygląda, że firma turystyczna zwleka, aż nastąpi skompletowanie się podróżników. Jakoż i następuje. I teraz najprzód 30 kilometrów po zawrotnych serpentynach w oszałamiającym pejzażu z Jerozolimy na wysokości Zakopanego do Jerycha w poważnej depresji. Z ostatniego zakrętu miga Martwe Morze o lustrze 400 metrów poniżej powierzchni oceanów. No, gdyby tak Morze Czerwone z zatoki Eilat znalazło drogę do przedarcia się przez Negew, byłaby w Sodomie druga Sodomia, Qumran mogłyby penetrować tylko batyskafy, Jordan przemieniony z kornego strumienia w Kongo ruszyłby w drugą stronę, na północ, jezioro Genezaret zabulgotałoby burzami powiększone kilkakrotnie i wody prąc na północ dalej tą geologiczną szczeliną odłupałyby Izrael wraz z Libanem od Transjordanii i Syrii, tworząc nową wyspę na prawach Cypru. Nie byłoby wtedy takich trudności w UNESCO z przydzieleniem Izraela do strefy europejskiej.

Gdzież marzenia nas poniosły! W świetle tego, co czytam w „Le Monde” i słyszę naokół, nowym błazeństwem dających nagrody Nobla było przyznanie pokojowej Sadatowi i Beginowi jak braciom z jednej jeżeli nie matki, to mamki. Nie mów hop, aż nie przeskoczysz!

Mogliśmy i my to powiedzieć, gdy gdzieś w drodze powrotnej na serpentynach między Samarią i Galileą zajeżdżała drogę autokarowi ciężarówka pełna drewna wychynąwszy z bocznej, także pokrętniej górskiej drogi. Autokar robił swoje przepisowe 90 kilometrów na godzinę, a tu masz bęc! Cudem nie było bęc. Nasz kierowca okazał się akrobatą. Z żółtego zrobił się purpurowy, ale machnął busem w lewo i zaraz w prawo. Nie mogąc stanąć wykierował, zamiast do rowu i w przepaść, dalej na dwutorową szosę. Kobiety (oprócz Maryny!) w krzyk, ale zaraz zmiłkły. Wtedy zawołałem: Brawo!, i cała załoga nagrodziła kierowcę oklaskami.

Dodam, że kilka dni potem w tych okolicach nastąpił w podobnym autokarze z turystami wybuch podrzuconej bomby. Zginęło 5 osób: dwu Żydów, dwóch Arabów i Belg. Rannych było około 50. Sprawa powszednia. Mógł zamachowiec na postoju wpakować do wozu pigułę. Ale kierowca przypomina sobie, że w pewnym momencie mijał wóz z drewnem na bocznej drodze. Jeżeli nie wykluczyć, że okno było otwarte, to wszystko możliwe. Nie jesteśmy w sferze dowodów, tylko podejrzeń. Lecz kto wie?

Ja tu o bzdurach, a już na początku wycieczki mijaliśmy Górę Kuszenia. Żeby ją tutaj umiejscowić sobie na którymś z wierzchołków kamienistej Judei panującym nad doliną Jerycho, tonącej w zieleni sadów, kwiecica, owoców i pól uprawnych, prosi wyobraźnia dzisiejsza, a musiała i dawna. Jerycho w okolicy najsurowszego z najsurowszych pejzaży jest wielką oazą życiodajną. Nie dziwne, że ślady pobytu ludzi sięgają tutaj 7000 lat przed naszą erą. Szatan pokazując ze spieczonego słońcem szczytu kwitnącą oazę mógł ulce złudzeniu, że skusi Chrystusa, zaś my możemy w kramach przy szosie zaopatrzyć się w owoce soczystsze i wonniejsze niż gdziekolwiek. Znawcy wśród cytrusowych wybierają najokazalsze pompele o skórcie szczególnie grubej, długo chroniącej przed schnięciem i o miąższu wyraźniej ziarnistym niż w grepsach, cytrynach i pomarańczach. Niestety archeologicznych wykopalisk nie zwiedzimy. Gdzież w takim pośpiechu!

Znów zawiruje głowa na karuzeli wirów w Samarii. Nie zdążę zidentyfikować na rozpościeranej mapie, czy mijam

Sychem pod szczytami Garizim i Ebal, czy Bet Szean pod szczytem Gilboa. Takich efektownych gór jest mnóstwo, więc prorocy mogli mieć nie lada kłopoty z tymi synami nomadów, którzy tam zanosili nieczyste modły i składali ofiary fałszywym bogom. Teraz też trudno być pewnym, jakiej liturgii wierni są przemierzający na osłach puste góry pasterze kóz, tych czarnych, które wszelką zieloność wydzierają do korzenia z kamienistego gruntu.

Czarne kozy na stromych zboczach, czarne kruki w zapadlinach, czarne krowy w bohatercko wydzieranych pustyni gospodarstwach rolno-hodowlanych nie są jedyne przerywnikami brunatnego kolorytu wśród suchych łupków gliniastych, ale są akcentem dostatecznie mocnym, by docenić, jak boryka się Izrael, by krok po kroku wydziełać pustce biologicznej przestrzeń na uprawę i hodowlę.

Gospodarka ta stoi przede wszystkim na irygacji przechwytyjącej zimową porą deszczowe opady w północnych rejonach i czerpiącej z rezerwuaru Jeziora Tyberiadzkiego (inaczej Genezaret albo Galilejskiego). Przy racjonalnej gospodarce wystarcza wody nie tylko na nawodnienie całego kraju razem z byłą pustynią, dziś uprawną ziemią Negew, ale nawet na system stawów rybnych i wzmocnionych strumieni z karpami, łososiami i pstrągami. Nie przeszkadza to, że w restauracji kibucowej po świetnej zupie marchwiowo-fasolowej, wybierając na drugie danie rybę, dostaliśmy... dorsza zapiekanego w cieście. Ci, którzy woleli mięso, kontentowali się kurą tak brojlerową, że nóż był całkiem niepotrzebny.

Wielki katolicki kościół Zwiastowania z ciemnym stożkowo spiętrzonego dachem, odbiegającym od kanonu klasycznej baniastej kopuły, stanowiący obudowę groty, w której anioł obwieścił Marii powołanie, wycieczka przebiegła w takim pośpiechu, że mogliśmy wysłuchać tylko fragmentu mszy na terenie odgrodzonym białymi sznurami od turystów i rzucić okiem na malowidła ściennie tej imponującej nowej świątyni. Zdobią kościół mianowicie symboliczne obrazy krajów chrześcijańskich, a ściślej katolickich. Polska znalazła się obok Brazylii. Zasadniczym akcentem polskiego fresku jest wyobrażenie Madonny Jasnogórskiej. Grotę, która była domem rodzicielskim Matki Boskiej

i znajduje się w niższych kondygnacjach budowli kościelnej, mogliśmy także zobaczyć, ale przynaglani przez rytm turystyczny.

Natomiast dłużej zatrzymał się autokar przy sklepie jubilerskim i z pamiątkami, „Nazareth Gallery“, gdzie 15% bonifikaty udziela się płacącym w obcej walucie. Wszystko tam opiewa w dolarach, nawet kawa w bufecie, ale przyjęli funty izraelskie w godziwym rozrachunku.

Kanę tośmy zobaczyli tylko z okien autokaru, ale w Kafarnaum, jako w punkcie docelowym, przynajmniej dano nam więcej czasu. Podziwialiśmy więc, czego tutaj od roku 1894 w zakresie wykopalisk i rekonstrukcji dokonali franciszkanie, którzy odkupili od Beduinów teren całkowicie zdewastowany. Więc dokonano pełnej identyfikacji domu rybaka Szymona, czyli świętego Piotra, w trzech zasadniczych nawarstwieniach: skromnego domostwa, z I wieku, o ścianach trzymetrowej wysokości, krytego trzciną z gliną; następnego nieco późniejszego, upiększonego świątynnie i rozbudowanego, czczonego przez wiernych Chrystusowi i Jego namiestnikom; wreszcie trzeciego, już z V wieku – bizantyjskiego kościoła ośmiokątnego dokładnie na tym miejscu i ze środkiem nawy dokładnie nad domem Piotra.

W toku także rekonstrukcja ze zbieranych szczątków okazałej synagogi w stylu greckim, w której nauczał Jezus. Archeologia dziś rozporządza takimi umiędnościami, że ostatnio dało się odbudować rybacki porcik dawnych mieszkańców miasta i zidentyfikować niektóre miejsca cudów. Prace nabierają rozmachu, a wspomaga bractwów rząd włoski. Wśród innych ojców i braci zakonnych pracuje tam swojsko dla nas mieniący się Stanisław Loffreda, którego pióra 88-stronicowa książeczka stanowi zwięzłe a niezastąpione źródło informacyjne.

Cóż jeszcze dodać? Dowiedzieliśmy się o takiej osobliwości, że merem Nazaretu jest w jednej osobie: Arab, katolik i komunista, zaś do przyjemności podróżników należał piękny kawałek drogi tuż nad brzegiem Jeziora Tyberiadzkiego, gładkiego jak lustro, gdyśmy dążyli do celu, i bardzo delikatnie sfaldowanego, gdyśmy wracali z powrotem przez Magdalę, Tyberiadę i Hamat – miasto forteczne plemienia Naftalego. Zahaczyliśmy nawet o Jordan płynący głębokim

zazielenionym jarem o stromych skarpach. A gdy nad jeziorem naprzeciw wysepki z palmami zatrzymał się autokar, nie wytrzymałem i 1 listopada wykopałem się przepłynąwszy kawałek głębią przy, czy ja wiem, 22. czy 25. stopniach ciepła w wodzie.

A jednak nie! Tak nie powinno się na chybcika, „po amerykańsku“, pożerać wrażeń przekształcających się z pątnicznych w turystyczne „zaliczanie“ obiektów w trzaskach fotograficznych i filmowych aparatów.

Uroczystość i Chagall

wtorek, 7 XI 1978

Mauzoleum uśmierconych w obozach zagłady wygląda tak w środku: na podłodze wielkiego prostokąta wkopanego w grunt widnieją wielkimi literami w dwóch alfabetach, hebrajskim i łacińskim, nazwy obozów przeznaczonych w czasie II wojny światowej na miejsca masowego uśmiercania. Pod tą kamienną podłogą są pozbierane na miejscach zagłady, czyli Holocaustu, garście ziemi z prochem spalonych. W głębi prostokąta jest płyta z metalowym wieńcem, na którym składa się kwiaty. Za płytą wąski podest ze zniczem. Ściany Mauzoleum są z dużych jak głowy ludzkie kamiennych okrągłaków. Symbolizują ludzi wymordowanych. Na wysokości gruntu galeria, lecz nie półkolem, a dwoma bokami prostokąta. Całość nakryta ciężkim ciemnym sklepieniem. Półmrok. Światło płynie z wąskiej szczeliny między ścianami i sklepieniem.

Na podest, a właściwie chodnik ze zniczem zeszliśmy z galerii po kilku schodach. Z nami Tamara i Wacek, jakby rodzice chrzestni, także kantor, recytator orzeczenia, nominatorzy, przewodnicy i jakieś dziecko, które w czasie uroczystości rozplakało się. Uroczystość polegała na podsyceniu przez nas znicza, wysłuchaniu formuły zaliczającej nas do Sprawiedliwych wśród Narodów Świata, odśpiewaniu przez kantora Psalmu wzywającego Boskiego gniewu na morderców. Na galerii było pełno, zwłaszcza młodzieży, ale nie brakowało także starszych, wśród których proszeni przez nas Wygodzcy i ściągnięci przez Tamarę i Ikę goście

z polskiego teatru londyńskiego, który grał właśnie na gościnnych występach sztukę Tamary o Zapolskiej.

Po wyjściu z Mauzoleum Samuel Krakowski, Abraham Wein (Wajn), Vera Proschwitz i Nina Jancu poprowadzili nas z kilkunastoosobową gromadką Aleją Sprawiedliwych mijając replikę pomnika Ofiar Getta w Warszawie do miejsca, gdzie już czekało na zasadzenie chlebowe drzewko (inaczej: drzewko chleba świętojańskiego) i była wbita tablica z naszymi imionami i nazwiskiem. Po drodze minęliśmy drzewo Władysława Bartoszewskiego i Marii Kann w imieniu organizacji „Żegota” i dobrze widoczne Wacka. Głębiej poszperawszy wzrokiem w rzędach drzewek można by dostrzec także oddzielne osobiste Bartoszewskiego.

Gdyśmy przystąpili do zasadzania naszego, to znaczący wspólnego z Maryną drzewka, i wzięwszy pęd ze szkółki w ręce włożyli do przygotowanego dołu oraz motykami nagarnęli brunatnoceglastej ziemi i polali wodą z pełnego wiadra, przyłożyli się do motyk także nam towarzyszący, przede wszystkim Wacek i ze szczególną troskliwością Tamara. Nie obeszło się bez fotografowania, a ja także parę razy pstryknąłem. Jeżeli drzewko dobrze się przyjmie, to spod niego będzie bardzo piękny widok na górzystą zazielenioną przestrzeń. Ale już jest poza główną aleją. Las tych drzewek się rozrasta, sadziliśmy przy bocznej ścieżce.

Ile jest już tych drzewek? Podobno uprawnionych do ich posadzenia jest około 2000 osób, rodzin i w szczególnych wyjątkowych wypadkach organizacji, w tym ponad 500 Polaków, prawie tyluż Holendrów, druga połowa rozkłada się na wszystkie pozostałe narody goim. Ale nie wszyscy uprawnieni już posadzili swoje. Są trudności z ich odszukaniem, czasem nie żyją, czasem podczas wojny nosili inne nazwiska, czasem nie mogli dotychczas przyjechać z przyczyn paszportowych, wizowych i pieniężnych. Dokumentacja mówi np. o pokażnej liczbie Ukraińców, którym nawet nie udało się wręczyć medali i dyplomów, co należy do fazy wstępnej obrzędu. Dodajmy, że świadkowie muszą jeszcze żyć, a wśród uratowanych trzeba żeby znaleźli się tacy, którzy wystąpią z wnioskiem i wiedzą do kogo. Na liście przy planiku zasadzonych drzewek, nie wiem czy aktualnej, czy jeszcze nie zaktualizowanej, naliczyłem 316 drzewek,

w tym 81 polskich, co odpowiadałoby także proporcji około ćwierci.

Dzień był słoneczny, słońce grzało, ale znośnie, toć już był 6 listopada. Po zasadzeniu drzewka zawrócono nas do Instytutu i tam w gronie osób z Yad Vashem i przez nas zaproszonych Wein przy obrzędowym soku owocowym z grepsów lub pomarańcz odczytał uroczyste po polsku orzeczenie o przyznaniu nam tytułu Sprawiedliwych pośród Narodów Świata na wniosek Lidii Kottowej, zaświadczej uratowanie oprócz niej licznych innych poprzez przechowywanie z narażeniem życia własnym i własnych dzieci. Wręczono nam wykaligrafowane zaświadczenie na takim samym papierze jak dyplom otrzymany w marcu w Warszawie przy medalu i dano nam głos.

Maryna krótko mówiła o przysługach Lidki w pielęgnowaniu chorego Włodka, ja zaś, że przecież nie uczyniliśmy nic nadzwyczajnego, lecz spełnialiśmy zwyczajny ludzki obowiązek i to nie my powinniśmy być honorowani, lecz raczej zganieni tacy, którzy prostego obowiązku zaniedbali. Jeżeli jednak działaliśmy i to nie my jedni, lecz podobni do nas i to bardzo liczni, to z następujących, przynajmniej w naszym wypadku, impulsów:

Po pierwsze jako Polacy walczący w sposób zorganizowany z hitlerowcami, a więc także z tym ich konkretnym działaniem ludobójczym, które poczynając od Żydów i Cyganów miało w perspektywie całkowite lub częściowe wytrzebienie także innych narodów, wśród nich polskiego.

Po drugie (tu powołałem się na Weina, który mówił o jednakowym odbiciu Boga w twarzach różnych narodów) jako humaniści, a w szczególności literaci, którzy może stosunkowo wydatniej niż przedstawiciele innych zawodów czynem lub tylko słowem działali w tej sprawie.

Po trzecie jako wierzący chrześcijanie katolicy, z nakazu własnej religii, którzy uważają Nowy Testament za wyrosły na gruncie Starego Testamentu.

Po czwarte pozwoliłem sobie dodać o swojej rodzinie, że mego brata już przede mną zaliczono do grona Sprawiedliwych, czego nie doczekają się jako zmarli, lecz muszę o nich wspomnieć: moją matkę ciągnano do Gestapo za ukrywanie Żydówki oraz stryjeczny dziadek, adwokat Ignacy, został

zamordowany na Ponarach w Wilnie razem z Żydami za przechowywanie ich i ich mienia w jego folwarku, Lipówce.

Jeszcze została chwila czasu na rozmowę z generałem Aradem, który przyjął nas i Wacków w swoim gabinecie, i kompania polskich gości umówiła się na obiad koszerne w mieście. Wygodzcy powieźli na umówione miejsce zawadzając o Centrum Medyczne Hadassah, w obrębie którego jest synagoga z witrażami Chagalla. W tym wielkim szpitalu jest oczywiście także klinika położnicza. Przy jej murze chasyd oczekujący na poród żony widząc trzy damy, bo była z nami Lola Kitajewicz grająca rolę Gabrieli w sztuce Tamary, odwrócił twarz od obcych niewiast, jak nakazuje Zakon.

Słynne witraże wysoko pod sklepieniem dużej synagogi tworzą czworobok przedstawiający po trzy pokolenia z każdej strony. W zasadzie Zakon nie godzi się na wizerunki ludzi i zwierząt. Choć zniekształcone i sprowadzone do symbolów, nie dały się przecie wyrugować z wyobraźni. Gra kolorów jest symboliczna. Przy Judzie dominuje płomienna czerwień. Przy Józefie i Beniaminie, synach ukochanej, słoneczna żółtość. Przy innych znów błękit w różnej gamie.

Przy wejściu do synagogi wielki napis zabrania robić zdjęcia fotograficzne i filmować. Ale wchodzi bezczelna, dość leciwa banda i zaczyna się pstrykanina, także z fleszami. To Amerykanie (mniejsza czy Żydzi amerykańscy, czy inni turyści) zachowują się tak, że przychodzi na pamięć, jak Słonimski odparł Siemionowowi na zapytanie, gdzie można się wysuszać w czasie obrad w pałacu poprymasowskim. Mianowicie powiedział: *Wam wszędzie!* Siemionow miał poczucie humoru. Ci Amerykanie ani odrobiny. Nawet nie pytają, tylko zachowują się na zasadzie – im wszędzie wolno. Na szczęście tylko pstrykać i ćwierkać.

sobota, 11 XI 1978

Sześćdziesięciolecie i Łazarz

*Rozdarła geografiją
Plemię podnosi głowę,
Gdzie woda rzek zatruta,
Od dymów niebo płowe,*

*Nad okop ust zaciętych
Wychyla kulom czoło
I śpij kolego w grobie
Pod płytkiej darni połą.*

*Gdzie Syjon i Ararat
Przykładem i przestroga,
Zna synonimy wiara,
Zuchwalstwo zwarte z trwogą.*

*Gdzie krew rymsztoki święci,
A górą szumowina
Osad smogowy kładzie
I kłonom dech odcina,*

*Tam serca nie zatrzasnąć
Na trąb ostatnich granie:
Nie stracić lic odbitych
W Araksie i Jordanie.*

Ojciec Obuchowski rano przed śniadaniem odprawił w kaplicy Dómu Polskiego mszę z kazaniem do sióstr, żeby uczcić rocznicę odzyskania niepodległości, potem na tarasie opowiedziałem, że uprzedzając obchody w Polsce, na pewno huczne z documowywaniem się komu trzeba i komu nie trzeba do tradycji, PEN [CLUB] już wczoraj poświęcił temu zebranie z trójreferatem Kieniewiczza, Woźniakowskiego i Gieysztora. Zauważyliśmy, że data 11 listopada, jak zwykle daty historyczne, jest raczej umowna. Wprawdzie Piłsudski dnia tego przybył do Warszawy, ale już poprzedniego dnia młodzież szkolna i dzieci rozbrajały Niemców, tak że PEN utrafił bardziej w sedno, choć zamiarem było tylko niekolidowanie z kazaniem Prymasa w Katedrze.

Tymczasem tak się złożyło, że właśnie tego dnia zaprosiliśmy na obiad Wygodzkich i przegadaliśmy kilka godzin ze współczesnym Łazarzem. Ponieważ grób Łazarza w Betanii mam już „zaliczony” i zaglądałem do przepastnych piwnic pod zrębami świątyni, które nad nim narosły, by z kolei dźwignął się nad nimi meczet z XVI wieku, więc zweryfikowałem sobie apokryf mówiący, że Łazarz po wskrzeszeniu

bynajmniej nie był szczęśliwy, a tym bardziej zadowolony z przywróconego życia. Unikając ludzi chadzał między groby. Więc Łazarz byłby czymś w rodzaju negatywu Hioba, któremu zostało przywrócone szczęście wraz z bogactwem, nową żoną i nowymi dziećmi.

Irena, druga żona Wygodzkiego, towarzysząca mu od trzydziestu kilku lat, wzięła na barki ciężki krzyż. Chciała, by zapomniał. On nigdy nie zapomni tego wagonu w drodze do Oświęcimia, w którym zażyli truciznę z żoną i czteroletnią córką. Dawka, wystarczająca dla kobiety i dziecka, okazała się za słaba na jego mocny organizm. Zbudził się od fizycznego bólu przy nakłuwaniu przez esesmanów numeru oświęcimskiego. Żony nigdy nie zobaczył, już wyniesiono z wagonu ciało. Córeczkę miał przez chwilę na rękach martwą.

Kto nigdy nie był pędzony pod konwojem, może nie wiedzieć, że przychodzą stany bezwoli. Dobrze gdy się z nich ockniesz w momencie sprzyjającym do wyrwania się lub uderzenia na straż. W stanie półzatrucia taki moment się nie zdarzy. Córeczkę ponieśli do gazu. Kto mu teraz wytłumaczy, że były to na pewno tylko zwłoki, a nie życie tłące się w letargu?

Choć piękna dziewczyna poświęciła się, żeby mu przywrócić miejsce wśród żywych, już nigdy nie zapomni tamtego dnia. Dwoje dzieci z nowego małżeństwa, już teraz dorosłych, nigdy nie zatarło w nim tamtego wstrząsu i był dla nich tak obcy, jak one dla niego. Nowa córka i nowy syn poszli własną drogą doświadczeń, czynów, dążeń, rozczarowań i niedopełnień. I nie jest najważniejsze, choć zapewne pogłębia gorycz, że w krótkim czasie po wojnie szesnastolatka opuściła Polskę w rozterce, natomiast w realizacji stałego od kilku lat pragnienia Ireny. Wyraźnie w Izraelu nie zaaklimatyzował się psychicznie i moralnie. Żyje Polską w pięknych wierszach i w chwytaniu wieści, ale w Polsce także by się już nie czuł dobrze. Bo wszystko byłoby tylko deklamacją, daremnym przesłanianiem w pamięci tamtego strasznego dnia.

Hiob musiał być szaleńczym wielbicielem Boga, by z wdzięcznością przyjąć Jego dary po tym, jak został poddany doświadczeniu. Wygodzki jest człowiekiem, z którego

wypruto rację nie wypruwając poezji. Poezją służy, ale cóż ona może zagłuszyć w nim samym? Największe na mnie wywarł wrażenie jego wiersz o herbacie, którą chciałby wypić i ma wszystko: ogień, wodę, esencję; tylko wyciągnąć rękę, ale nie ma... rąk. Niech mi teraz żaden błazen w kraju nie bredzi, że Wygodzkiego załamuje brak rodzinnego dłań polskiego krajobrazu. Oczywiście może na ten temat pisać sentymentalne wiersze w stylu Jesienina, Cwietajewej czy nawet polskich wielkich romantyków. Prawdę najistotniejszą zawarł w tym wierszu o herbacie.

Niech mi także nie bredzą izraelscy patrioci, że on dlatego źle się przystosowuje, bo do niego nie może mieć społeczeństwo izraelskie dobrego stosunku za to, że za długo służył fałszywym bogom. Nie rozumieją ideowości płaconej więzieniem przez dobrze sytuowanego młodzieńca szukającego choćby złudnych dróg do sprawiedliwości społecznej. Ja to wiem, bo miałem takich kolegów ze środowiska „Żagarów” i jakże pogmatwały się losy, gdy przyszło realizować zarysowane za młodu projekty społeczne. Także wiem, że komunizm młodego Wygodzkiego miał dłań większą niż dla mnie siłę uwodzącą, bo choć jest moim rówieśnikiem, nie oglądał w dzieciństwie rewolucji w jej gnieździe i twarzą w twarz.

Państwo Izrael chce pokoju. Państwo Izrael jest zmęczone trwałym stanem wojny, względnie pogotowia wojennego, od swego wskrzeszenia przed trzydziestu latami. Ale Żydzi w państwie Izrael znajdują ciągłą podniecie w determinacji przy budowaniu życia od podstaw. I wielu z nich patrzy na Wygodzkiego, jak ja przy grobie Łazarza spojrzałem na osiołka, którego częstowałem mandarynką w przypuszczeniu, że będzie mu w smak ten owoc. Ale osioł powąchawszy odwrócił się tyłem i wyjaśnił tym całą sytuację. Woli suchą trawę; słomę, a nawet kłujący oset.

Stanisław pokornie zrobił wszystko, żeby się przystosować. Nawet w późnym wieku opanował alfabet hebrajski, z czego jeszcze nie wynika układanie płynnych zdań. Proszę sobie teraz wyobrazić życie Ireny, która od dzieciństwa marzyła o tej właśnie ojczyźnie, skorzystała z argumentów, jakich dostarczył rok 1968, by przełamać zator psychologiczny męża podobny do dietetycznego sprzeciwu, jaki okazał osioł w stosunku do mandarynki, i w kraju potomków

Jakuba staęła mocno na nogach, utrzymując dom uczciwą twardą pracą kosmetyczki. Co dzieje się w jej sercu, nikt się nie dowie z twarzy zawsze okraszonej pogodnym uśmiechem. Paple już po hebrajsku z równą swobodą jak po polsku. Tylko że w odróżnieniu od Stanisława w żaden sposób nie może się nauczyć liter. Jest więc hebrajską... analfabetką.

A co do Stanisława nie pomyliłem się. Pisząc o mnie artykuł do tutejszej polskiej prasy („Nowiny Kurier“) wybrał jako cytate wiersz „Pogrzebani żywcem“.



Pytania bez odpowiedzi

Kazimierz Dziewanowski

Hiszpańska zagadka

Każdy w Polsce wie, że Kisiel jest publicystą, który zwykł prowadzić do ostatecznych konsekwencji to, o czym inni zaledwie ośmielają się zająknąć albo li tylko pomyśleć. Dlatego zdumiałem się sam, gdy uświadomiłem sobie, że oto zamierzam poprowadzić dalej coś, co Kisiel dopiero zaczął.

Sprawa, którą Kisiel zaczął, a ja chcę poprowadzić dalej, dotyczy gen. Franco. Zajmowanie się gen. Franco jest zajęciem trudnym i dwuznacznym. Z jednej strony nie grozi wprowadzić zbyt dotkliwymi konsekwencjami, bo choć mamy do czynienia z dyktatorem, to jednak przecież z martwym. Z drugiej strony samo pojęcie „Franco” jest tak obciążone uartymi i skamieniałymi naroślami, że sprawa wrażeń rafy koralowej, o którą łatwo się poranić. Słowo „Franco” jest dla wielu czymś tak zastygłym i skamieniałym, że każda próba już nie tyle poruszenia tego głazu, ile choćby tylko spojrzenia nań w inny sposób i pod innym kątem budzi niektórych z ciepłej drzemki i natychmiast staje się dla nich niewygodna, a co za tym idzie – oburzająca. A to właśnie, takie inne spojrzenie, zaproponował Kisiel. Uczynił to w „Tygodniku Powszechnym” w felietonie pt. „Nie pisać na wiatr – hiszpański!” (nr 26 z 1987 r.). Pozwólę sobie zacytować dwa fragmenty tego tekstu. Fragment pierwszy: *Pisałem o tej sprawie parokroć, atakowano mnie nieraz, ostatnio pewna Czytelniczka ze Śląska w ciekawym liście kwestionuje moją polityczną ocenę całokształtu działań generała Franco na przestrzeni lat czterdziestych, jako że był to terrorysta, faszysta, reakcjonista, sojusznik Hitlera itd. Był, nie przeczę, ale w sumie wyszło inaczej. Bowiem „Bóg pisze prosto na liniach krzywych”, a także nosi w sobie wiadomym kierunku wystrzelone przez człowieka kule. Pasjonuje mnie ta przewrotność i demoniczna podwójność historii...* Fragment drugi: *Hitler trzęsąc się z wściekłości wsiadał do pociągu po wielogodzinnej bezcelowej*

rozmowie. „Już nigdy w życiu nie będę rozmawiał z tym Arabem!” – miał powiedzieć do Goebbelsa.

Franco zatopił Hiszpanię we krwi w wojnie domowej, lecz uratował ją od niewyobrażalnych klęsk, jakie ponieść mogła w wojnie światowej. Franco był sojusznikiem Mussoliniego i Hitlera, ale do Osi nie przystąpił. Franco w końcu uratował swój kraj przed osamotnieniem, nędzą i hańbą. Był dla Hiszpanów wielkim politykiem, a że był też, jak ktoś zechce przypomnieć, wielkim cynikiem, oprawcą i terrorystą? Ano, tak się dzieje w historii od czasów Cezara, Aleksandra Wielkiego czy Napoleona, zaś miarą jest tu wyłącznie sukces lub klęska. Jak zatem widać, wielki jest, niestety, udział szatana w ludzkich dziejach...

Otóż to. Kisiel, który – jak przystało prawdziwemu znawcy polityki i historii – znakomicie orientuje się zarówno w planach niebiańskich, jak i w poczynaniach piekła, znowu poruszył temat niezmiernie ciekawy i uczynił to jak zwykle w sposób, który zbulwersuje niejednego. U nas bowiem czarne zwykle jest czarniejsze od nocy, a białe bielsze od śniegu. Tymczasem w rzeczywistości i w prawdziwej przyrodzie taka kontrastowa kolorystyka trafia się rzadko, a Kisiel doskonale to rozumie i chwala mu za to.

Chciałbym uzupełnić to, co Kisiel zaczął, dalszymi uwagami, bo wydają mi się ważne. Myślę, iż warto dla pożytku naszej wiedzy o zawłości czasów, w jakich przyszło nam żyć, przyjrzeć się bliżej wieloznacznemu zjawisku, jakim był gen. Francisco Franco Bahamonde, człowiek, który stał się światowym symbolem przemocy, okrucieństwa, represji, lecz który jednocześnie posterował swoim krajem w kierunku bardzo odległym od tego, z czym go kojarzono i czego stał się symbolem. Nie jest łatwo się w tym zorientować, było to bowiem zjawisko tak pokrętne i tajemnicze, że nie wydaje mi się, aby nauka historii zdołała je już do końca rozszyfrować. Nie udało się jej to na Zachodzie, a tym bardziej na Wschodzie.

W 1986 r. ukazało się pierwsze, a w następnym roku drugie ulepszone i poszerzone wydanie książki¹, która

¹ Reinhard Spitz, *So haben wir das Reich verspielt*, Langen Müller, München - Wien 1987. Przytoczone dalej cytaty z korespondencji pochodzą ze s. 490 i n.

zawiera ciekawy przyczynek do tematu poruszonego przez Kisiciela. Autor książki, Reinhard Spitz, był sekretarzem Ribbentropa, członkiem SS, jednym ze starych bojowników partii hitlerowskiej w Austrii (jeszcze przed Anshlussem i dojściem Hitlera do władzy). Przez długi czas, jak sam o tym pisze, oddany Führerowi na śmierć i życie. Poróżnił się jednak ze swym szefem, Ribbentropem, którego politykę zagraniczną, zwłaszcza w stosunku do W. Brytanii, oceniał jako katastrofalną dla Niemiec. Konflikt stał się tak poważny, że Spitz wystąpił w 1939 r. ze służby dyplomatycznej i przeszedł do działalności w prywatnym przemyśle, a jako stary i zaufany bojownik zdołał uniknąć zemsty Ribbentropa. W czasie wojny znalazł się w Hiszpanii, gdzie wykonywał różne misje na rzecz niemieckiego przemysłu zbrojeniowego, a także – po cichu – na rzecz wywiadu SS i szefa tego wywiadu, słynnego Waltera Schellenberga. Utrzymywał także kontakt z różnymi ludźmi w Niemczech, a zwłaszcza ze swym przyjacielem, Walterem Hewelem, który był stałym przedstawicielem ministerstwa spraw zagranicznych przy Głównej Kwaterze Führera i zaufanym człowiekiem zarówno Hitlera jak i Ribbentropa. W przytoczonej w książce korespondencji między Spitzem a Hewelem zawarte są ciekawe uwagi na temat poruszony przez Kisiciela. Jest w tych listach nawet pewna polemika. Otóż Hewel przedstawiał taką ocenę gen. Franco, jaka panowała w Głównej Kwaterze i pochodziła wprost od Hitlera. Natomiast Spitz, czując się bezpieczny dzięki oddaleniu, a także mając zaufanie do Hewela i pragnąc, aby ten wpłynął na Hitlera, próbuje przedstawić inną ocenę sytuacji i polityki Franco.

W dniu 1 lutego 1944 r. Walter Hewel pisał z Kwatery Głównej do Spitzego w Madrycie: *Długo rozmawiałem z Führerem o tobie. Wiesz, jak On cię lubi /.../ Pytał mnie też o twoje obserwacje z Hiszpanii /.../ Niejednokrotnie pisałeś mi i słyszałem to również od innych, że wy, tam, widziecie w caudillo wielkiego człowieka, który po mistrzowsku umie wylawirować swój kraj w tych ciężkich latach. Ale trzeba sobie postawić pytanie, dokąd on tak lawiruje. Trzeba mu przyznać, że dotąd potrafił w najtrudniejszych okolicznościach zachować pokój dla swego kraju, a nawet osiągnąć pewną konsolidację gospodarki. Opłacił to wielu małymi*

ustępstwami na rzecz aliantów, ustępstwami natury gospodarczej, ale przede wszystkim politycznej. Należy jednak również dostrzec, że w ten sposób dostaje się on coraz bardziej w ich ręce. Moim zdaniem działa on zgodnie z mieszczańską zasadą „mniejszego zła” i w ten właśnie sposób, również po mieszczańsku, zmierza w stronę ostatecznej zagłady – o ile nie znajdzie jeszcze w sobie w ostatniej chwili dość siły, aby przełożyć ster. Ale wątpię w to, bo Franco, właśnie z powodu wspomnianych ustępstw, otoczył się ludźmi, którzy są posłuszni tamtym i z którymi nie będzie on już w stanie przywrócić zdecydowanego kursu /.../ Franco nie może przecież wierzyć, że pod naciskiem okoliczności i na korzyść swego kraju zdoła dokonać przejścia na stronę aliantów. Wykorzystają go tylko, aby potem obalić i zniszczyć dzieło jego życia, które kosztowało tyle hiszpańskiej krwi. Nie po to czerwone hiszpańskie dywizje stoją już w północnej Afryce, aby wspierać państwo narodowe i pozycję gen. Franco. Gdy Hiszpanie osłabną, cały kraj pogrzeży się w chaosie, bolszewizm znowu stanie się panem sytuacji i zemści się krwawo na swych przeciwnikach. Nigdy nie zapomnę – pisał dalej Hewel – jakie to na mnie zrobiło wrażenie, gdy późną jesienią 1943², kiedy to korzystając z całkiem nieprzekonujących uzasadnień Franco nie zgodził się na przygotowywaną (wspólną) akcję, Führer powiedział: „Ten człowiek przegapił historyczny moment, który mu ofiarował Los. Nie będzie już nigdy mógł tego naprawić”. Dalej Hewel pisał, że Franco domagał się od Trzeciej Rzeszy wielkich dostaw surowców i broni, lecz że to było tylko pretekstem, aby wykręcić się od współdziałania. Tylko w dziedzinie paliw płynnych – pisał – domagali się od nas 103 tys. ton miesięcznie, a tymczasem w roku 1942 dostali od aliantów miesięcznie 15 tys. a w roku 1943 – 23 tys. Domagali się zatem od nas, swoich przyjaciół, pięć razy większej zapłaty za przyjaźń, niż potem przyjęli od aliantów. To wskazuje, że Hiszpania, choć mogła – nie chciała działać.

Takie nastroje panowały w Głównej Kwaterze Hitlera, gdzie uważano Franco właściwie za zdrajcę. Ciekawa jest odpowiedź Reinharda Spitzky'ego, który podjął z Hewelem

² Przypuszczalnie jest to pomyłka. Prawdopodobnie chodziło o jesień 1942 r., gdy po lądowaniu aliantów w Afryce Hitler chciał skłonić Franco do udziału w ataku na Gibraltar.

ostrożną, ale wyraźną polemikę. W dniu 23 lutego 1944 r. pisał z Madrytu do Hewela: *Na razie w Algierze są wprawdzie komuniści, nawet Rosjanie, jest agitacja i propaganda, ale wbrew zbyt pośpiesznym meldunkom nie ma żadnej Armii Czerwonej ani czerwonych dywizji hiszpańskich. Dywizje francuskie, które znajdują się w Afryce północnej i które w razie inwazji być może wystąpią przeciwko nam, walczą na razie pod Tricolore i Krzyżem Lotaryńskim, a nie pod sierpem i młotem /.../ Twoje wywody w dziedzinie gospodarczej interesują mnie szczególnie. Przyznaję, że porównanie liczb przewidywanego przez Hiszpanów zapotrzebowania na benzynę oraz tych ilości, z jakimi dali sobie w następnych latach radę, rzeczywiście jest zaskakujące. Ale czy to oznacza zamiary zdradzieckie? W latach 1940–44 Hiszpania mogła sobie poradzić mniejszą ilością benzyny, niż gdyby prowadziła wojnę. Pokojowa odbudowa gospodarki przyniosła Hiszpanii ulgę również w dziedzinie energii, do czego w razie wojny nigdy by nie doszło. W tym czasie produkcja węgla wzrosła z 7 do 11 mln ton rocznie. Liczba samochodów na gaz drzewny skoczyła od zera do 70–80 tys. Zbudowano lub odbudowano 1000 km linii kolejowych. Żegluga przybrzeżna wokół półwyspu powiększyła swoją flotę o 50%, a przewozy wzrosły jeszcze bardziej. Ma to zasadnicze znaczenie, ale w razie wojny – i to przeciwko mocarstwu przeważającemu na morzu – ta żegluga przestałaby funkcjonować. Dalej pisał o gen. Franco: *Może nie jest on wielkim mężem stanu, a z pewnością nie jest geniuszem, ale na razie prowadzi swój kraj przez trudności lepiej niż hiszpańscy królowie ostatnich stu lat /.../ Wrażenia zbierane w całym kraju wskazują, że /.../ jeśli Franco prowadzi prawdziwie hiszpańską politykę, wtedy właściwie nie musi się obawiać opozycji.**

Lepiej, niż królowie – do tego sformułowania jeszcze powrócimy. Pozwoliłem sobie na te długie cytaty, ponieważ sądzę, że właśnie to podwójne oświecenie ze strony niemieckiej jest wyjątkowo pouczające i wiele wnosi do tematu, o którym mówimy. Kiedy dziś czytamy tę korespondencję między obu panami z NSDAP, trudno nie zwrócić uwagi na dotkliwą ironię, jaką się wobec nich popisała historia. Ten, o którym pisali, że nie jest wielkim mężem stanu, a już na pewno nie jest geniuszem, żył jeszcze – i kierował swym krajem – przez 30 następnych lat, wprowadził Hiszpanów

z powrotem w szeregi narodów europejskich, a Hiszpanię skierował na drogę przyspieszonego i wszechstronnego rozwoju. Natomiast ten, o którego wielkości i geniuszu obaj nie wątpili, zakończył karierę i życie już po roku i dwóch miesiącach od tej chwili, a wokół niego płonął wtedy i walił się w gruzy w bezsensownej, spowodowanej przez niego katastrofie kraj, któremu tak „genialnie” przewodził.

Oto pierwszy przyczynek, który chciałem wnieść do tematu poruszonego przez Kisiela.

Ale jest jeszcze druga sprawa, której Kisiel nie poruszył, a która jest, jak mi się wydaje, ważniejsza, bardziej skomplikowana i o wiele bardziej tajemnicza niż to, co się wydarzyło w latach 1940–44. Są to dalsze, powojenne losy dyktatury frankistowskiej w Hiszpanii i fakt, że Franco jest jedynym chyba znanym przykładem współczesnego dyktatora, który własnoręcznie swą dyktaturę zdemontował.

Tak to wygląda i to jest w dziejach Franco sprawą najbardziej tajemniczą. Hitler nazwał go – jak wiemy – *Arabem*. W innej wersji powiedział, że wolałby rwać ząb niż jeszcze raz rozmawiać z generałem. W rzeczywistości kompletnie nie zorientował się, z kim ma do czynienia: z podstępny, po hiszpańsku skrytym, niebywale chytrym człowiekiem, który nie zwierzał się nikomu ze swych myśli i podążał w sobie tylko znanym kierunku. W stosunkach z gen. Franco przeliczyli się właściwie wszyscy – poczynając (tak się powszechnie uważa, choć brak na to dowodów) od kolegi dyktatora, pierwszego przywódcy rebelii – gen. Moli, który zginął w zagadkowych okolicznościach, a władzę przejął Franco. Przeliczył się też, jak wiemy, Hitler. Przeliczyli się falangiści, którzy zrazu mieli pełne powody uważać, że to oni będą głównymi beneficjentami rebelii i jej zwycięstwa, ale tak się nie stało. Z uwagi na swoich niemieckich i włoskich sojuszników, nie wiedząc jeszcze jak się potoczą wypadki w Europie, a także dlatego, że nie można było obejść się całkiem bez ideologii – Franco konsekrował Falangę hiszpańską jako swój ruch i swoje zaplecze, ale w rzeczywistości bardzo szybko odsunął ją na margines; najpierw zmienił jej charakter roztapiając w ruchu szerszym i mniej skrytalizowanym, potem coraz bardziej ogranicza-

jąc wpływy tego ruchu. Zaczęło to być z wolna widoczne już przed 1945 r., to znaczy przed ostatecznym upadkiem sojuszników generała (stąd niejasne wzmianki w liście Hewela). Po ich upadku stało się to całkiem oczywiste i powodowało rosnące rozgoryczenie, a nawet wściekłość falangistów, którzy zostali sprowadzeni do roli zgromadzenia kombatantów używanego przy rocznicach i uroczystościach.

Władza gen. Franco bardzo prędko stała się władzą czysto osobistą, do której sprawowania Falanga nie była potrzebna, a wkrótce, po 1945 r. – stała się niewygodna i zbyteczna. Ale świat nie od razu się w tym zorientował. Wiedzano powszechnie, że państwo frankistowskie jest ostatnim pozostałym przy życiu państwem faszystowskim kierowanym przez osobistego przyjaciela największych wrogów ludzkości: Hitlera i Mussoliniego, państwem, które uczestniczyło w Pakcie Antykominternowskim, którego Błękitna Dywizja walczyła na froncie wschodnim i które nadal zachowywało sztafaż faszystowski. Tylko bardziej wtajemniczeni wiedzieli w tamtych latach, że np. sprawa Błękitnej Dywizji nie była wcale tak oczywista i stanowiła raczej typowy dla Franco chwyt, za pomocą którego zamyslił oczy Hitlerowi, a jednocześnie pozbył się zbyt gorliwych zwolenników udziału w wojnie po stronie Osi umożliwiając im osobisty udział w upragnionej wojaczce. Franco nie pomylił się przewidując, że lekcja odebrana na froncie wschodnim ostudzi zbyt rozpalone głowy zelantów. W tym właśnie, w sprawie Błękitnej Dywizji, przejawiała się istota sposobu uprawiania polityki, rządzenia i postępowania gen. Franco. Nigdy nie miał on nic przeciwko temu, by wyekspediować na śmierć nie tylko przeciwników, nie tylko ludzi niewinnych, którzy jednak mogliby się stać groźni, ale i zwolenników, gdy tylko stawali się niewygodni, kłopotliwi albo po prostu nie rozumieli ukrytych planów caudilla. Takich wahań gen. Franco nie miał. Nicraz też przejawiał przy tym zimne okrucieństwo, jak wtedy gdy własnoręcznie pisał na przedstawianych mu do zatwierdzenia wyrokach śmierci straszne słowo „garotta” i skazywał w ten sposób nie tylko na śmierć, ale i na męczarnie. To było publiczną tajemnicą w Madrycie. Myślę, że gdy dziś z perspektywy wielu lat piszemy o tej postaci i gdy czynimy to z takiego dystansu, że stać nas już na chłodny namysł – nie powin-

niśmy o tym zapominać. Franco – to była postać ponura i straszna, człowiek, który miał na sumieniu wiele, wiele tysięcy rodaków, dyktator, dla którego przelanie cudzej krwi nie stanowiło najmniejszego problemu, jeżeli tylko było zgodne z jego planami i interesami.

Ale wiemy też, że uchronił swój kraj od udziału w wojnie światowej, a więc od kolejnej wielkiej katastrofy. Czym się kierował? Zapewne trzeźwą i przewidującą kalkulacją. Zdawał sobie niewątpliwie sprawę, że awantura wojenna, w jaką wdali się jego sojusznicy, może się zakończyć ich przegraną; na pewno też rozumiał doskonale, że dla stworzonego przezeń reżymu udział w tej awanturze byłby kolosalnym ryzykiem. Może myślał tylko o sobie i o swojej pozycji caudilla? Ale może myślał też o Hiszpanii – nie o tym nie wiemy. Tak czy inaczej – to właśnie on wykazał dalekowzroczność i kwalifikacje prawdziwego męża stanu, a nie ten, któremu służyli panowie Hewel i Spitz.

Czy rzeczywiście mógł myśleć tylko o sobie i o ratowaniu swej dyktatury? Trudno na to odpowiedzieć, ale późniejsze dzieje mogą prowadzić do zakwestionowania tej najprostszej oceny i wniosku. Stopniowo, niezmiernie powoli, niemal niezauważalnie, ale przecież konsekwentnie wyprowadzał swój kraj z izolacji międzynarodowej. To było bardzo trudne, dziś już nie pamiętamy jak bardzo. W latach 1945–48 Franco, jego rząd, stworzony przezeń system uważani byli za wyrzutka społeczności międzynarodowej. We Francji panowały nastroje bliskie interwencji i międzynarodowej krucjaty dla obalenia Franco. Francuzi, którzy w latach hiszpańskiej wojny domowej słabo się przyczynili do obrony republiki, teraz stali się niezwykle gorliwymi kandydatami na wyzwoliciele z Sarte'em i Simone de Beauvoir na czele. Hiszpania znajdowała się wówczas niemal w stanie oblężenia. Ale gen. Franco po mistrzowsku opanował trudną sztukę polityczną – zyskiwania na czasie. A przy tym rozumiał, że zyskiwanie na czasie nie może oznaczać bezczynności. Stopniowo i powolutku otwierał swój kraj dla cudzoziemców i dla kontaktów ze światem. Najpierw, co zrozumiałe, dla Amerykanów. Lewica w Europie zachodniej szalała z tego powodu, ale wpuszczając Amerykanów do Hiszpanii Franco uzyskał pewną ochronę przed lewicującymi Francuzami i Anglikami. Potem Franco poszukał

kontaktów i współpracy z wielkim kapitałem zagranicznym. Sytuacja gospodarcza Hiszpanii zaczęła się poprawiać. Było to już w latach pięćdziesiątych. Gdy tylko osiągnięto pierwsze sukcesy na tym polu, nastąpiły dalsze posunięcia: zaczęto otwierać granice, przywabić obcych turystów, ale też wypuszczać Hiszpanów, by mogli nawiązać kontakty ze światem, zarabiać, podwyższać swe kwalifikacje. Proces ten zaczął przybierać na sile i tempie w latach sześćdziesiątych. Był to również czas, w którym Franco ostatecznie odesłał falangistów na polityczny margines, a praktyczne zarządzanie krajem oddał w ręce ludzi z Opus Dei – ludzi ideowych, a zarazem niezwykle fachowych, sprawnych i kompetentnych, dysponujących też szeroką siecią korzystnych kontaktów zagranicznych. Teraz obraz kraju zaczął się coraz bardziej zmieniać. Lewica była wprawdzie wciąż prześladowana, partie opozycyjne nadal zepchnięte do podziemia, ale system tracił charakter faszystowski (nigdy go zresztą w pełni nie miał) i przemieniał się w coś w rodzaju autokratycznej monarchii. Franco coraz bardziej występował jako monarcha, a nie jako wódz, mianował się zresztą regentem. I powoli, stopniowo, lecz bardzo konsekwentnie oddawał władzę w ręce ludzi bardziej umiarkowanych, światlejszych, coraz mniej przypominających początkowy wojskowo-falangistowski charakter reżymu. Trwało to długo i przez cały ten czas nikt albo prawie nikt nie wiedział, jakie są rzeczywiste zamiary caudilla i dokąd on zmierza. Może znał te zamiary obecny król Hiszpanii, ale o tym nie wiemy. Światowa opinia zaczęła się orientować, co się w Hiszpanii szykuje, dopiero bardzo późno, przy końcu życia generała. A przecież pod koniec lat sześćdziesiątych i w latach siedemdziesiątych oznaki mnożyły się. Starzy bojownicy z okresu wojny domowej i pierwszych lat izolacji zostali usunięci na margines, kraj wchodził w coraz ściślejsze i różnorakie związki ze światem zewnętrznym, gospodarka nabrała wielkiego przyspieszenia, w fabrykach na pół jawnie działały Komisje Robotnicze, zwiększały się swobody prasowe i kulturalne, granice były otwarte. Wszyscy myśleli, że są to oznaki psucia się i upadku reżymu gen. Franco. Tymczasem było inaczej: ulegał on całkowitej, zaplanowanej i przemyślanej przemianie. Tak przynajmniej to dziś wygląda. Gen. Franco demon-

ował swój reżym. Przywrócił monarchię konstytucyjną, czego ostatecznym rezultatem stało się po paru latach objęcie władzy przez Partię Socjalistyczną, czyli przez opozycję. Stało się to w sposób spokojny i zgodnie z prawem. Wątpliwe, czy Franco przewidział właśnie to, ale niewątpliwie przygotował warunki, w których to się stało możliwe.

Kiedy myślimy o tym dzisiaj wiedząc, że zamysł został zrealizowany do końca i zakończył się sukcesem, trzeba – podziwiając inteligencję, opanowanie i patriotyzm wszystkich uczestników tej operacji po jednej i drugiej stronie – pamiętać, że generał miał w niej kilka silnych atutów. Po pierwsze: pełną niezależność i suwerenność narodową. Po drugie: poparcie i zaufanie dużej części narodu (ale bynajmniej nie całego, nie wiemy nawet czy połowy). Po trzecie: wolnorynkowy charakter gospodarki. W rezultacie operacja demontażu reżymu, wprowadzenia demokracji i utworzenia społeczeństwa otwartego, co po kilku latach doprowadziło do przejęcia władzy przez opozycję, przebiegła planowo, spokojnie i bezkrwawo. Nie umiem wskazać drugiego podobnego przykładu. Oczywiście nie sposób przypisywać całej zasługi gen. Franco. Stało się to wszystko możliwe, bo na czele różnych sił społecznych znaleźli się ludzie wielkiej wartości, o ogromnym poczuciu odpowiedzialności. Całe społeczeństwo wykazało wielką kulturę polityczną. To prawda i bez tego nie byłoby hiszpańskiego sukcesu. Ale przyznać też trzeba, że Franco odegrał rolę tajemniczą i niezwykłą.

Wróćmy więc do felietonu Kisiela. Ma on rację, gdy zwraca uwagę, że Franco, przy wszystkich swoich strasznych i ponurych cechach, był zjawiskiem nieprzeniknionym i zagadkowym w odróżnieniu od wielu innych strasznych ludzi, którzy zagadkowi nie są. Był człowiekiem okrutnym, bezwzględny, chytrym – ale wiele rozumiejącym. Nie dał się nabrać ani Falandze, ani kultowi Primo de Rivery, ani Hitlerowi. Nikt nie zdołał się nim posłużyć, to on potrafił wykorzystać innych. Był typem człowieka całkowicie samotnego, kryjącego w głębi mrocznego serca tajemne plany. Wydaje się, że nikt ich nie przeniknął, może coś o tym wiedział obecny król Hiszpanii. Ale w odróżnieniu od tylu innych skrytych tyranów Franco wydawał się rozumieć, że okres trwania tyranii jest równy trwaniu życia tyrana albo

nawet krótszy. I w rezultacie nie wierzył w trwałość takich reżymów. Wszystko wskazuje, że wiedział, iż na dłuższą metę o wszystkim rozstrzyga zagadnienie następstwa, mechanizm zgodnego z prawem i wolą większości pokojowego przejmowania władzy i oparta na tym jej legitymizacja. Reżymy pozbawione tych cech nie mogą być trwałe. Dlaczego więc stworzył taki reżym, dlaczego stanął na czele rebelii? Kim był? Oto jedna z pasjonujących zagadek XX wieku, temat godny wielkiego dramaturga.

Polska – Hiszpania

Dane porównawcze zaczerpnięte z Rocznika Statystycznego GUS, Warszawa

	Rok	Polska	Hiszpania
liczba ludności	1960	29 561	29 561
(w tys.)	1978	35 010	37 110
prod. energii elektr.	1960	29,3	18,6
(mld KWh)	1978	116,0	99,3
prod. cementu	1960	6,6	5,2
(mln ton)	1978	21,7	29,3
prod. samoch. osob.	1960	13,1	42,3
(tys. szt.)	1978	340,0	1047,0
prod. sam. cięż.	1960	23,3	17,2
(tys. szt.)	1978	78,6	150,0
statki wodowane	1960	224	161
(tys. BRT)	1978	590	662
prod. stali	1960	6,7	1,9
(mln ton)	1978	19,3	11,4
prod. tworzyw szt.	1960	40,1	18,4
(tys. ton)	1977	462	1007
prod. papieru i tektury	1960	641	348
	1976	1324	2200
prod. obuwia	1960	39,0	27,1
(mln par)	1976	80,0	149,0
moc zainst. w elektr.	1960	6316	6567
(megaw.)	1976	20475	26591
dynamika prod. roln.	1975	120	126
(prod. 1969-70=100)	1978	123	136

	Rok	Polska	Hiszpania
pojazdy samoch. w użytk. (na 1000 ludności)	1960	5	9
	1977	44	162
aparaty telef. (na 1000 ludności)	1960	30	59
	1976	80	239
powierzchnia użytk. mieszk. odd. do użytku (tys. m ²)	1960	8065	10637
	1970	10552	21745
	1977	16837	27671
książki i brosz. wyd. (liczba tytułów)	1960	6879	6805
	1976	11418	24584
uczniowie w szk. śr. ogólnokształc. (tys.)	1960	336,6	476,4
na 1000 osób	1975	621,5	2638,6
	1975	16,8	73,5

Uwaga: dane do roku 1978, po którym w Polsce nastąpiło załamanie produkcji, natomiast tempo hiszpańskie wzrosło.



WOJCIECH PAZDUR

KORYFEUSZ

Pamięci Stanisława Hebanowskiego

I

Zimny, wiatr styczniowy z uporem
prawie bez przerwy smaga nam twarz.
Ziębnięci, gdzieś na pustym proscenium
dworca kolei żelaznej uczymy się po raz
kolejny trudnej sztuki. Sztuki – czekania.

II

A jednak Godot nie przyszedł. Zadrwił
Ani nie po raz pierwszy i pewnie nie
po raz ostatni. A my – tkwimy tutaj
nadal prawie zupełnie sami.

III

Lecz oto widzę, jak „muza trwałości
i bogini końca” swe ręce zachłanne
do Ciebie wyciąga. A serce Ci w piersiach
długim biegiem zmęczone, coraz ciszej
i wolniej stuka.

IV

Jest wtorek, może środa. Chyba parę
minut po czwartej. Czas jakby się
skończył, zatrzymał. Na pustym peronie
pomiędzy pieśnią pierwszą a śpiewem
ostatnim.

luty-marzec '84

IWONA PEKSA

Nie kochaj mnie tak często
bo rozlatuję się
na twoje drobne miłości
i zastygam po kawałku
na ścianach
jak zasuszone obrazy

1985

Tak kochasz mnie
że palcami odłamujesz moją miłość
jak gałęzie
a kiedy stoję przed tobą naga jak pień
dziwisz się
że chcę poczekać do wiosny

1985

Pobędę niekochaną kobietą
rozkruszoną po kątach i w lustrze
i zatrzasnę w torebce całą miłość
odwrócę się na potem
kiedy już nie doliczę pęknięć na twarzy
i po kawałku odgrzeję
wykochaną miłość

1986

Himalajska scena

Wanda Rutkiewicz, *Na jednej linii*. Współpraca autorska
Ewa Matuszewska, KAW, Warszawa 1986, ss. 202+64 ss.
fotografii.

Motywy pchające ludzi do uprawiania alpinizmu są tak złożone, że ich hierarchizowanie nosi niemal nieuchronnie piętno arbitralności. Można jednak starać się uporządkować je w odrębne ciągi motywacyjne różniące się nie tyle istotą zagadnienia – ta pozostaje wspólna: człowiek wobec górskiej ściany – ile rozłożeniem akcentów. W rodzimej refleksji nad sensem taternictwa możemy się doszukać co najmniej czterech szkół. Historycznie biorąc przedstawiają się one następująco: – wykładnia etyczno-patriotyczna: wspinaczka hartując ducha i ciało jednostki ma zarazem doniosłe znaczenie społeczne i narodowe (M. Zaruski); – estetyczno-mistyczna: wspinaczka jako sposób przeżywania przyrody (kosmosu) i źródło doznań estetycznych (M. Karłowicz); – sportowa: góry są stadionem a wspinacze to zawodnicy rywalizujący z sobą (J. A. Szczepański); – kompensacyjno-kreacyjna: wspinaczka to swoisty rodzaj psychoterapii (Z. Ryn); wyzwała ona w alpinistcie możliwości twórcze (J. Kolbuszewski).

Wydaje się, że szkoły owe dają możliwości różnorodnych kombinacji przydatnych w objaśnianiu fenomenu alpinizmu jako całości, a także w zrozumieniu motorów napędzających poszczególnych ludzi gór. Oczywiście, „zrozumienie” to dla mnie zaledwie wstępne rozeznanie się w tej skomplikowanej i poniekąd tajemniczej materii, jaką jest wnętrze współczesnego alpinisty. Zresztą nie można już dziś mówić sensownie o jednym alpinizmie! Dziś stanęliśmy wobec faktu rozbicia alpinizmu na szereg dyscyplin górskich uprawianych przez ludzi, których łączy ze sobą tylko świadomość pochodzenia od wspólnych pradziadków.

Monolog Wandy Rutkiewicz jest wdzięcznym materiałem dla badacza alpinizmu sportowego, a szczególnie tego odłamu, który określamy jako himalaizm wyczynowy. Badania takie wcześniej czy później zostaną na pewno podjęte; wszak alpinizm to część współczesnej kultury i zmiany w nim zachodzące nie są przypadkowe... Książki autobiograficzne alpinistów są zatem cenną ilustracją stanu świadomości danego odłamu wspinaczy w określonym przedziale czasu; natomiast mniej ważne, jak sądzę, są w tego typu literaturze sprawy indywidualne autorów, swoistość ich przeżywania gór. Ten ostatni aspekt wnikliwiej rejestruje literatura piękna. Być może dlatego, że np. proza artystyczna daje autorowi

znaczne możliwości ujawniania intymnych przeżyć górskich bez narażania się na zarzut ekszhibicjonizmu – nieuchronny w przypadku literatury faktu. Tak więc mając świadomość wyjątkowości życiorysu górskiego naszej autorki i jej niezwyklej osobowości, proponuję potraktować „Na jednej linie” przede wszystkim jako zapis pewnych procesów zachodzących w alpinizmie, na uboczu pozostawiając kwestie autorskiego „ja” Wandy Rutkiewicz. Zajmowanie się tą sprawą byłoby bowiem zajęciem ryzykownym; próby tego typu kończą się zwykle domorosłym psychologizowaniem bliższym plotkarstwu niż rzetelnej psychoanalizie. Wyrzucając poszczególne zdania można przedstawić Wandę np. jako heroinę opowieści dla pionierów („gniotsja nie łamiotsja”); osobę autorytarną o twardych łokciach; bojowniczkę o równouprawnienie kobiet czy w końcu sentymentalną kobietę, która narzuconą sobie twardością broni się przed marzeniem o księciu jej życia („Niech będzie mądry, czuły i żebym mogła go stale podziwiać”) – ale konstruowanie takich opowiastek niewiele ma wspólnego z próbą uczciwego dialogu czytelnika z autorem. Jeśli zatem weźmie się w nawias warstwę „emancypacyjną” i jeśli tę tak przez autorkę akcentowaną potrzebę rywalizacji z mężczyznami uzna się za jej dziwactwo (do którego ma przecież prawo), to cała reszta może być potraktowana jako **TYPOWA** wypowiedź wybitnej alpinistki działającej na przełomie epok: między alpinizmem tradycyjnym wywodzącym się z romantycznego traktowania gór, a alpinizmem nowoczesnym, bliskim sportowi zawodowemu. Na początku lat sześćdziesiątych te dwie skrajne postawy można było obserwować na przykładzie środowisk zakopiańskiego i warszawskiego. To pierwsze (z którego wywodzi się piszący niniejsze) było pod silnym wpływem tradycji przewodnickiej i ratowniczej nakazującej poddawanie się swoistemu rytmowi ŻYCIA w atmosferze gór, to drugie coraz jawniej podkreślało moment **RYWALIZACJI** sportowej w górach. Środowisko wrocławskie – z którym związana była Wanda – łączyło obie te tendencje. Czas pracował jednak coraz bardziej na korzyść „sportowców”. *Alpinizm, a właściwie taternictwo, składało się dla mnie z trzech równorzędnych elementów: współtowarzysze, wspinaczka oraz przyroda, wśród której to wszystko się odbywało* – wspomina autorka. Zaraz jednak dodaje, że sportowy element *musiał wystąpić, bym pozostała przy wspinaczce. Moje sportowe podejście do alpinizmu polegało na podejmowaniu coraz trudniejszych celów.* Jest to ważne stwierdzenie; obrazuje ono różnicę między dwoma podejściami do gór, nazwijmy je, na użytek tego tekstu, „turystyczno-taternickim” i „sportowo-alpinistycznym”. Są to różnice ogromne. Ci pierwsi wchodzili w góry powoli, wspinaczkę traktowali jako ukoronowanie życia w górach; ich znajomość literatury, ich pochyłanie się

w stronę przeszłości w pewnym stopniu stawały się hamulcami naturalnych skądinąd potrzeb sportowych młodych, sprawnych technicznie ludzi. Ci drudzy nie mieli tego typu obciążeń psychicznych, oni – mając świadomość istnienia i historii taternictwa i jego mitologii – mieli swobodne ręce i lekkie nogi. Dla pierwszych np. Zamarła Turnia była trudniejsza o narosły na niej mit, drudzy wspinali się po jej południowej ścianie bez „literackiego” bagażu. *Potem przyszła kolej na Zamarłą Turnię – rozprawiłam się z drogami, które znalazłam z taternickiej literatury...* – mówi nasza bohaterka. Przy czym to „potem” nastąpiło prawie na samym początku górskiego wtajemniczenia! Bardzo szybko młoda adeptka wspinania zobaczyła Alpy. Bez oporów myśli o wejściu w południowe urwisko Mont Blanc i tylko nieprzychylna pogoda sprawia, że nie znalazła się – prawie debiutantka! – na Czerwonym Filarze Mgieł. W parę lat później pokonuje wraz z Haliną Krüger-Syrokomską wielki wschodni filar Trollrygnu. Sukces ten zawdzięcza tylko sobie i partnerce. Jeszcze raz okazało się, że w górach należy podejmować odpowiednie decyzje w odpowiadającym im czasie. W alpinizmie sportowym decyzja o wejściu w ścianę staje się bodaj głównym składnikiem całego wspinaczkowego przedsięwzięcia. Średnio uzdolniony wspinacz jest przygotowany – w sensie technicznym – do pokonywania długich i trudnych klasycznych dróg alpejskich. Chodzi tylko o to, żeby się ZDECYDOWAĆ! Wanda posiadała tę umiejętność. Oto jej refleksje z nocy spędzonej na Przełęczy Południowej, przed atakiem na Everest: *Jestem zdeterminowana i daję mi to poczucie wolności. Uwolniona od wszystkiego, co nie jest górą i mną, wolna od strachu i obaw – bo nie mam już wyboru. Czekająca mnie akcja likwiduje strach. Lubię to uczucie. Myślę, że jest to jeden z powodów, dla którego się wspinam.* W tym odważnym wyznaniu odśłania się nie tylko autorka, ale ogólniejszy mechanizm napędzający alpinistów – ludzi rozdartych między silnie rozwiniętym instynktem wolności a utajoną skłonnością do poddania się losowi. W tej przedziwnej grze, jaką jest KAŻDA wspinaczka, wszystko jest wyraziście obrysowane: góra i dół, wolność i podległość, stanowienie o sobie i zdanie się na szczęście, a wreszcie życie i śmierć. Bez wprowadzenia kategorii masochizmu tego się nie rozbierze... Zostawmy to.

Chociaż, na dobrą sprawę, nie da się pominąć sfery psychologicznej. Stawiam tezę, że alpinisci są osobowościami TWÓRCZYMI – z wszelkimi z tego faktu wynikającymi konsekwencjami praktycznymi. Dopiero spojrzenie na alpinistów tak, jak patrzy się na artystów i twórców, może pomóc w zrozumieniu ich niesympatycznych cech: egotyzmu, narcyzmu, mitomaństwa, infantylizmu i sporej dozy okrucieństwa – wobec innych i siebie. Alpinistów nie powinno się przymierzać do jakiegoś anielskiego wzorca, lecz np.

do aktorów walczących w teatrze o główne role. *Mimo że nie jest ważne, kto będzie pierwszy i w jakiej kolejności dojdziemy do szczytu, zabieram się do dalszego wyprzedzania* – czytamy w pewnym momencie. Dobrze, że autorka notuje takie drobne zdarzenia. Dzięki temu zostaje odsłonięte to, co bywa na ogół pomijane milczeniem, lub – co gorsza – jest owijane w watę ogólników, że razem, że do szczytu, że duchowe porozumienie ze współtowarzyszami. Słyszysz się zarzuty, że „Na jednej linie” to książka fałszywa, bowiem autorka, wbrew tytułowi, sprzeniewierza się LINIE, czyli zasadzie partnerstwa, eksponując tylko siebie. Krytycy są skłonni przypisać to charakterowi Wandy Rutkiewicz! Jest to spłycenie problemu, którego istotą nie są takie czy inne cechy autorki, lecz pewne niepokojące tendencje we współczesnym alpinizmie. Wanda Rutkiewicz ma cywilną odwagę przyznać się, że jest aktorką dbałą o sukces. A zatem, że jest skupiona na sobie. Wanda ujawnia to, co dzieje się za kulisami alpinistycznej sceny.

Byłoby interesujące prześledzenie drogi, którą zapewne musi przejść każdy alpinista decydujący się na udział w dużych wyprawach. A jest to droga od strategii – jak sobie wyobrażam góry i swoje w nich miejsce na tle uznawanego przez siebie systemu wartości, poprzez taktykę – jak kierować swą alpinistyczną karierą, aż po kunktatorstwo – jak się ustawić na wyprawie, by wygrać wyścig o szczyt. Są alpinisci, którzy nie czują się dobrze w atmosferze licznego zespołu. Wolą małą scenkę. I dopiero na niej odnoszą prawdziwe sukcesy. Tak jest przecież z Wojciechem Kurtyką, bez wątpienia najwszechstronniejszym, światowego formatu polskim człowiekiem gór. *Do wypraw albo trzeba się urodzić, albo dojrzeć* – powiada Wanda. Ona postanowiła zacisnąć zęby. To była trzecia droga. Chcąc zaistnieć na tej brutalnej scenie musiała, do pewnego stopnia, przyjąć panujące tam reguły. *Na wyprawie koleżeństwo, niekiedy chropawe i ostre, niekoniecznie zamieniało się w przyjaźń, jak tego instynktownie pragnęłam*. I dalej: *Nie byłam kłótiwa, agresywna ani krańcowo egoistyczna. Staralam się ofiarnie i rzetelnie wykonywać swoje obowiązki. /.../ Okazało się, że to za mało. Należało wciąż pamiętać, że jest się członkiem zespołu powiązanego subiektywnymi niemi, a w tej płatacinie nie można poruszać się niezgrabnie*. Młoda, zdolna, ambitna aktorka uczy się zawodu. Już wie, że samo wspinanie – to za mało. Po kolejnym powrocie z Pamiru trafia do szpitala. *Na tóżku szpitalnym miałam sporo czasu na rozmyślanie. Nie były one optymistyczne. W końcu września robiłam bilans 1974 r. Wynik był ujemny pod każdym względem*. I to też jest typowe. Każdy z nas, wspinających się na jakim takim poziomie, dochodził do punktu, w którym stał drogowskaz: jedno jego ramię wskazywało góry, drugie – sprawy „nizinne”, zawodowe, rodzinne etc. Jest to moment trudny.

Wiem to nie tylko po sobie; byłem świadkiem stawania na rozstaju paru moich dobrych znajomych... Każdy z nich miał swoje powody do wspinania, ale jedno przecież było wspólne: postawienie na wyczyn praktycznie oznaczało podporządkowanie życia temu celowi. Ci, którzy nie chcieli się z tym pogodzić, wiedzieli, że tym samym wypadają ze sportowej gry. A gra toczy się tak szybko, że po upływie zaledwie paru lat dawni partnerzy mówią już innymi językami; różnica między „wyczynowcem” a „turystą” czy inaczej mówiąc „alpinistą rekreacyjnym” polega przede wszystkim na nieprzystających do siebie systemach wartości. Rzecz charakterystyczna, że ze sportowego alpinizmu łatwiej – na ogół – rezygnują ci, którzy swą energię ulokowali na innym polu. Wanda, w imieniu „sportowców”, stwierdza: *Tylko nieustanne podchodzenie, krok za krokiem, jest czymś oczywistym, jest nakazem bezapelacyjnym.* Jako przedstawiciel „turystów” doceniam zwięzłość tego zdania i jego aforystyczną celność, ale ponieważ mój „nakaz bezapelacyjny” nie kieruje mnie już dosłownie ku górskim szczytom, pozostaję więc z pewną rezerwą wobec tego skądinąd pięknego wyznania. „Sportowcy” najpełniej realizują się w górach, podczas alpinistycznej rywalizacji, „turyści” swe miejsce widzą raczej na nizinach, co nie znaczy, że rezygnują z subiektywnie przetworzonego GÓRSKIEGO ETOSU. Czy jednak istnieje jeden, wspólny wszystkim ludziom gór, model życia i wartościowania? Nie sądzę. Wracam zatem do przekonania, wyrażonego wyżej, iż tym, co łączy alpinistów wyczynowych z pewnymi kategoriami ludzi nizin, jest potrzeba twórczości. Z tym że jest to potrzeba realizowana w warunkach niezwykle, a więc niezwykle są tu napięcia między aktorami... Alpinistów pokroju Wandy można zasadnie przyrównać nie tylko do aktorów, ale także do dyrektorów teatrów i reżyserów filmowych, u których zdolności organizacyjne częstokroć idą w parze z potrzebą dominacji nad podobnymi sobie. Bywa, że cecha ta przybiera formę instrumentalnego traktowania pozostałych współtwórców spektaklu. Wanda pisze w pewnym momencie: *A ja, choć wygrałam, bo musiałam nie mając innego wyjścia, gorzko odczułam smak tego zwycięstwa.* Jest w tym zdaniu skrót twórczego życia z jego blaskami i cieniami. Jest natężenie woli, determinizm, radość z sukcesu i smak goryczki. Zdumiewająco często w tej książce pojawia się słowo „agresja”. To nie przypadek. I znów, jak poprzednio, przestrzegam przed zwięzaniem, wymowy „Na jednej linie” do jednostkowej wypowiedzi o kobiecie, która wytwarza wokół siebie *temperaturę wrzenia*, jak to trafnie określiła Ewa Matuszewska w „Posłowie”. Wanda w swym monologu prezentuje siebie, ale swym świadectwem obejmuje tych wszystkich, którzy chcą dokonać czegoś w swym życiu, którzy wierzą w siebie i którzy decydują się na uczestniczenie w wyścigu.

A ścigając się bywają agresywni. Zazwyczaj zresztą z obawy przed agresją. Znajdujemy w tej książce zdanie, że *łatwo przegapić moment, kiedy jeden drugiemu powinien przyjść z pomocą*, a także taki obrazek: *I tym razem nie byliśmy związani, ale uważaliśmy na siebie. W pewnym momencie wpadłam jedną nogą w szczelinę, Bernd, będący najbliżej, podał mi natychmiast kijek narciarski i pomógł wydostać się. Nie byłam już sama, czułam przynależność do akceptującej mnie grupy.* I jeszcze: *Nie „poszturchiwana psychicznie” potrafię zainteresować się innymi: troszczę się o chorego Willego, zauważam cierpienie Karla, którego migrena dopada kilka razy dziennie, zaczynam dostrzegać problemy kolegów. Jest to możliwe tylko wówczas, kiedy nie muszę bronić się przed ich agresją.* Łatwo zaatakować autorkę z pozycji fundamentalistycznych, ale łatwość takiego ataku powinna nas przed nim powstrzymać. Tu naprawdę nie chodzi o „zły” charakter Wandy Rutkiewicz-alpinistki, która jest napędzana przez dziką ambicję i która łagodnieje dopiero wtedy, gdy rywalizujący z nią mężczyźni mają chwile słabości – wtedy ona *zaczyna dostrzegać ich problemy*. Tu mamy do czynienia z ogólniejszym mechanizmem znanym bodaj każdemu, a już w sposób specjalny przeżywanym przez twórców – tu chodzi o miotanie się między akceptacją a odrzuceniem, potrzebą ciepła a wymogami twardości. Nie rzucamy zatem pochopnie kamieniem. Mówiąc wprost: nie musimy wewnętrznie akceptować **WSZYSTKIEGO**, w czym uczestniczą „sportowcy”, ale obrzucanie ich błotem byłoby faryzeizmem. Powinniśmy mieć prawo wyraźnego wskazywania odstępstw od uznawanej przez nas etyki, ale powinniśmy również mieć odwagę przyznać się do niepewności – nie jestem **PEWIEN**, jak postąpiłbym w krytycznej sytuacji!

Nie wiem, czy zawsze sprostalbym wyzwaniu, jakie stawia himalajska ulica.

Michał Jagiełło



Szary śnieg

Na początku 1986 r. w Wydawnictwie Czytelnik ukazały się wspomnienia byłego reprezentanta Polski w narciarstwie alpejskim, Andrzeja Bachledy-Curusia. Powrót do czasów, kiedy jako zawodnik jeździł po najsłynniejszych trasach i najważniejszych imprezach narciarskich świata, autor opatrzył tytułem „Taki szary śnieg”. Książka ta interesowałaby jedynie środowisko związane z białym szaleństwem, gdyby nie to, co jej twórca sygnalizuje już w tytule. O właściwej bowiem barwie śniegu i sportu narciarskiego jest mowa tylko we wstępie. Kolejne rozdziały zaś ilustrują różne tegoż śniegu i sportu odcienie – od szarości po żółtą czerń włącznie. Trzon wspomnień obejmuje kilkanaście lat: od 1962 r. – kiedy autor jako 15-letni junior pojawił się w kadrze narodowej na zawodach rozgrywanych poza własnym krajem – do połowy lat siedemdziesiątych, gdy to na mistrzostwach świata został wicemistrzem, rok później zaś zakończył karierę.

Spisując swe wspomnienia Bachleda miał zaledwie trzydzieści kilka lat. Dość nietypowy to wiek do rozgrzebywania przeszłości. Ale też życie sportowca płynie szybciej oraz intensywniej. *Trudno zdać sobie sprawę, kiedy wpada się do jej wnętrza* [machiny sportu – M.R.]. *Jeszcze trudniej przychodzi uświadomić sobie moment, w którym jest się już przez nią wypłutym na drugą stronę. Proces przebiega tak szybko, że tylko nielicznym udaje się lądowanie (bez większych kłopotów czy urazów). Jak mnie się udało? Na pewno nie spadłem na nogi* – pisze autor.

Książka ta stara się być rozrachunkiem ze sportem. Slogan o jego wychowawczej roli wypełnia treścią o funkcji sportu demoralizującej, niszczącej młodego człowieka na różne sposoby. Oto co mówi były wicemistrz świata do swych kolegów: *Przez całe lata wasze szare komórki zalewane były potem i móżdżem. Najlepszym narkotykiem, natychmiast wywołującym sen, była każda trochę trudniejsza książka, sen też stanowił najmiłszą rozrywkę. Oszukiwaliście się, że rozwijacie intelekt grając godzinami w brydża, bilard, cymbergaja lub słuchając studenckich najnowszych longów albo opowiadając przygody, których jedynym świadkiem jest wymięte prześcieradło. Kroczyliście przez życie z dumnie podniesionym czołem nie zdając sobie sprawy, że jesteście pod większą kontrolą i opieką niż dzieci w przedszkolu. Za was myślały związki, kluby, kibice, działacze, trenerzy. Dziennikarze wpychali wam w usta banały, frazesy i mądre słówka. /.../ Wy, którym od nieludzkiego wysiłku po kilkakroć dziennie krew z mózgu odpływała – co możecie powiedzieć o życiu, do którego startujecie częstokroć z już dobrze*

przyprószonymi siwizną skroniami. Jeśli wierzycie głęboko, że w dalszym ciągu jesteście tymi samymi herosami, bez względu na zmianę areny, boję się o was. I jeszcze jeden znamieny fragment: /.../ zasłużony sportowiec. Tak. Wy, wszyscy zasłużeni z rozbitymi mózgami, rozwalonymi nosami, z poszarpanymi uszami, kręgosłupami skrócowymi o kilkanaście centymetrów, z wrzodami na zewnątrz i wewnątrz, z naroślami, zwyrodnieniami, bez łękotek, z komorami chorobliwie powiększonymi, znerwicowani i histerycy – ilu z was dalej, tak na co dzień, zdrowo przeży kłatkę i ze zdwojoną energią i zapalem wstępuje na nową drogę życia? Ilu? Lecz po cóż w ogóle stawiać takie pytania. I do kogo je zwracać. Przecież i tak nigdy nie usłyszę prawdziwej odpowiedzi, bo wy wszyscy i ja z wami, JESTEŚMY SKRZYWDZENI (podkr. moje – M.R.).

Napisałam, że książka ta stara się być rozrachunkiem ze sportem narciarskim, bowiem gdzieś między kolejnymi rozdziałami następuje jakby pęknięcie. Żal, gorzyc ustępuje miejsca fascynacji tym, co wspominający przeżywał. Jak w kalejdoskopie przesuwają się miejsca, w których był i ludzie, których spotkał (wśród nich cesarzowa Iranu na nartach). Zmienia się też ton opowieści. Dramatyzm pierwszych rozdziałów ustępuje miejsca humorystycznemu momentowi, głównie zresztą własnych perypetii. Prawdziwie jadowitym dowcipem dosięga autor postaci działaczy, a raczej tzw. działaczy sportowych. Sporo pikantnych szczegółów ujawnia też na temat okoliczności wyjazdu na olimpiadę do Sapporo Wojciecha Fortuny i zdobycia tam przez niego złotego medalu. Wszystko to sprawia, że książkę czyta się coraz „lżej”, a pełna odpowiedź na pytanie, dlaczego jej autor czuje się aż tak skrzywdzony, oddala się coraz bardziej. Nie jest też tajemnicą, że od kilku lat mieszka on w Alpach szkoląc juniorów narciarstwa francuskiego, co jest marzeniem wielu... I może nie zrozumiałabym, na czym polega tak wielkie rozżalenie Andrzeja Bachledy-Curusia, gdybym nie śledziła losów następnej po nim generacji polskich narciarzy-alpejczyków.

Owa generacja była bohaterką skandalu, jaki wydarzył się kilka lat temu na Mistrzostwach Polski w Zakopanem. W czasie zjazdu jeden z naciarzy, jak twierdzili jego koledzy, ominął bramkę. Oznaczało to dyskwalifikację. W pierwszej chwili przyznał się do popełnionego błędu. Wkrótce jednak odwołał tę wersję wydarzeń. Stało się tak po uznaniu przez sędzów zjazdu za prawidłowy. Wówczas 25. zawodników na znak protestu odmówiło kontynuowania zawodów. Nie pozwolili oni również ukończyć ich swemu koledze. Żądając jego dyskwalifikacji wjeżdżali na stok i tarasowali mu drogę w trakcie drugiego przejazdu. Zawody przerwano. Odpowiedzią na zachowanie uczestników Mistrzostw Polski było rozwiązanie kadry narodowej i zakaz startów dla całej grupy do

końca sezonu zimowego. Mistrzem Polski obwołano zawodnika, który był przyczyną całej awantury. Analogiczną sytuację opisał Andrzej Bachleda w omawianej tu książce. Jakże inne było jednak zakończenie...

Zapytałam kiedyś pewnego narciarza, dawniej zawodnika, czego nauczył go sport. – Cwaniactwa – odpowiedział. Wybierzmy więc jakiegoś młodego człowieka, przygnanego duchem zdrowej rywalizacji do klubu i przyjrzyjmy się jego dziejom.

Początkowo młodzieniec (właściwie dziecko jeszcze) kipi entuzjazmem i radosnym zapalem. Dni mijają mu szybko; rano szkoła, po południu trening, wieczorem odrabia lekcje podpierając się nosem. W niedzielę, zależnie od pory roku, wycieczka kondycyjna lub narty. I tak przez kilka lat. Zaznaje także smaku delicii sportowych – wyjeżdża na obozy za granicę, np. w Kaukaz czy też do Austrii. Wreszcie mordercza praca przynosi upragnione wyniki, a z nimi pierwszą naukę: nieważne chłopcze, czy jesteś lepszy od innych, ważne, czy masz właściwe układy. Dowiaduje się więc, jak wygląda manipulowanie czasami zjazdów, tuszowanie prawdziwych wyników zawodów. Dociera do niego także, co oznacza ustawianie bramek na stoku „pod” wytypowanych zawodników. Jeśli jest nikomu niepotrzebny, a został obdarzony potężną posturą, z trudem będzie przeciskał się przez nie wyhamowując całą prędkość. Jeśli zaś jest kruchej postaci, pozwolą mu wspaniałomyślnie rozpędzić się i liczyć na siłę własnej inercji. Nareszcie przestaje lekceważyć wiedzę na temat układów rodzinnych oraz towarzyskich między działaczami, trenerami, zawodnikami czy sławami narciarskimi zgasłymi już lecz z wciąż nie ostudzonymi wpływami. Jeśli pochodzi z Podhala, zna nazwiska, które się liczą i których zaćmić nie powinien. Następnie przeczekuje modę na Śląsk i na konieczność wybijania się mieszkańców tego regionu we wszystkich możliwych dziedzinach.

Mimo wszystko dostaje się do ścisłej czołówki kraju. Wysyłają go za granicę na zawody. Po próbnym przejeździe ma jeden z lepszych czasów. Trener dzieli się tą wiadomością z działaczami w ojczyźnie i otrzymuje rozkaz natychmiastowego wystąpienia zawodnika z powrotem do kraju. Nie on bowiem typowany jest do nawijania kontaktu z elitą narciarską świata. Na jego miejsce dociera z opóźnieniem ktoś inny.

Młody człowiek (ale już dawno nie dziecko) zostaje mistrzem Polski. Może nim być jeszcze wielokrotnie, nie ma to specjalnego wpływu na jego sytuację. Oto kolejny wyjazd na międzynarodowe zawody. Zjawia się w autokarze, objuczony bagażem, by dowiedzieć się, że nie ma jeszcze jego paszportu. Pozostaje mu pomachać na szczęście odjeżdżającym kolegom. Jest wściekły, ale nie zdziwiony. Orientuje się przecież, że klub, aby funkcjonował, musi

dobrze żyć z różnymi instytucjami. Na bardziej atrakcyjne wyjazdy zabiera się więc przedstawicieli zaprzyjaźnionych urzędów, limitując jednocześnie liczbę miejsc zawodnikom (ich właśnie nazywam tzw. *działaczami*).

Jeśli zna jakikolwiek zachodni język, lepiej, by nie afiszował się swoją umiejętnością. Może wzbudzić nieufność u swych zwierzchników i podejrzenie o chęć nawiązania własnych kontaktów za granicą, nie nadzorowanych przez klub. Taka sytuacja jednak zdarza się rzadko, nigdy bowiem nie był namiawiany do tego rodzaju nauki.

Trafiają się na świecie zamożni Polacy, którzy chcą doinwestować narciarstwo w ojczyźnie. Maniacy patriotycznych uniesień czy chłodno kalkulujący biznesmeni liczący na obniżenie podatków przez angażowanie się w działalność charytatywną – któż to wie, w każdym razie są (a raczej byli). Wysyłają zawodnikom świetny, piekielnie drogi sprzęt. Czynią to drogą oficjalną, przez kluby. I oto do narciarza zamiast sześciu obiecanych par nart docierają dwie. Niech spróbuje rozpocząć śledztwo, a zaraz przypomni mu się, że na jego miejsce w klubie czeka kilku młodszych kolegów, którzy będą zachwyceni, gdy dostaną chociaż jedną parę porządnych nart.

Czas płynie... Mija era sukcesu, nadchodzą chude lata. Brak pieniędzy na wyjazdy za granicę oznacza ograniczenie kontaktu ze śniegiem i pogłębienie przepaści dzielącej od światowego narciarstwa. Młody człowiek (choć już nie pierwszej młodości) spostrzega, że dawno zgubił entuzjazm i stracił gdzieś zapal. Zimą rutynowo przedeptuje Kasprowy Wierch, którego niemal każdy metr zna na pamięć, uważając, by nie rozjechać dzieci, kobiet i starców kotłujących się tłumnie na stokach polskiej Mekki narciarstwa. Latem całą inteligencję angażuje do toczenia z trenerem swoistego pojedyńku. Szeł bowiem wymyśla w czasie zajęć coraz to inne górskie trasy do biegania. Zasada gry ze zwierzchnikiem polega na tym, by wyznaczony na maraton czas przeleżeć gdzieś w słońcu. Trzeba jednak przewidzieć i znaleźć się we właściwym momencie na miejscu, które trener sobie wybrał jako punkt kontrolny. Wiadomo, że nie będzie on specjalnie oddalony od miasta – trenerowi też już się nie chce. Zresztą zajęty jest czymś innym. By urozmaicić trening pozwala czasami swoim podopiecznym pomóc sobie przy budowie willi.

Powoli naszego bohatera zaczyna dusić atmosfera gnuśności, marazmu, braku perspektyw. Dla sportu jest już zbyt stary, by warto było nim się zajmować. Jednakże wciąż niezłe wyniki nie pozwalają na pozbycie się go. Jest ponownie mistrzem kraju, ale nie należy już do kadry narodowej. Tę utworzono np. z uczniów szkoły sportowej. Resztki pieniędzy, nadzieje na szczątki wyjaz-

dów, walka o ciepłe posady trenerów przeniosły się teraz tam. Nasz mistrz pozostaje na bocznym torze. Snuje się więc między basenem, halą, boiskiem sportowym, kortami tenisowymi, sauną a górami. Raz w miesiącu odbiera w klubie stypendium sportowe, którego suma jest zawsze wyższa od średniej krajowej pensji. Narzeka, lecz przecież wegetuje mu się całkiem wygodnie. Szczerze mówiąc drży przed zbliżającym się nieuchronnie końcem kariery. Udaje mu się przedłużyć stypendium o rok, o jeszcze jeden...

Wreszcie to przychodzi. Kończy się azyl. Wyrzucony poza sport z dnia na dzień, bez podziękowania, bez pożegnania, zaczyna rozglądać się dookoła. Ma blisko trzydzieści lat. Jeśli miał szczęście – nie jest kaleką. Tak się jednak prawie nie zdarza. Uszkodzony kręgosłup, wysięki w kolanach, przeziębione nerki, bóle głowy po upadkach z utratą przytomności, potłuczone narządy wewnętrzne po zderzeniach z otoczeniem źle przygotowanych tras zjazdowych oraz medale i dyplomy wiszące na ścianach jego pokoju to багаж, z którym zaczyna raczkować w nowym życiu. Ktoś podszeptuje, że może by powalczył o rentę inwalidzką albo chociaż jakieś odszkodowanie z klubu za trwałe kalectwo nabyte podczas niefachowo prowadzonych treningów czy będące wynikiem oprawy zawodów urągającej wymogom bezpieczeństwa. Idzie. Jego bojowy nastrój prędko ulatuje, kiedy słyszy, że chyba jeszcze nie rozliczył się ze sprzętu, który pobrał podczas blisko dwudziestoletniej pracy w klubie. Przysięgnięty zdartymi dresami, pogubionymi czapkami, wyświechtanymi kurtkami, podziurawionymi adidasami, popękkanymi butami, połamany lub po prostu sprzedany narciami wycofuje się szybko. Żegna go zapewnienie, że gdyby chciał wyjechać za granicę, to klub oczywiście nie zgłosi do zaprzyjaźnionych władz żadnych zastrzeżeń.

Zagranica. To jedyne wyjście, jakie widzi. Odciąć jeszcze jeden kupon od tego, co przez dwie trzecie życia robił, ale już za cenę, która pozwoli mu uczynić krok do przodu. Koledzy, jeden po drugim, znikają gdzieś w świecie kierując się dewizą, jaką wpoilo im środowisko – tam ojczyzna gdzie chleb.

Na razie jest tutaj, sam. Ci, którzy zostali z jego sportowej grupy albo starają się o wyjazd, albo poszukując słuchaczy swych przegód coraz częściej sięgają po gorzałkę. Nieliczni próbują znaleźć partnerkę życia. To ostatnie rozwiązanie wybierają zwykle ci, którzy z domu wynieśli przekonanie, że rodzina stanowi wartość i którym najbliżsi zdolali wpoić, iż poza sportem należy znać jakiś zawód, mieć jakąś furtkę bezpieczeństwa... Większość jednak w czasie niezliczonych obozów, zgrupowań, rozjazdów zapominała, co to jest dom. Stworzono im zastępczą rodzinę w klubie, a ściślej, z czego nie zdają sobie sprawy, jej karykaturę. Przenoszą więc ten model do własnej nowo założonej rodziny. Przywykłą-

szy do ciągłej opieki trenerów, utrzymywani do tej pory przez klub jak mają na siebie wziąć odpowiedzialność za los najbliższych?

Próby wyjścia poza środowisko sportowe kończą się fiaskiem. Dopiero teraz zauważa, że między nim a społeczeństwem wytworzyła się taka sama przepaść, jak między nim a czołówką światowego narciarstwa. Przede wszystkim nauczono go pogardy dla tego, co nazywa zwykłym, szarym życiem. Z wysokości autokarów, międzynarodowych pociągów, samolotów, hoteli, gór, z perspektywy pochłanianych, zwielokrotnionych, sportowych porcji befsztyków i schabowych, czymże jest codzienność małych. Jak śmieszne jest to, co uważają za wysiłek. Przecież on najlepiej wie, czym jest praca. Poznał prawdziwy trud – trud zmagania się ze słabością każdego mięśnia i ścięgna, trud opłacany litrami potu. Przyzwyczajony do wyczynu szuka pracy, która przyniosłaby mu podziw otoczenia. Inaczej wstydzi się.

Przez całe lata zwalniano go z obowiązku samodzielnego myślenia. Uczono koncentrować się na działaniach, których celem był rozrost mięśni i ulepszenie techniki poruszania się na nartach. Nagradzano posłuszeństwo i niereagowanie na drobne lądactwa, których był świadkiem. Na wszystko podsuwano mu gotowe odpowiedzi. Instruowano, jak ma się zachować w sytuacjach, które spotkają go w czasie wyjazdów za granicę. W imię regeneracji sił w każdej wolnej chwili potrafi zapaść w letarg.

Kariera sportowa ośwoiła go z bólem towarzyszącym częstym kontuzjom. Teraz widok kogokolwiek okazującego cierpienie budzi w nim niesmak. Chowany w kulcie tężyzny, spotkawszy się z ułomnością – ucieka z zażenowaniem. Starość, miast szacunku, budzi w nim wstręt podszyty strachem...

Doprawdy jeśli dzisiejszy sport, jak twierdzą niektórzy, ma być dla tłumów widzów substytutem wojen, to przeróżne kluby stały się współczesnymi szkołami janczarów.

Dlatego więc nie ostrzega się przed spustoszeniem, jakie sport może w człowieku, nie przygotowanym wszechstronnie do jego wyczynowego uprawiania, uczynić?

Lecz po cóż w ogóle stawiać takie pytania. I do kogo je zwracać. Przecież i tak nigdy nie usłyszę prawdziwej odpowiedzi, bo wy wszyscy, i ja z wami, jesteśmy skrzywdzeni...

Monika Rogozińska

Świątynie ześwieczone

Na tym miejscu powinna się pojawić moja kolejna relacja o nowym kościele, który wzbogacił jesienny już pejzaż osiemdziesiątego siódmego roku. Tych wartych zauważenia i opisania świątyń przybywa więcej niż comiesięcznych o nich sprawozdań. A jednak zamiast opisu kościoła nad Świdrem muszę podzielić się kilkoma refleksjami. Muszę, bo oglądając dziesiątki, może setki świątyń, natykam się na zjawisko do tego stopnia atakujące zmysły odbiorcy, że aż zamazujące obraz sacrum. Bez konstruowania skomplikowanych definicji nazwałbym je zaśmiecaniem świątyń. Dotyczy ono oczywiście nie tylko architektury współczesnej, ale i dawnej, często także zabytków unikalnych. Nie jestem pierwszym, który porusza ten problem, ale nieuczciwością zawodową jest pozostawianie go na uboczu spraw sztuki sakralnej w ogóle, a architektury w szczególności. Zresztą nie tylko zawodową, skoro pisali o tym kiedyś w „Tygodniku Powszechnym” ks. Marek Starowieyski i Tadeusz Chrzanowski.

Tak jak Polska stała się unikalna w świecie z racji dynamiki wznoszenia nowych świątyń, tak równocześnie odrębnością polskich świątyń stało się spontaniczne niszczenie stworzonych wcześniej wartości. Nawet nie mam tu na myśli osobliwości kiczu religijnego tak dogłębnie przedyskutowanego kilka lat temu w „Znaku” przez J. J. Lipskiego, T. Chrzanowskiego, ks. J. Pasierbą, S. Rodzińskiego. To jest coś więcej: brak harmonii i ład, tandetne tworzywo, prymitywizm w przekazie ikonograficznym, brzydota. Należy do tego zjawiska zarówno stałe zagospodarowywanie wnętrz świątyń, jak i okolicznościowe dekoracje wewnątrz i na zewnątrz kościołów.

Sierpień. Wspaniałe wnętrza fary w Kazimierzu nad Wisłą: koronka sztukaterii, odnowione kaplice, cudownie koncertujące organy. W głównym ołtarzu po obu stronach tabernakulum przysłaniając renesansowy ołtarz wiszą dwie olbrzymie plansze-„gazetki ścienne” z pozorną symboliką Kongresu Eucharystycznego. Obok Najświętszego Sakramentu w tabernakulum...

Sztuka naszej epoki /.../ może się swobodnie rozwijać w Kościele, byleby z NALEŻNĄ CZCІĄ I SZACUNKIEM SŁUŻYŁA ŚWIĄTYNIOM i obrzędom świętym, nakazuje Konstytucja o liturgii świętej w p. 123. To obowiązek nałożony zarówno na kapłanów jak i na wiernych.

Prawie do każdego wnętrza świątyni wkracza zieleni. To wspinały przecież symbol Boskiego odczuwania piękna poprzez stworzenie piękna natury. Uroda palm, paprotek i pelargonii jest jednak niszczone przez człowieka na skutek bezład i przypadko-

wości ich rozmieszczenia. To uwaga po przedwczorajszej rannej mszy przed obrazem Matki Bożej Łaskawej na Świętojańskiej...

Jasnogórski szczyt. Wiele godzin i dni spędziłem wewnątrz i na zewnątrz tego wyjątkowego w świecie i tak szczególnego dla Polaków sanktuarium. Unikalna panorama wałów, sylwety wieżernika, bazyliki, kaplicy i klasztoru. To za mało – na tej wspaniałej sylwecie narasta co roku lawina napisów, gigantycznych symboli, flag i orłów. Nawet tutaj nie wystarcza ikona Czarnej Madonny...

Nowy kościół na Okęciu, przy ul. Hynka. Dyskusyjnie umieszczony między dwiema wieżami-dzwonnicami krzyż – poniżej ich zwieńczeń. Trudno. Ostatniej niedzieli na szczycie jednej z wież pojawiły się na specjalnym stelażu trzy flagi: biała-czerwona, żółta, niebieska. Ponad krzyżem...

Wszyscy możemy mnożyć takie przykłady. Wystarczy wejść do najbliższego kościoła. Prawie każdego. I to jest ta unikalność polskich świątyń. Nie spotkamy tego ani we Włoszech, ani w Hiszpanii, gdzie Madonny płaczą żywymi łzami, ani tym bardziej w świątyniach skandynawskich. Mało też jest na świecie krajów, gdzie flagi narodowe byłyby zawieszane tak beztrosko jak w polskich świątyniach. U nas można je układać w swobodne dekoracje zwisające ze zworników gotyckich sklepień lub ułożyć z nich krzyż. Dziwne to w kraju chlubiącym się i patriotyzmem, i religijnością.

W sprawach zagospodarowywania i eksploatacji przestrzeni sacrum Kościół – a może bardziej jego fizyczni reprezentanci – wykazuje swoisty konserwatyzm i polską, laicką niewiarę w fachowość. Bo przecież wszystkie te elementy, potrzebne w jakimś sensie wiernym, można zrobić dobrze, przynajmniej znośnie. Dlaczego w Kazimierzu – mieście malarzy – nie poproszono chyba żadnego z nich o pomoc i poradę? Dlaczego w Warszawie prawie nikt nie próbuje naśladować – lub może nauczyć się – wspaniałych kompozycji kwiatowych tak znakomicie wzmacniających sacrum u Św. Marcina na Piwniej? Dlaczego Kościół nie wykorzystuje przyjaźni z artystami, którzy urządzają znakomite pokazy swoich dzieł w kościelnych wnętrzach na Żytniej, na Nowym Mieście i w tylu innych polskich świątyniach? W iluż nowych kościołach znakomity fotografik i pasjonat nowej architektury sakralnej, Andrzej Mroczek, czeka bezskutecznie na moment, kiedy będzie mógł sfotografować obiekt w jego nie skażonej postaci.

Zastanawia mnie ekspansja spontanicznego, bezmyślnego zaścianiania nowych wnętrz sakralnych. Na siłę tłumaczyć to brakiem narracji we współczesnej sztuce sakralnej, może brakiem ozdobności potrzebnej, według słów prymasa Wyszyńskiego, polskiej formacji religijnej. Ale przecież dotyczy to w podobny sposób dawnej, a więc wybitnie narracyjnej i mówiącej wprost do wier-

nego, architektury. Pozostaje więc jedyny powód, trudny i bolesny do przyjęcia. Całość opisanego zjawiska została przeniesiona z pejzażu laickiego czterdziestolecia PRL: przedszkolna gazetka na Dzień Wojska, oprawa pierwszomajowych pochodów, dekoracje z paprotkami na akademii na Dzień Hutnika – zostały odpowiednio powiększone do skali fasad kościelnych. Jest ich przecież dużo i są najczęściej takie puste... Jeśli nawet to nie przeszkadza gospodarzom świątyń, pozostaje już tylko nakaz *należnej czci i szacunku* zapisany w paragrafach Vaticanum II. Pejzaż polskich świątyń pokazuje na razie, iż nakaz ten jest notorycznie łamany. Tak jak w całym świeckim świecie Polaków.

Świątynia może być zeświecczona niekoniecznie przez urządzenie w niej muzeum.

Konrad Kucza-Kuczyński

Warszawa, wrzesień 1987 r.



książki

Poety droga do siebie

Artur Międzyrzecki

Koniec gry

S. W. „Czytelnik“, Warszawa 1987,
ss. 120

Wypowiadać poezję siebie. Cóż bardziej oczywistego niż możliwość wyznania liryką intymnych olśnień, lęków, fascynacji i obsesji. A jednak wśród odmian sztuki poetyckiej nie wszystkie aprobują konwencję mówienia wprost o sprawach na wskroś osobistych. Liryka bezpośredniego zwierzenia bywa potrzebą poetów bardzo młodych, albo przeciwnie – bardzo dojrzałych. Przykładów młodszej bezpośredniości wszędzie pełno. Wśród wierszy poetów dojrzałych, których w minionych latach żegnaliśmy, wzruszają wyznawczą prostotą ostatnie zbiory Iwaszkiewicza, Ważyka, Jastruna. To przykłady skrajne. Rękojmią autentyzmu i rangi przeżyć nie musi być aż sędziwy wiek. Często wystarczy przekroczenie SMUGI CIENIA, by prawdy egzystencji przestały być dla artysty grą, zabawą, pozorem czy mistyfikacją i nabrały jaskrawej ostrości dramatu, wkroczyły w wymiar powagi i bólu.

Artur Międzyrzecki był w swojej twórczości zasadniczy i niefrasobliwy, dosłowny i nieobliczalny, programo-

wo oczywisty i programowo – na wzór nadrealistów – niejasny. Zbiorem „Wojna nerwów“ wpisał się trwale na listę filozofów poezji; zbiorem „Koniec gry“ tę swoją pozycję potwierdza. Poeta ma świadomość swej nowo odkrytej choć nieuniknionej tożsamości, kiedy mówi w „Inskrypcji“: *Nigdy nie pisałem o tobie / To co trwa jest cudownie nieskończone / A każda forma to zamknięcie /.../ Nigdy nie pisałem dla ciebie i o tobie / Bałem się formy jej magicznego porządku jej pożegnalnej konieczności / Ale już czas. Sprawy ostateczne nie mogłyby istnieć bez perspektywy doczesności, tak jak i forma bez kształtującej ją treści. Życie nie jest tylko alternatywą śmierci, jest przede wszystkim jej uzasadnieniem. I tę właśnie zależność poddaje nam pod rozagę poeta.*

Międzyrzecki jest moralistą w sensie sokratejskim. Oddaje poezji tylko to, co ją faktycznie wyróżnia spośród ludzkich dokonań; roli poety też nie traktuje jako elitarnego przywileju. Mówiąc o sztuce słowa, stwierdza z prostotą, że: *Jest wieczną grą trwania i zmiany / I przypomina naturę która zrzuca i odtwarza liście swoich lasów /.../ Jest pełna sprzeczności jak samo życie / Ta najbardziej powszechna ze sztuk / I najbliższa duchowi miejsca* („Ten oszałamiający ruch...“). Rejestr doświadczeń przeżywającego podmiotu kończy poeta taką konkluzją: *To zrozumiałe że ten co wiele przecierpiał / Mocno kochał i sprzeciwiał się znu / Liczy na swoją wyjątkowość / Na uprzejme względy furii / Ale tacy jak on liczą się na kopy* („Liczyć się to“).

Postawa pokory wobec żywiołu życia to rozpoznawalny wyróżnik

sztuki poetyckiej Artura Międzyrzeckiego w ostatnich latach. Poeta komponował „Koniec gry” jako tryptyk złożony z wierszy nowych („Ten z jej snu”), poematu o treści metapoetyckiej („Ten oszałamiający ruch skrzących się obrazów”) i obszernego cyklu wierszy z lat wcześniejszych („Z dawnych lat”). Tym zabiegiem formalnym dokonał autor aktu wartościującego. Wskazał te punkty na mapie własnej twórczości, które świecą żywym blaskiem. A jest to światło troski o wymiar człowieczeństwa nie tylko TU I TERAZ, i światło tęsknoty za nieosiągalną doskonałością: *Zawsze ten sam człowiek myśli o tym skąd przyszedł / I dlaczego tu jest i gdzie są jego zmarli / Zawsze ten sam wygnaćiec podpira się kosturem / Na zawsze tej samej drodze w słońcu i kurzu / W zawsze tym samym poczuciu odosobnienia / Tak pełnym zadumy i zasnuwającym do łez / I zawsze ktoś o tym pisze niepewny swego powołania / Z wiecznie tym samym dzieciństwem przed oczami / Z wiecznie tą samą śmiercią na karku* („Mając się na baczności”).

Motyw powtarzalności rzeczy i zjawisk w odwiecznym misterium trwania, motyw pierwszego z brzegu, zawsze tego samego czy ciągle tych samych ludzi, spraw, pytań: przewija się przez wszystkie partie „Końca gry” nadając książce charakter wieloczasowego moralitetu. Wśród powracających refleksji poeta zapisuje po stronie strat bliskich umarłych, którzy *Zostawili ci swój pulsujący jeszcze obraz, dawne przyjaźnie i przyjemności, ową prawdę hycia / Miłosny kodeks pożegnań*; po stronie zysków sytuuje poezję z jej *miłością spalającą do cna / Najdokładniejszym ze snów i najdzikszą wol-*

nością. Ale poetyka moralitetu zobowiązuje. Spośród funkcji poezji wyliczanych w metapoetyckim obrazie uwypuklone są te, które wyznaczają nasze miejsce w historii świata. Poezja bowiem: */.../ uzmysławia że ciągle jesteśmy Fedrą Tezeuszem i Terame-nem / I że Kreon i Antygona i my wszyscy / Bywamy stronami w naszych ludzkich sporach – zapewne – / Ale jesteśmy również wspólnym trwaniem przez tysiąclecia / W tym tajemniczym błysku naszego życia w galaktyce nieba*.

„Koniec gry” mimo swej wyrazistej koncepcji filozoficznej nie jest książką formalnie jednorodną. Powaga nie wyczerpuje arsenału poetyckiej broni Artura Międzyrzeckiego. Ironia, dowcip; paradoks ciągle uskrzydla ją tę poezję lekkością i humorem. Przekorna dusza wesołka często święci triumfy nad widmem rozpacz i grozy. *Słoneczne zaświaty poezji* ciągle opromieniają wyobraźnię poety stwarzając dystans uśmiechu wobec obywatelskiej materii życia. Mądrość dojrzałości to wszak także sztuka dostrzegania świetlistych punktów w smudze cienia. A więc jednak sokratejska wiara w niezniszczalność cnót i idei? Czy raczej heroizm zmagania się z wiatrakami losu? *I wszystko jedno w końcu kogo tak cudownie maluje Velazquez / Wielkiego księcia na koniu czy błazna Hodsona z psem („Złoty wiek”). Mówią ci to samo co mówiłeś im kiedyś / Mówisz im to samo co mówili ci kiedyś / Nie możesz sobie przypomnieć kiedy i kto / Twoi rozmówcy zniknęli w kosmicznych lat / I w słońcu o widmowym blasku / Wszystko rozpoczyna się od nowa / Złote przyczółki forsycji / Białe trzepot narcyzów / Piękne jak wschodni dywan / Nadla-*

tuja wychudłe ptaki twoich pustyń („To samo”). Sens poezji wyraża się w końcu przede wszystkim w tych spazmatycznych próbach ocalenia iskrzących drgnień duszy przed ciemnością metafizyki.

Adriana Szymańska

W znaku Mikołaja

Borys A. Uspieński

Kult św. Mikołaja na Rusi

Redakcja Wydawnictw KUL, Lublin
1985, ss. 375

Borys A. Uspieński należy do czołowych przedstawicieli radzieckiej szkoły strukturalno-lingwistycznej. Domeną zainteresowań uczonego jest semiotyka kultury, którą wzbogacił swą oryginalną myślą. Przykładem możliwości Uspieńskiego i jego metody jest praca „Kult św. Mikołaja na Rusi”.

Studium to poświęcone jest kultowi św. Mikołaja, zajmującego *zupełnie wyjątkowe miejsce w rosyjskiej świadomości religijnej*. W toku wywodu ukazuje się złożony charakter postaci świętego wraz z głębokimi uwarunkowaniami pochodzącymi z pierwotnego słowiańskiego panteonu. Antycypacją św. Mikołaja i jego typologicznym poprzednikiem jest bowiem

Wołos-Weles, jeden z trzech głównych bogów wschodnich Słowian. Problematyka relacji i wynikania, które zachodzą pomiędzy tymi postaciami, jest podstawowym zadaniem książki. Realizowane jest ono w trzech głównych rozdziałach, noszących tytuły: „Kult Mikołaja na Rusi”, „Mikołaj i Michał Archanioł” i najobszerniejszy – „Mikołaj i Wołos”.

Cel badawczy osiąga Uspieński metodą wykrywania funkcji Mikołaja i Wołosa, a następnie ujawniania ich podobieństw i transformacji. Na tej podstawie ukazana zostaje ciągłość funkcjonalnych znaczeń, które upostaciowane w Wołosie przejął w nowej sytuacji religijnej Mikołaj. Jest on tedy kontynuacją Wołosa, choć strukturalnie należy już do innego porządku. W dalszym procesie wyodrębnione zbiory funkcji pozwalają stwierdzić szereg kontaminacji św. Mikołaja z Michałem Archaniołem, św. Janem Chrzcicielem i Chrystusem.

W nakreślonym obrazie św. Mikołaja przypomina typ bohatera kultowego, który stopniowo przejmuje zasadnicze role ingerujące we wszelkie ważne momenty życia ludzkiego od narodzin po świat pozagrobowy. Jego wieloznaczność, powszechność kultu w licznych lokalnych odmianach, powodowała nawet, iż zajmował on w ludowej hierarchii miejsce Zbawiciela, stając się świętym i bogiem narodowym.

Analizę swą prowadzi Uspieński drogą prospektywną – opierając się na ustaleniach historyczno-porównawczych mitologii indoeuropejskiej oraz drogą retrospektywną – wykorzystując źródła folklorystyczne. Postępowanie to wspomaga subtelna analiza

ikoniczną i językoznawczą. Całość wsparta jest imponującym materiałem źródłowym, który poddany wszechstronnym zabiegom i operacjom tworzy siatkę pojęciową zespołu kultowego na Rusi. Centralne postacie tego kultu to Wołos i św. Mikołaj. Przechodząc na wyższy poziom uogólnienia możemy powiedzieć, że autor ukazał system pewnej świadomości religijnej, której trwałość wyraża się w przeciwstawnych, lecz korespondujących ze sobą zespołach znaków.

Studium Uspienskiego zachwyca precyzją w wyjaśnianiu utajonych znaczeń, przekazuje jednocześnie niezwykle interesujący sposób interpretacji faktów kulturowych. Myślę, iż obecnie trudno byłoby pominąć teoretyczną myśl autora „Kultu św. Mikołaja na Rusi” w rozwiązywaniu problemów kultury i religii.

Andrzej Datko

czasopisma

Prasa o gospodarce (54)

Decyzje niektórych państw zadłużonych, by przestać płacić długi, wzbudziły zainteresowanie i dyskusje nie tylko w świecie bankierów niewątpliwie zaniepokojonych takim obrotem sprawy. Także dłużnicy patrząc na południowoamerykańskie precedensy zaczęli się zastanawiać nad wszelakimi konsekwencjami takich posunięć. Dla krajów zadłużonych – a są to przecież zwykle kraje żyjące w czasowym bądź permanentnym kryzysie gospodarczym – sprawa wciąż rosnących długów i realność ich spłaty jest problemem z cyklu „być albo nie być”... Są również w świecie kraje zadłużone zaliczające się do rozwiniętych – długi, kredyty, pożyczki są elementem normalnej gry gospodarczej i nie zawsze trzeba się ich bać. W tym ostatnim przypadku bać się nawet nie ma czego, dlatego też krajów na wysokim poziomie rozwoju cywilizacyjnego nie dotyczy problem „płacić czy nie”; dotyczy ich natomiast problem „będą płacić czy nie”.

Sprawa ma jeszcze inny kontekst, a jest nim współodpowiedzialność globalna za stan rozwoju gospodarczego świata. W tym miejscu zatem wchodzimy na teren bardziej moralności niż polityki gospodarczej. Nie należy się zatem wcale dziwić temu, iż

problem międzynarodowego zadłużenia stał się przedmiotem zainteresowania nie tylko ekonomistów, lecz także niekwestionowanych autorytetów moralnych. Świat zna bowiem dwa skrajne sposoby rozwiązywania takich kwestii: drogą wojny bądź pokojowych rozwiązań po międzynarodowych dyskusjach. *W tych warunkach* – pisze Czesław Strzeszewski na łamach nr. 16 odnowionego „Ładu” – *Stolica Apostolska, tak usilnie i konsekwentnie dążąca do ugruntowania pokoju na naszej planecie, nie mogła milczeć i choć nie miesza się do spraw gospodarczych, a tym bardziej czysto finansowych, musiała zabrać głos w sprawie zadłużenia finansowego. Dokoła tego za pośrednictwem jednej z dykasterii watykańskich, Papieskiej Komisji „Iustitia et Pax”. Została ona powołana na życzenie II Soboru Watykańskiego przez papieża Pawła VI. /.../ Nowy dokument Komisji wydany w grudniu 1986 roku zatytułowany został „W służbie społeczności ludzkiej: Etyczne stanowisko wobec problemu zadłużenia międzynarodowego”. Według tego dokumentu – omawianego przez prof. Strzeszewskiego – celem jest osiągnięcie międzynarodowego pokoju i sprawiedliwości zagrożonych lawiną długów. Środkiem do tego wiodącym ma być wzbudzenie poczucia solidarności między wierzycielami i dłużnikami.*

Zadanie trudne. W życiu gospodarczym, o czym wiadomo powszechnie, „sentymenty” często odgrywają drugorzędną, by nie powiedzieć najmniejszą rolę. Dla wielu biznesmenów – i tu podziały światopoglądowe nie pokrywają się z podziałem poglądów co do sposobów i mechanizmów działania

ekonomicznego – osiągnięcie zysku jest ważniejsze od moralnych aspektów zagadnienia. Eksploatacja słabszych przez (także finansowo) silniejszych nie jest, wcale wymysłem marksistów, jest po prostu faktem.

Zdaniem Stolicy Apostolskiej należy działać, zanim nastąpi najgorsze. Pisze Strzeszewski: *Należy przede wszystkim nie dopuścić do bankructwa, do ogłoszenia niewypłacalności krajów dłużniczych. Ze strony wierzycieli trzeba zalecić w tym celu: prolongaty spłaty długów i zaległych odsetek, częściowe lub całkowite umarzanie długów, pomoc w uzyskaniu kredytów handlowych, bez których gospodarka krajów dłużniczych nie może się rozwijać. Ze strony dłużników powinna być podjęta wzmocniona kontrola nad zadłużeniem celem niedopuszczenia do bankructwa. Wspólnymi siłami powinny obie strony tworzyć struktury koordynacyjne celem uzgodnienia i usuwania nadmiernego zadłużenia. Dokument papieski wskazuje na odpowiedzialność za wytworzoną sytuację międzynarodowych instytucji finansowych, takich jak Międzynarodowy Fundusz Walutowy i Bank Światowy, a również wielkie banki prywatne.*

Analiza przyczyn zadłużenia, prowadzona także przez ekspertów Komisji, ale przecież nie tylko przez nich, bowiem co światlejsi eksperci światowego życia gospodarczego również prowadzą takie analizy – prowadzi do wniosku, iż źródła tego stanu rzeczy widzieć należy zwłaszcza w wahanach kursów walut, spadku cen surowców (a kraje zadłużone są przede wszystkim dostawcami surowców, głównie ropy naftowej), wreszcie w błędach popełnianych przy wyko-

rzystaniu uzyskanych kredytów (czego przykładem jest zarówno gospodarka polska jak i np. meksykańska). Zaś wahania kursów walutowych dały o sobie znać w przypadku dolara amerykańskiego, gdy rząd USA podjął działania interwencyjne na dużą skalę, co doprowadziło w latach siedemdziesiątych do spadku kursu dolara tym samym przyczyniając się wprawdzie do potaniaenia eksportu USA, ale i do pogorszenia sytuacji płatniczej krajów zadłużonych. Gdy inflacja sięgała 15%, a pożyczki długoterminowe oprocentowane były na poziomie 5%, wiele krajów wpadło w pułapkę „łatwego kredytu”. Gdy proporcje się odwróciły, sytuacja krajów takich, jak Maroko, Mali, Togo, Gwinea, Podzwrotnikowa, Sudan, Zambia, Wenezuela, Boliwia, Meksyk czy Polska, stała się tragiczna. *Winę za ten stan rzeczy ponoszą zarówno dłużnicy jak i wierzyciele, a również międzynarodowe instytucje finansowe. Jedynym wyjściem jest zastąpienie w stosunkach międzynarodowych siły i szukania zaspokojenia partykularnych interesów sprawiedliwością i gotowością wzajemnej służby w poczuciu solidarności międzyludzkiej. Tylko wówczas może być zrealizowane dążenie całego świata do rozwoju gospodarczego przy kontrolowanej inflacji. Ze strony krajów wierzycielskich nie wystarczy ulgi finansowe, potrzebne jest również wyrzeczenie się protekcjonizmu handlowego, zezwolenie na transfer technologii, stabilizacja cen surowców. Niewątpliwa jest jednak również wina krajów dłużniczych, dlatego muszą one przyznać się do popełnionych błędów i dokonać analizy przyczyn zadłużenia, aby tych błędów*

uniknąć na przyszłość. Ta uwaga odnosi się, co oczywiste, również do Polski. Pozytywnie jest, iż świadomość niesprawności naszego systemu gospodarczego jest tak powszechna, iż ucichli (czasem tylko podsycając gasnący „święty ogień”) czciciele sposobu gospodarowania, jaki był i jaki doświadczałnie się nie sprawdził. Ucichli również ci, którzy decydują o naszym życiu społeczno-gospodarczym. Zawsze może przyjść moment, że przypomną o sobie krzyżując: „A nie mówiliśmy”, pocieszające jest jednak, iż postęp cywilizacyjny w niektórych regionach świata przynosi tak szybkie zmiany, że „hamulcowi” zanim się obejrzą, mogą być już za burtą nie tylko historii, lecz po prostu życia gospodarczego...

Sprawa jest bowiem poważniejsza niż tylko pragnienia poszczególnych grup interesów: *Nauka społeczna Kościoła* – kontynuuje prof. Strzeczewski – *uważa nie tylko poszczególne jednostki, ale również narody i państwa nie za absolutnych właścicieli swych dóbr materialnych, lecz tylko włodarzy dla dobra całej ludzkości. Dotyczy to nie tylko zresztą dóbr materialnych, lecz również dóbr kulturalnych, a nawet umiejętności i zdolności pracy.*

W rezultacie dokument papieski – omawiany przez Cz. Strzeczewskiego na łamach „Ładu” – którego autorzy zwracają się przeciw do zainteresowanych nie z pozycji siły, lecz z pozycji pewnych zasad etycznych, zawiera propozycję opracowania międzynarodowego kodeksu postępowania w dziedzinie międzypaństwowych stosunków kredytowych: *W stosunkach międzynarodowych tym bardziej nie może być mowy o przymusie, gdyż nie*

istnieje tego rodzaju władza międzynarodowa. Kraje bogate mają jednak obowiązki moralne w stosunku do ubogich. Obowiązki te wynikają ze szczególnej siły w odniesieniu do dawnych kolonii, gdyż państwa kolonizatorskie nie potrafiły czy nie chciały rozwinąć dostatecznie ich gospodarki i kultury. Dlatego też dokument papieski przemawia do wierzących w kategoriach moralnych, wskazując na ich odpowiedzialność i ludzką solidarność, zachęcając do humanitarnego podejścia do sprawy uregulowania długów. Ich odpowiedzialność jest tym większa, że kraje te są również podmiotem regulacji stosunków wymiany, proporcji między ceną artykułów przemysłowych i surowców, stopą kredytową i kursami walut. Mogą więc nie tylko bezpośrednio ułatwić wyjście z impasu długów krajom ubogim, ale dokonać tego również pośrednio przez oddziaływanie na stosunki wymiany i finansów. Odpowiedzialność krajów wierzących nie ogranicza się do zachowania równowagi gospodarczej w skali światowej, lecz również do utrzymania pokoju światowego, którego poważnym zagrożeniem może być bankructwo krajów dłużniczych.

I tu dochodzimy do sedna problemu, do tego, z jakich przyczyn Kościół nie zamierza przyglądać się biernie, lecz czyni wysiłki, by skierować uwagę menadżerów na cały kontekst dzisiejszej sytuacji gospodarczej świata.

Sławomir Siwek

O społeczeństwie i kulturze (5)

Z zainteresowaniem przeczytałem we wrześniowych numerach prasy katolickiej teksty wypowiedzi red. Jerzego Turowicza („Posłaniec Warmiński” nr 20) i red. Sławomira Siwka („Gość Niedzielny” nr 38) wygłoszonych 9 lipca 1987 r. na posiedzeniu Rady Prasowej. Lekturę uzupełniającą do wyżej wymienionych stanowi odpowiedź Justyna Sobola, rzecznika prasowego GUKPiW, na publikację Jerzego Turowicza („Posłaniec Warmiński” nr 21). Jak się okazuje, problemem cenzury Rada Prasowa zajęła się pierwszy raz dopiero na wspomnianym lipcowym posiedzeniu, a więc w trzecim roku swego istnienia.

J. Turowicz zwrócił uwagę w swoim wystąpieniu na dwa aspekty ingerencji Urzędu Kontroli Prasy: ilościowy i jakościowy. Jeśli chodzi o aspekt ilościowy, to „Informacja o realizacji ustawy o kontroli publikacji i widowisk”, którą tu otrzymaliśmy – mówił redaktor naczelny „IP” – budzi moje zasadnicze wątpliwości. Nie wątpię, że w ostatnich czasach ilość ingerencji cenzury w prasie się zmniejszyła. Ale obraz zawarty w „Informacji” wydaje mi się zbyt sielankowy. Wynikałoby z niej, że ingerencje i to nieliczne mają miejsce niemal tylko w kilkunastu tytułach prasy katolickiej. Nie zarzucam bynajmniej autorowi „Informacji” mijania się z prawdą. Obawiam się, że problem polega na rozumieniu pojęcia „ingerencji” cenzury. Obraz zawarty w „Informacji” odpowiada rzeczywistości, jeśli obejmuje ingerencje zaznaczone w piśmie. Ale – jak wiadomo –

niewielka liczba pism zaznacza ingerencje, do czego – na podstawie ustawy – cała prasa jest uprawniona. Inne pisma z woli wydawcy czy też redakcji ingerencji nie zaznaczają, co nie znaczy, że ich tam nie ma. Być może liczby podane w „Informacji” obejmują także ingerencje nie zaznaczane, ale też nie akceptowane przez redakcje. Jednak i liczba tych ingerencji jest zapewne nieznaczna. Natomiast ogromna większość to ingerencje akceptowane, uzgadniane, to znaczy że sama redakcja zmienia tekst i – zapewne – Urząd Kontroli Prasy tych ingerencji nie ewidencjonuje uważając, że to są zmiany dobrowolne, dokonane przez redakcję. Ale nie łudźmy się – to są także ingerencje cenzury, chyba że Główny Urząd Kontroli Publikacji będzie się uważać za swego rodzaju centralną, nadrzędną, naczelną redakcję prasy, która poszczególnym redakcjom pomaga w redagowaniu pism. Od kolegów dziennikarzy, nie tylko z prasy katolickiej, z tygodników, dzienników, także prasy partyjnej, wiemy, jak liczne i jak częste są te ingerencje.

Drugi obok ilościowego aspekt ingerencji to ich tematyka. Ustawa z r. 1981 mówi w art. 2, czego w prasie nie wolno i kiedy GUKPiW musi interweniować. W szczególności pkt 1 (rozszerzony w r. 1983 o pojęcie „zagrożenia bezpieczeństwa państwa”) mówi o godzeniu w niepodległość państwa, pkt 2 o nawoływaniu do obalania lub poniżania ustroju, pkt 6 o pochwalaniu przestępstwa, nawoływaniu do popełnienia przestępstwa lub też – to również dodatek do ustawy z r. 1983 – „rozpowszechnianie treści oczywiście stanowiących przestępstwo”. Otóż wszystko to są sformułowania niesłychanie

ogólnikowe, nieostre, co ułatwia arbitralność decyzji i interpretację rozstrząsającą doprowadzoną do absurdu. W większości wypadków ingerencji trudno dopatrzeć się związku między treściami kwestionowanymi przez cenzurę a sformułowaniami ustawy, związku między publicystyczną wypowiedzią a bezpieczeństwem państwa czy też rzekomym podważaniem ustroju. Zwykła krytyka bywa kwalifikowana jako łżenie, znieważanie czy wyszydzanie ustroju. W pierwszym okresie po zniesieniu stanu wojennego cenzura nągminnie stosowała ingerencje w oparciu o pkt 1 („zagrożenie bezpieczeństwa państwa”). Po procesie w Naczelnym Sądzie Administracyjnym dwa lata temu – procesie, w którym NSA wprowadził zatwierdził decyzję cenzury, ale stwierdził nadużywanie pojęcia zagrożenia bezpieczeństwa państwa – cenzura najczęściej stosuje pkt 6, to jest pochwalanie lub nawoływanie do przestępstwa, przy czym samo stwierdzenie faktu uważa się za pochwałę, a często chodzi o czyny bynajmniej nie zagrożone kodeksem karnym i bynajmniej nie pociągające za sobą żadnych sankcji.

Fakt ukazania się w prasie bardzo krytycznych materiałów, na co zwraca uwagę w swojej odpowiedzi J. Sobol, nie podważa słuszności przytoczonych wyżej uwag J. Turowicza, bo wiem odnoszą się one do tekstów, których cenzura nie dopuściła do druku. }— — — —} [Ustawa o kontroli publikacji i widowisk z 31 VII 1981 r. art. 2, pkt 6 (Dz.U. nr 20, poz. 99, zm. 1983 Dz.U. nr 44, poz. 204)].

O alergicznej interpretacji pkt. 3 wspomnianej ustawy mówił również J. Turowicz: ...kiedyś opublikowaliś-

my wywiad ze szwedzką pisarką katolicką, konwertką, Brygittą Trotzig, wywiad udzielony zresztą szwedzkiej prasie. Pani Trotzig mówi tam, że w momencie konwersji wahała się między katolicyzmem a prawosławiem, ale prawosławie jej się nie podobało. Otóż uwagi krytyczne szwedzkiej pisarki o prawosławiu zostały skonfiskowane jako godzące w sojusz PRL. Mógłbym i przy tej okazji posłużyć się podobnymi przykładami dotyczącymi naszego pisma. Obawiam się jednak, że efekt byłby raczej smutny niż zabawny. Za smutne uznać trzeba także, że jeszcze dziś – mimo „odwilżowych” tendencji – w publikowanej na łamach „PP” rozmowie z emigracyjnym pisarzem nie mógł ukazać się tytuł jego książki rzekomo godzącej w sojusz PRL.

W końcowym fragmencie swego wystąpienia J. Turowicz wspomniał o zauważalnym w ostatnim czasie złagodzeniu cenzury, dodając jednak, że obecny sposób funkcjonowania cenzury jest jedną z głównych przeszkód na drodze do demokratyzacji, do podmiotowości społeczeństwa i jego uczestnictwa w życiu publicznym, a więc na drodze do tego, co się nazywa normalizacją i porozumieniem narodowym. Wypada więc zakończyć wyrażeniem nadziei, że powiew świeżego wiatru otworzy szerzej także okna budynku przy ul. Mysiej 5.

G. S.

wystawy

„Obraz słowa” – wystawa dawnej poezji wizualnej

„Poezja wizualna” to termin, który do dziś jest nieobecny w polskich opracowaniach dotyczących historii i teorii literatury. Dobrze się więc stało, że europejskiej poezji wizualnej od starożytności do końca XVIII wieku poświęcona była wystawa „Obraz słowa” czynna od 11 do 30 maja 1987 w Pałacu Tyszkiewiczów-Potockich – siedzibie Biblioteki Uniwersytetu Warszawskiego, która zorganizowała ją wspólnie z Biblioteką Narodową. Warto dodać, że pomysłodawcą, organizatorem, jednym słowem spiritus movens całego przedsięwzięcia był autor scenariusza i komentarza do wystawy, a jednocześnie autor kilku cennych rozpraw na temat tej poezji publikowanych w Polsce i za granicą – Piotr Rypson. Jemu i innym współtwórcom wystawy zawdzięczamy możliwość zapoznania się z tym niecodziennym zjawiskiem z pogranicza literatury i sztuki plastycznych.

Czym jest wiersz wizualny (obrazkowy)? Składa się on z jednej lub kilku zwrotek, z których każda jest wydrukowana na stronie w ten sposób, że jej kształt wyznacza obraz rozpoznawalny dla oka. Obraz może być figurą geometryczną, sylwetką jakiegoś konkretnego obiektu lub nawet abstrakcyjnym

*przedstawieniem jakiegoś nastroju albo idei podobnej do tej, która jest wyrażona słowami zwrotki*¹.

Można by paradoksalnie powiedzieć, że historia poezji wizualnej jest dłuższa niż historia literatury w ogóle: problemy związane z obrazowością pisma, nadawaniem kształtu literom i pojęciom – a więc problemy tkwiące u genezy poezji wizualnej – nurtowały ludzkość od jej początków. Nie odczytana do dziś spirala na dysku z Fajstos na Krecie, spiralne zagadki hebrajskie czy aramejskie, magiczne teksty gnostyków i Egipcjan, akrostychy babilońskie i akrostychy w Biblii (Księga Psalmów), to przykłady, które wskazują, że historia poezji wizualnej rozpoczyna się w zamierzchłej przeszłości².

Być może poezja wizualna narodziła się wiele tysięcy lat temu w Indiach, w VI w. przed Chr. została przejęta przez Persów, a następnie – dzięki nim – przez Aleksandryjczyków. W każdym razie trzy najstarsze w naszym kręgu kulturowym wiersze wizualne, znane z „Antologii greckiej”, napisał ok. 300 r. przed Chr. Symiasz z Rodos. Były to „technopaegnia” – wiersze w kształcie skrzydeł, topora i jajka. Technopaegnia opierają się na trzech zasadach kompozycyjnych. Są to: kształt ikoniczny, sformułowanie językowe, wykonanie graficzne. Te trzy środki przenoszące znaczenie są współzależne, ale centralną rolę odgrywa tu język³.

Już w starożytności powstały dwie inne odmiany gatunkowe poezji wizualnej: wiersze-labirynty i carmina figurata (cancellata). Wiersze-labirynty to utwory przypominające szachownicę, na której polach są umieszczone litery, z których składał się tekst

utworu. Czytanie tekstów rozpoczynano od górnego lewego rogu lub od środka prostokąta⁴. Podobne w budowie są carmina figurata. W tych wierszach kwadratowych figura wyłania się poprzez wpisane „versus intexti” czyli poprzez akrostychy, mezostychy czy telestychy uwydantnione np. przez złotą czy srebrną barwę. Takie wiersze – utwory religijne i panegiryczne na cześć Konstantyna Wielkiego pisał w IV w. po Chr. Publiusz Optacjan Porfiriusz.

Najbardziej znanym średniowiecznym autorem wierszy wizualnych był Hraban Maur. Jego utwór „De laudibus sanctae crucis” zawiera 30 carmina cancellata będących układami w kształcie krzyża. *Jest to – pisał J. Adler – zarówno modlitwa, hymn, jak i ćwiczenie z teologii systematycznej, które interpretuje cały stworzony wszechświat w kategoriach krzyża*⁵.

Renesans odkrył greckie technopaegnia („Antologię grecką” opublikowano w 1494 r.). Humanści masowo pisali wiersze w kształcie ołtarzy, mieczy, piszczałek, skrzydeł, piramid, toporów. Wiersze wizualne to tylko jeden z przejawów renesansowej realizacji hasła *ut pictura poesis* („początek jest jak obraz” – Horacy, „List do Pizonów”, w. 361). Powstawały również emblematy, utwory składające się z alegorycznego obrazu oraz utworu lirycznego i motto. Prowadzono studia nad egipskimi hieroglifami. *Podczas gdy hieroglif i chiński ideogram stanowią teksty same w sobie – pisała Elisabeth Cook – emblemat jest uzależniony od włączonego w niego tekstu: jest to warunek zrozumienia metaforyki. Wiersz wizualny jest być może bardziej zbliżony do ideału spójności wyrażo-*

nego w chińskim ideogramie, który, mówiąc słowami Bacona, „używa prawdziwego pisma, które nie wyraża ani liter, ani słów w ogóle, ale rzeczy lub pojęcia”⁶. Czyli – dodajmy – wiersz wizualny może najpełniej realizował ideał jedności poezji i sztuk plastycznych – wiersz był obrazem, obraz wierszem.

Poeci baroku stworzyli nowe kształty – butelki, serca, puchary, wieńce, nawet mary pogrzebowe. Powstawały panegiryki w kształcie herbów, kolumn i piramid, wiersze religijne – najczęściej krzyże (symbol Chrystusa) i gwiazdy (symbol Maryi), pisano też labirynty. W XVII w. powstał najwspanialszy może europejski wiersz wizualny, „Skrzydła wielkanocne” George’a Herberta, oparty na idealnej zgodności pomiędzy kształtem zewnętrzny z tematem i uczuciem w nim zawartym. Ogromne bogactwo tematów, form, motywów odnajdujemy w ówczesnej poezji niemieckiej. Warto wspomnieć przynajmniej o „Krzyżu” Cathariny Reginy von Greiffenberg. Utwór ten odtwarza centralne misterium chrześcijaństwa. W odpowiednich miejscach „Krzyża” wpisany weń wiersz nazywa części ciała Chrystusa i narzędzia Jego Męki – koronę cierniową (w wersie 3), oczy (w. 5), ręce (w. 7), ranę (w. 11) i serce (w. 12). Czytelnik, który postępuje wedle zaleceń poetki, widzi ciało na krzyżu. Metaforycznie rzecz ujmując, wiersz milcząco naśladuje proces, w wyniku którego Słowo stało się Ciałem⁷. W dobie baroku poezja wizualna powstawała również w Polsce. Znamy kilkadziesiąt rękopisów i druków, w których zamieszczono różnorodne, często bardzo pomysłowe struktury słowno-obrazowe. I choć

milczą o nich najobszerniejsze nawet podręczniki historii literatury, nie sposób skazać na zapomnienie utworów, w których kształt wierszy wizualnych tak funkcjonalnie łączył się z religijnym przesłaniem („Wielkiego Boga wielkiej Matki ogrodck” W. Waśniowskiego) bądź z jego celem polityczno-propagandowym („Kirys hartowny starożytnego żołnierza” A. Nieradzkiego). W drukach polskich spotykamy poetyckie formy architektoniczne (A. Wieszczycki: „Archetyp...”) i zbudowane z wierszy o różnych kształtach panegiryki (np. druk „Leopardus...” wydany z okazji ingresu Henryka Firleja na gnieźnieńską stolicę arcybiskupią; autorami są studenci kaliskiego kolegium OO. Jezuitów, a wiersze mają kształt m.in. piramidy, kolumny, chorągwi, tarczy herbowej, fasady katedry, infuły biskupiej, pektorału, krzyża czy ołtarza). Barokowa poezja wizualna na ziemiach Korony i Litwy, to zjawisko, które woła o rzetelny, wszechstronny opis⁸.

Wszystkie wymienione tu dla przykładu wiersze, a także wiele innych – w sumie 96 eksponatów⁹ – można było obejrzeć na wspomnianej wystawie, która ukazała bogactwo ludzkiej pomysłowości, usiłującej wciąż na nowo odnaleźć sposoby współistnienia w jednym utworze sztuki literackiej i sztuk plastycznych.

Poezja wizualna w swym tradycyjnym kształcie zanika w XVIII w. Zjawiska, które znamy z dziejów awangard XX w. – od kaligramów Apollinaire’a po najnowszą poczęć konkretną – to już nieco inna historia i... materiał na kolejną wystawę!

Piotr Wilczek

¹ K. Newell, *Pattern Poetry. A Historical Critique from the Alexandrian Greeks to Dylan Thomas*, Boston 1976, s. 1X.

² P. Rypson, *Poezja wizualna*, „Projekt” 1981, nr 6, s. 38.

³ J. Adler, *Technopaignea, carmina figurata and Bilder-reime: Seventeenth-century figured poetry in historical perspective*, w: *Comparative Criticism*, Vol. 4, Edited by W. S. Schaffer, Cambridge 1982, s. 109–110.

⁴ P. Rypson, *The Labyrinth Poem*, „Visible Language”, XX 1 (Winter 1986), s. 65–95.

⁵ J. Adler, dz. cyt., s. 113.

⁶ E. Cook, *Figured poetry*, „Journal of the Warburg and Courtauld Institutes”, Vol. 42/1979, s. 10.

⁷ J. Adler, dz. cyt., s. 133.

⁸ Próbą takiego opisu, na podstawie nielicznych przykładów, była moja rozprawa *Barokowa poezja wizualna w Polsce. Wybrane problemy* (1986 – maszynopis nie publikowany).

⁹ Zob. katalog omawianej wystawy pt. *Obraz słowa* wydany przez Bibliotekę Narodową w nakładzie 400 egz., a więc może jeszcze dostępny (tam: wstęp P. Rypsona, katalog eksponowanych druków, 9 ilustracji).

sztuka

Polsko-norweska wyprowa na Kvitmannsberget

W dniach 13 VI 87 – 15 VIII 87 w Lillehammer miał miejsce polsko-norweski plener pod hasłem „Sztuka – Natura”. Zorganizował go architekt Per Eric Fonkalsrud, przyjaciel wielu polskich artystów. W plenerze-symposium wzięło udział 7. artystów norweskich i 5. polskich (Jan Berdyszak, Danuta Mączak, Teresa Murak i Grzegorz Kowalski). Rezultatem tego spotkania, w trakcie którego odbyło się wiele dyskusji na tematy dotyczące całej współczesnej kultury, było kilka realizacji artystycznych na górze Kvitmannsberget oraz wystawa w Lillehammer Malerisamling z obszernym katalogiem.

Oto jak mogłaby wyglądać krótka dziennikarska notka na temat tego wydarzenia, sądzę jednak, że zasługuje ono na trochę więcej uwagi. (Tak się składa, że do listy polskich artystów zaproszonych na plener dołączyć trzeba również mnie. Nie jest to zbyt wygodna sytuacja recenzować plener, w którym uczestniczyło się w roli artysty, jednak jakaż inna sytuacja daje głębszy wgląd w emocjonalny i intelektualny klimat takiego wydarzenia?) Polacy byli oczekiwani w Norwegii jako artyści dobrze obcy ze

specyficzną formą pracy artystycznej, jaką jest bezpośrednia realizacja w naturze. Założenia programowe pleneru obejmowały przede wszystkim taką właśnie pracę w otwartej przestrzeni. Miasto wydzieliło do tych celów bardzo piękny fragment góry, dość gęsto zalesiony, ale również obszerne polany z widokiem na położone w dole miasto i jezioro. Fascynującym elementem tego pejzażu był strumień spadający stromymi kaskadami po skałach stanowiących podłoże w tym terenie, jak i w większości innych odwiedzanych przez nas okolic w Norwegii.

Obycie z pracą w naturze nie oznacza tu rzecz jasna umiejętności rozstawiania sztalug na łące ani także umieszczania na niej rzeźby wyniesionej z pracowni. Chodzi tu o typ pracy wywodzący się z Land-art (Earth-art), kiedy to elementy otoczenia artyści, najczęściej pejzażu, stają się przedmiotem jego bezpośredniej ingerencji. Często stosowanym tworzywem jest np. ziemia, wykorzystuje się również rozmaite procesy biologiczne, a także zjawiska meteorologiczne. Gdy charakteryzujemy ten sposób artystycznego działania, zwykle przypomina się Christo i jego „opakowania”, szczególnie jego realizacja z 1969 r., kiedy to opakował w plastikową folię dwa kilometry australijskiego wybrzeża, lub jego gigantyczna kurtyna zainstalowana w Rifle Vale w USA. Ale Christo opakowywał zarówno skaliste fragmenty wybrzeża jak i budynki miejskie. Lepszym być może historycznym odniesieniem do pewnego sposobu traktowania natury jako tworzywa artystycznego byłyby zapewne prace Roberta

Smithsona, szczególnie jego skalna spirala na jeziorze, a także kamienne kompozycje Richarda Longa oraz być może gigantyczny rów wykopany przez Michaela Heizera w Nevadzie. Przy czym trzeba od razu zaznaczyć, że wymienione tu realizacje trzeba traktować jako historyczne w tym sensie, iż powstały dość dawno i umiejscowić by je należało w zamkniętym już kontekście artystycznym, gdzieś pomiędzy Minimal-art i Konceptualizmem.

W latach siedemdziesiątych tak rozumiany bezpośredni stosunek do krajobrazu charakteryzował twórczość artystów związanych z nurtem ekologicznym w kulturze, w skrócie rzecz ujmując, artystów walczących o „naturalność” natury przeciwko tym zabiegom ludzkim, które wprowadzają w niej daleko idące zmiany z destrukcją włącznie. Otóż mamy tu metody pracy podobne, ale podłoże myślowe inne. Land-art przekracza pierwotne, konceptualne ramy i przechodzi znamiennej ewolucję. Konceptualna retoryka Christo, tworzenie znaków o zdecydowanie metaartystycznym charakterze, operowanie pejzażem, by uzyskać gigantyczną skalę, ustępuje swego rodzaju „naturalizmowi” sztuki ekologicznej. Konceptualną, wyimaginowaną obecność artyści w naturze zastępuje realna praca w pejzażu, której towarzyszy przekonanie o jedności człowieka i przyrody lub postanowienie przywrócenia tej jedności. Zmienia się więc filozoficzna perspektywa Land-art, zmieniają się skala i wyraz prac. Od metakulturowej retoryki przechodzimy do dialogu, szukania związków, ludzkiej skali i integracji z naturą.

W takim oto momencie zaistniał plener w Lillehammer. Doświadczenia polskie w dziedzinie tak szeroko rozumianej „sztuki ziemi” nie są jakoś szczególnie bogate i znaczące, niemniej są. Rozwinęły się u nas, szczególnie w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych, pewne formy sztuki, tzw. formy przestrzenne, produkowane dość masowo w szczególnych okolicznościach plenerów pod patronatem fabryk lub bezpośrednio państwa. Niektóre realizacje z tego okresu mają pewne związki z konceptualnym okresem Land-art. Organizator pleneru, Per Eric Fonkalsrud, kierował się również własną wiedzą o tym, co dzieje się w polskiej sztuce. Jako stażysta był na plenerach pracowni prof. O. Hansena. Plenery te można traktować jako prekursorskie wobec owej pokonceptualnej fazy działania i myślenia artystycznego w otwartej przestrzeni, w przyrodzie. Zwracało się na nich uwagę przede wszystkim na pewne procesy zachodzące zarówno w społeczności studentów jak i w naturze. Różnego typu interakcje, w jakie wchodziłi artyści z otoczeniem, miały właśnie taki procesualny charakter. Myślę, że również tę tradycję brał pod uwagę Fonkalsrud kompletując ekipę polskich artystów.

Norwegowie natomiast – jeśli wierzyć moim rozmówcom w Lillehammer – nie mają w ogóle tradycji wspólnych plenerów artystycznych, a praca bezpośrednio w przyrodzie jest zjawiskiem stosunkowo nowym i bardzo powoli torującym sobie drogę do świadomości szerszego kręgu artystów i odbiorców sztuki. Niemniej jest tam grupa zapaleńców, którzy mają za sobą m.in. plener

w Vismunda. Prace tam powstałe można traktować, upraszczając oczywiście trochę całe zagadnienie, jako charakterystyczne dla drugiej, ekologicznej fazy Land-art. Uczestnicy pleneru w Vismunda – Kai Bratbergsgen, Marit Gunhild Arnekleiv, Egil Martin Kurdol – wszyscy znaleźli się w Lillehammer. Trzeba jednak powiedzieć jasno, że założenia pleneru w Vismunda jak i w Lillehammer nie miały nic wspólnego z ruchem ekologicznym. Chodzi tu raczej o podobieństwo generalnego stosunku do przyrody, która pojawia się jako wartość. Artysta nie traktuje jej tylko jako element swego dzieła, lecz świadomie i z największą powagą ustala pewne relacje między nią i owym naturalnym otoczeniem. Jest to swego rodzaju ustalanie miejsca, w procesie tym bardzo ważną rolę odgrywają czynniki emocjonalne, nastroje, nie zwerbalizowane przeczucia, które szukają swojej wizualnej reprezentacji w formach na ogół prostych, surowych, wziętych niejako wprost z natury. Norweska przyroda wydaje się bardzo silnym partnerem w takim dialogu. Siła ta bierze się ze znacznych różnic wysokości (choćby Lillehammer to jeszcze nie prawdziwe góry), niezwyklego światła, nieco uboższej roślinności i obfitości skał różnej wielkości i w różnych konfiguracjach. Obserwując norweskich artystów można odnieść wrażenie, że w tym dialogu z przyrodą są jakby słabszą stroną. Przyroda ma nad nimi przewagę. Obserwowanie tej sytuacji jest doprawdy niezwykle doświadczeniem dla przybyszów z kraju, gdzie nastąpiła już ekologiczna katastrofa, a relacje człowieka z przyrodą tak

dalece się skomplikowały, że można chyba mówić o zerwaniu kontaktu. Wspaniała jest pokora i szacunek Norwegów dla otaczającej ich natury. W równym stopniu odnosi się to do jej materialnego kształtu jak i niematerialnych wartości.

Najogólniej biorąc polscy artyści nie przejawiali takiego kultu natury, a nawet (z pewnymi wyjątkami) raczej wykazywali nonszalanecę w jej traktowaniu. Norwegowie zabiegali o maksymalną bezpośredniość swych kontaktów z owym fragmentem lasu na Kvitmannsberget, który był terenem różnych artystycznych akcji, nie przywiązując wielkiej wagi do wystawy w Lillehammer Malerisamling. Polacy przeciwnie, sporo myśleli o wystawie muzealnej, sama natura w znacznym stopniu stanowiła przedmiot różnych intelektualnych spekulacji, a intensywna praca w terenie była czasem bardziej skutkiem przypadku niż konsekwentnie przeprowadzanego założenia. Trzeba przyznać, że polscy artyści znaleźli się w otoczeniu dość odmiennym od rodzimego, co może tłumaczyć pewną rezerwę, z jaką odnosili się do norweskiej natury. Niemniej dźwigali wszyscy dość znaczny kulturowy bagaż, bez którego nie mogli się obyć. Ten bagaż nie zmniejszał fizycznego wysiłku i nie sprzyjał bezpośrednim kontaktom z naturą. Pod tym względem Norwegowie wyposażeni w samochody, zgrabne plecaki, eleganckie kałosze, aluminiowe drabinki i cały szereg innych udogodnień mieli przewagę. Mimo to wydawali się bardziej bezbronni wobec swego otoczenia. Odnajdowanie i oznaczanie swego miejsca w przyrodzie, mimo owego wspa-

niałego materialnego zaplecza, odbywało się z jakimś ogromnym duchowym wysiłkiem. Była w tym swoista chwiejność, niepewność, bezbronność. Pod tym względem Polacy wydawali się lepiej wyposażeni, uzbrojeni we własne artystyczne doświadczenie, wiedzę o zjawiskach artystycznych, w łatwość werbalizowania i posługiwania się kategoriami pojęciowymi. Ten, jak się rzekło, kulturowy bagaż przysparzał również kłopotów, powodował pewną sztywność w kontakcie z naturą – tę sztywność i jakby napięcie trzeba było powoli i mozolnie przełamywać. Chodzi tu oczywiście o sztywność wyobraźni, w niektórych przypadkach nawet dogmatyzm hamujący pomysłowość plastyczną i oryginalność rozwiązań wizualnych. Z drugiej strony jednak sprzyjał on wyborom koncepcji i ich klarowności. Natomiast zdarzały się Polakom kłopoty organizacyjne i trudności z materializacją idei. I odwrotnie, w ekipie norweskiej powszechna sprawność organizacyjno-materialna nie zawsze szła w parze z klarowną koncepcją artystyczną.

Są to pewne generalizacje, od których było wiele wyjątków. Na przykład Eva Kun i Arne Ingvaldsen zdradzali zdecydowanie akademicki temperament, dużą wiedzę i sprawność w operowaniu tą wiedzą, z kolei Teresa Murak mogłaby być przykładem czułości, pokory wobec natury i umiejętności odnajdywania się w niej. Można by przeprowadzić inne jeszcze linie podziału, nie przebiegające pomiędzy narodowościami. Na przykład linia oddzielająca naturalistów od, powiedzmy, antynaturali-

stów. Po stronie naturalistów znaleźli-
by się chyba wszyscy Norwegowie, ale
i kilku artystów polskich.

Może ciekawsze byłoby, zamiast
przeprowadzać takie podziały, zasta-
nowić się, w jaki sposób w myśleniu
i artystycznych realizacjach przejawia
się odmienna tradycja religijna. Dużo
do myślenia na ten temat dałoby
porównanie realizacji Grzegorza Ko-
walskiego (szczególnie bardzo cieka-
wej dokumentacji i dziennika, który
znajduje się w katalogu) z realizacją
Inhild Karlsen i Kaia Johnsen. Jest
to jednak problem na poważniejszy
csej poprzedzony dłuższymi studiami.
Tym zakończeniem daję Norwegom
do zrozumienia, że chętnie wybrał-
bym się do ich pięknego kraju
ponownie.

Jan Stanisław Wojciechowski

teatr

Autobiografia

**Teatr Polski we Wrocławiu: „Repe-
tycje teatralne z «Pięknych dwu-
dziestoletnich» Marka Hłaski”,**
Scenariusz i reżyseria – Andrzej
Czerny. Opracowanie scenografi-
czne – Wojciech Jankowiak. Pre-
miera – 4 grudnia 1986. Prezentacja
Teatru Rzeczypospolitej na
scenie Teatru Kameralnego w
Warszawie 12 września 1987.

Kiedy w Kameralnym rozpoczy-
nało się przedstawienie „Repetycji”,
po drugiej stronie Wisły, na Stadionie
Dziesięciolecia, trwał już gigantyczny
koncert zespołu „Perfect”. Mimo to
na widowni teatru znalazło się sporo
ludzi w wieku rockowym. Legenda
Marka Hłaski wytrzymała konkuren-
cję z legendą Zbigniewa Hołdysa
i jego grupy. W jednym z najwięk-
szych swych przebojów, najbardziej
legendotwórczym tekście rockowym,
„Autobiografii”, muzycy „Perfectu”
śpiewają: *Wiatr odnowy wiał, daro-
wano resztki kar, znów się można było
śmiać*. Dalej mowa w piosence o
pierwszych poważnych życiowych
doświadczeniach, a w końcu pojawia
się gorzka myśl o samotności pomimo
sukcesów. Marek Hłasko – o przeszło
dziesięciolecie starszy – pisał w grun-
cie rzeczy o tym samym, a „Piękni
dwudziestoletni” to jego autobiogra-

fia, która jest również legendotwórczą kreacją.

Adaptacja sceniczna tego gatunku literackiego jest przedsięwzięciem ryzykownym. Pierwszoplanowa rola narracji, szczątkowa fabuła, wiele postaci epizodycznych – to tylko część trudności, które Andrzej Czerny ominął za pomocą szczęśliwego pomysłu, by rozpiścić tekst na dwóch aktorów.

Koncepcję inscenizacyjną przedstawienia zdradza tytuł: „Repetycje teatralne...”. Chodziło, jak sądzę, o to, żeby aktorzy – balansując na granicy prywatności – tworzyli na podstawie opowiedzianych przez Hłaskę anegdot krótkie, jakby improwizowane scenki. Dlatego też w postać bohatera-narratora wciela się raz jeden, raz drugi z wykonawców. To rozparcelowanie bohatera wyraźnie ujawniło jego skłonność do grania ról, przybierania mask, słowem teatralizowania własnej osoby. Jedną z tych ról jest rola legendotwórcy, tego, który sobie owe maski zakłada. Z drugiej jednak strony taki zabieg pozbawił przedstawienie ważnej kompozycyjnej dominanty – jednolitego, spójnego bohatera. Można byłoby to przyjąć, gdyby spektakl przynajmniej robił wrażenie struktury otwartej, dzieła w trakcie powstawania, poszukiwania formy. W planie znaczeń odpowiadałoby temu dociekanie prawdy o pewnym ludzkim losie, losie outsidera z wyboru i wygnania z konieczności, niejakiego Marka Hłaski. Żeby taki efekt osiągnąć, trzeba by aktorów dysponujących znakomitą techniką lub też obdarzonych talentem improwizacji. Reżyser „Repetycji” ograniczył rolę innych środków wyrazu, stawiając na aktorstwo. Ryszard Kotys i Bronisław Wrocławski, aktorzy skądinąd

bardzo interesujący, skapitulowali przed takim zadaniem, być może przekraczało ono ich możliwości. Nie można bowiem spontaniczności zagrać odmierzoną gestem ani improwizacji w drobnych szczegółach wystudiować na próbach, lub też mówić wyuczonym na pamięć tekstem. Jeśli zaś do tego dojść, nie powinno to być widoczne, nie może to przeczyć użytemu w tytule słowu „repetycja”. A przecież w „Pięknych dwudziestoletnich” jest wspaniały fragment poświęcony sztuce aktorskiej. Hłasko pisze o Humphreyu Bogarcie, podziwia naturalność jego gry polegającą na odrzuceniu tradycyjnych sposobów mówienia, reagowania na partnera. Bogart mówi tak, jakby dopiero szukał właściwych słów, zachowuje się tak, jakby po raz pierwszy znalazł się w jakiejś sytuacji. Twórcy spektaklu potraktowali ten fragment jako przedmiot parodii. A może właśnie, niekoniecznie z niej rezygnując, należało zawierzyć autorowi i fragment ten potraktować poważnie w poszukiwaniach aktorskiego klucza do przedstawianych postaci. Jeżeli dzisiaj odbieramy Bogarta poprzez Woody Allena i jego „Zagraj to jeszcze raz”, nie znaczy to, że podobną świadomość należy przypisywać autorowi „Cmentarzy”. Gdyby realizatorzy spektaklu poszli za jego wskazaniem, być może zbędne okazałoby się podbudowywanie „Repetycji” dość tanią nostalgiczną nastrojowością wygrywanych na akordeonie starych melodii.

O czym jest ten spektakl? Mowa w nim o literackich inicjacjach i fascynacjach bohatera, o rozmowach z pisarzami – Czeszką i Newerlym, o aresztowaniu w Pałacu Mostow-

skich, o spotkaniu z pułkownikiem bezpieki, Różańskim. Wśród tych anegdotycznych wspomnień znalazły się także opowieści o restauracji „Kameralnej”, legendarnej „Kamerze”, które – wypowiedane na scenie sąsiadującej z knajpą – nabierają szczególnego smaczku. Z powyższego wyliczenia nie należy jednak wysnuwać wniosku, iż jest to teatralna próba rozliczenia tamtych czasów na podobieństwo np. rozrachunków przeprowadzanych w coraz liczniejszych filmach dotyczących lat pięćdziesiątych. Właściwy sens spektaklu zaczynamy rozumieć, dopiero gdy mowa o przeróżnych sposobach zarabiania na życie w obcych krajach, jak na przykład podszywanie się pod ofiary hitlerowskich zbrodni lub prześladowań bezpieki czy też sutenerstwo. Zaczynamy rozumieć poznając paszportowe perypetie Hłaski, które doprowadziły go do roli emigranta z konieczności. Zaczynamy rozumieć, kiedy pojawia się refleksja o skazaniu na samotność. „Repetycje” to spektakl o emigracji, o tej szczególnej odmianie polskiego losu, doświadczeniu, które od dwóch wieków stało się udziałem Polaków. Jest to także spektakl o nostalgii, co tłumaczy unikanie rozrachunków. Do jej wyrażenia Hłasko znalazł zresztą znakomity ekwiwalent. Jest nim poszukiwanie na obczyźnie takiej knajpy, jaką była „Kameralna”, czyli poszukiwanie namiastki.

Problem emigracji pojawia się coraz częściej w polskim teatrze. W latach osiemdziesiątych dotyka nas bowiem coraz boleśniej, tym bardziej więc zasługuje na uwagę. Jeżeli więc Czerny poprzez tekst Hłaski mówi o emigracyjnej samotności i no-

stalгии, powtarza prawdę tyleż ważną, ile banalną. W gruncie rzeczy nie odchodzi daleko od mądrości wyśpiewanych przez zespół „Perfect”. Nawiasem mówiąc, to chyba właśnie dlatego, że utwory autora „Pierwszego kroku w chmurach” przynoszą proste odpowiedzi, jego legenda wytrzymuje konkurencję z legendami rocka.

Również dlatego łatwiej mówić o sytuacji emigranta posługując się utworami Marka Hłaski niż na przykład Sławomira Mrożka. Warto przypomnieć, jak dawno nie było znaczącej inscenizacji „Emigrantów”. Czyżby dlatego, że Mroźek pokazuje sytuację modelową, wypreparowaną niemal laboratoryjnie, bez konkretnych odniesień do rzeczywistości, które pozwoliłyby na aluzyjność, perskie oko w kierunku publiczności? Może dlatego, że poprzez swą żelazną konsekwencję w demaskowaniu jest to diagnoza pozornie chłodna, pozbawiona emocji? Hłasko zaś jest konkretny. Jego nostalgia nosi nazwy ulic i knajp. Jego rozpoznanie rzeczywistości ogranicza się do konstatacji, że świat jest zły i ludzie są źli, i dlatego nawet ci, którzy chcą ocalić trochę dobra czy piękna, skazani są na porażkę. Jakbym słuchał rockowych piosenek.

Żeby nie poprzestać na narzekaniach – zdarzyło mi się obejrzeć przedstawienie poważnie podejmujące problem emigracji. W Teatrze Wybrzeże, a później w telewizji Kazimierz Kutz zrealizował „Opowieści Hollywoodu” Christophera Hamptona, sztukę relacjonującą losy niemieckich intelektualistów po dojściu do władzy Hitlera, emigrantów czy też – jak chciał Brecht – wygnańców. Cha-

rakteryzując ich sytuację Hampton zwraca uwagę na utrudniające adaptację w nowym środowisku różnice kulturowe, często niedostateczną znajomość języka, kłopoty finansowe i rodzinne. Równie istotne są: urażona ambicja i rodzące frustrację poczucie zbędności w nowym społeczeństwie. Emigracyjny los niemieckich pisarzy stał się dla Hamptona kanwą do refleksji na temat uwikłań tej tradycyjnej roli społecznej w gwałtowne przemiany polityczne, socjalne i kulturowe, których świadkiem był i jest nadal XX wiek; do refleksji na temat sensu uprawiania sztuki w sytuacji przymusu lawirownia między doraźnością polityki a doraźnością kultury masowej. Hampton i Kutz nie dają łatwych, gotowych odpowiedzi. Stawiają problem. Stawiają widzów wobec problemu. Bez sentymentalno-nostalgicznego sosu, w którym rzeczywistość traci barwy i kontury.

Wracając do domu musiałem przy Stadionie Dziesięciolecia przesiąść się do innego autobusu. Kończył się koncert „Perfectu”. Z płyty stadionu dobiegał śpiew kilkunastu tysięcy gardeł: *Chcemy być sobą, chcemy być sobą...* Jak dowodzą badania socjologów, wielu z tych młodych ludzi nie widzi w kraju perspektyw dla siebie. Chcą wyjechać, wyemigrować. Jaka będzie ich autobiografia?

Andrzej Dziurdzikowski



film

O czymś innym

Na ekrany kin wszedł kolejny „półkownik”, „Wierna rzeka” Tadeusza Chmielewskiego zrealizowana cztery lata temu. O samym filmie da się mało powiedzieć. Jest on zręczną, poprawną adaptacją powieści Stefana Żeromskiego, niezbyt odkrywczą ani niezbyt twórczą. W każdym razie nie będzie wokół niego zażartych sporów, jak dawniej o Wajdowskie „Popioły”. Ponad solidną przeciętność wyrasta jedynie kreacja Małgorzaty Pieczyńskiej jako Salomei – właściwie jej debiut aktorski. Pieczyńska jest młodą, obdarzoną niebanalną urodą aktorką, przy czym wnoszącą na ekran – w przeciwieństwie do wielu swych pokoleniowych rówieśniczek – jakieś wnętrze, określoną barwę psychologiczną, rys intelektualny. Jest skupiona, świadoma siły swego oddziaływania oraz kreowanego tu typu polskiej kobiety podejmującej wyzwanie niełatwej historii. Są to atuty szkoły aktorskiej (która wydaje się odchodzić w przeszłość), kiedy uroda i zawodowe umiejętności bywają wsparte osobowością. Pieczyńska kreując rolę młodej kobiety pełnej poświęceń, bez reszty oddanej patriotycznej i miłosiernej powinności obrońcy i opieki nad rannym powstańcem, JEST oddana, miłosierna i heroiczna

na sposób skromny i wzruszający, tak jak bohaterka powieści. Ta rola jest jedną z najlepszych kreacji aktorskich polskiego filmu ostatnich kilku lat.

Tyle o samym filmie. „Wierna rzeka” Chmielewskiego prowokuje do rozmyślań o czymś innym. Można na przykład powspominać, chcąc zdystansować się od epatowania cierpienia Odrowąża (gra go bezbarwnie Olgiard Łukaszewicz), czasy polskiej szkoły filmowej, której wyróżnikiem był twórczy, nie naśladowczy czy ilustracyjny, stosunek do historii, wielki filmowy sąd nad jej sensem i znaczeniem, ekranowy dyskurs, którego echo daleko wykraczało poza ściany sal kinowych. Nie można powiedzieć, by nasz film zaprzestał prób nawiązywania do tego najwybitniejszego zjawiska na polsku rodzimej X Muzy. Można tu wymienić choćby „Jezioro Bodeńskie” Janusza Zaorskiego. I kilka innych, w tym „Wierną rzekę”. Dziś te filmy nie wywołują jednak większego rezonansu. A przyczyn tego stanu rzeczy należy upatrywać nie tylko w ich jakości, ale również w zewnętrznych okolicznościach, we wzrastającej obojętności, w zamierającym tętnie naszej kultury, postępującej atrofii uczuć i wyobraźni. Obcy stał się tej kulturze instynkt bezinteresowności i obiektywizmu. Znaczy to, że przestaje ją interesować dany problem sam w sobie, że uwikłana jest w różne konteksty poczynając od personalnych, a kończąc na politycznych.

Zrobiłem tę daleką od przedmiotu recenzji dygresję dlatego, że podczas projekcji „Wierną rzekę”, przy całej jej artystycznej dostateczności, towarzyszyło mi poczucie piekającej aktualności tematu. Nie po raz pierwszy

i nie jedyny w tym filmie przedmiotem zainteresowania jest powstanie styczniowe i klimat życia społecznego po jego upadku. Widać jest coś, co każe interesować się tamtym okresem, coś, co każe doszukiwać się aktualności tamtych wątków historycznych. Lista tych zainteresowań jest długa. Tu dla przykładu wymienimy jedynie powieści Władysława Terleckiego, dylogię Jana Józefa Szczepańskiego „Ikar”, „Wyspa”; „Ostatni postój” Witolda Zalewskiego (książkę bardzo „żeromską” – jej bohater, Piotr, działa w sytuacji braku społecznej koniunktury podstawowych wartości) czy wreszcie przejmujący fragment „Kompleksu polskiego” Konwickiego opowiadający o młodym powstańcu, którego szlachetny idealizm zostaje brutalnie skonfrontowany z ponurą rzeczywistością Polski zdeprawowanej niewolą. Nazwijmy po imieniu tę aktualność. To problem narodowej autoniewoli. On łączy „Wierną rzekę” z wymienionymi wyżej tytułami, wiek XIX z naszymi czasami. To przeklęty polski problem nakładania na siebie kagańca, wzajemnego ograniczania się, wyręczania w niecznym procederze zaborcy, to problem funkcjonowania podstępnej nikczemności i jawnej sprzedajności. O tym jest w pierwszym rzędzie „Wierna rzeka” – Żeromskiego i Chmielewskiego. Ten temat wybija się na plan pierwszy, budzi największą uwagę widza i winien budzić jego największe emocje. Bo nie stosunek Kozaków do powstańców, tu zresztą wcale sympatyczny, z ciepłym i dobrośliwym Henrykiem Machalicą (dowódcą patrolu) na czele oraz wrażliwym i na swój sposób pełnym godności Wojciechem Wysockim (Wiesniyncem).

Mamy więc temat aktualny, ale do pełni szczęścia jeszcze daleko. Bo jest on jednocześnie jakby nieprzystojny i niestosowny naszym dniom oraz opcjom umysłowym, kiedy modne stało się chciwe rozgrzeszanie z nie popełnionych grzechów oraz moda na tzw. realizm i nieuleganie emocjom. Ten problem zdecydowanie wykracza poza wąski horyzont dzisiejszej kultury, stfywializowanej i zbanalizowanej, w której nie bez kozery najbardziej modną i pojemną formą stał się felieton. Pasuje on jak ulał do prawd doraźnych i koniunkturalnych, obliczonych na tygodniowe najwyżej istnienie, wolnych od ciężaru sankcji i sprawdzalności. Autoniewola jest tematem naszej rzeczywistości, który nie znajduje swego autentycznego wyrazu, swej artykulacji we współczesnej kulturze, pogrzebany został pod zwalami lenistwa i niefrasobliwości, zduszony demagogią i frazesem, utopiony w kulcie państwowo- i narodowotwórczej symboliki, który zastępuje autentyczne, prawdziwe życie. Temat ten, obecny tu i tam, trafia więc w społeczną próżnię, albowiem cechą tej kultury jest ucieczka od samej siebie w życie pozorne i ułatwione, w formę do niczego nie zobowiązującą, ucieczka od losu człowieka, który ma przecież opisać, wyrazić i zinterpretować.

Czy jesteśmy więc w stanie pilnie wysłuchać gorzkiej lekcji Żeromskiego, jeśli sami uciekamy od siebie i piętnującego nas losu? Raczej nie. Choć za oknem ponury i szary kraj-obraz - myślimy raczej o wagarach duszy.

Marek Pieczara

KSIĄŻKI NADESŁANE

Biblioteka Narodowa. Instytut Książki i Czytelnictwa

Aleksandra Danecka, *Problemy bibliotek publicznych na łamach prasy 1945–1976*. Warszawa 1987, nakład 300 egz.

Grażyna Strauss, *Z problemów czytelnictwa literatury profesjonalnej (na przykładzie amerykańskich badań nad potrzebami i wykorzystaniem informacji w nauce i technice)*. Warszawa 1987, nakład 500+170 egz.

Z badań Instytutu Książki i Czytelnictwa. Czytelnictwo za granicą. Lektury. Sprawozdania. Warszawa 1986.

Wydawnictwo Apostolstwa Modlitwy

Johannes B. Lotz SI, *W drodze w medytację nad Nowym Testamentem*. Kraków 1987, wyd. I, nakład 15000+350 egz.

Piotr Rakowski, *Chrystus centrum*. Kraków 1987, wyd. I, nakład 5000+350 egz.

Wydawnictwo Ojców Franciszkanów

Jerzy Domański OFMConv., *Św. Maksymilian wobec Eucharystii*. Niepokalanów 1987, wyd. I, nakład 10000 egz.

Wydawnictwo Ośrodka Dokumentacji i Studiów Społecznych

Jan Paweł II, *Nauczenie społeczne 1982*, t. I, II. Warszawa 1986, wyd. I, nakład 10000 egz.

Jerzy Łaskowski, *Trwałość wspólnoty małżeńskiej (studium socjopsychologiczne)*. Warszawa 1987, wyd. I, nakład 7000+350 egz.

Jan Pietrzykowski, *Jasna Góra w okresie dwóch wojen światowych*. Warszawa 1987, wyd. I, nakład 10000+350 egz.

Wydawnictwo Towarzystwa Naukowego KUL

Wacław Hryniewicz OMI, *Nasza Pascha z Chrystusem. Zarys chrześcijańskiej teologii paschalnej – Tom 2*. Lublin 1987, wyd. I, nakład 5000+125 egz.

ks. Tomasz Puchalski, *Pamiętnik 1827–1840*, wstęp Władysław Rostocki, rękopis przygotowali Jan Skarbek i Jan Ziółek, językoznawczo opracował Tadeusz Brajerski. Lublin 1987, wyd. I, nakład 3000+25 egz.

Karol Wojtyła, *Miłość i odpowiedzialność*. Lublin 1986, wyd. IV, nakład 50000 egz.